

Wszyscy skrywamy  
tajemnice, nawet  
przed sobą

# BOGINIE

ALEX MICHAELIDES

autor bestsellerowej  
*Pacjentki*

ALEX  
MICHAELIDES

## **BOGINIE**

przełożyła Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik



Tytuł oryginału: *The Maidens*  
Copyright © Alex Michaelides 2021  
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXI  
Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik, MMXXI  
Wydanie I  
Warszawa MMXXI

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

Dedykacja

Motto

Prolog

Część pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

## Część druga

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

## Część trzecia

1

2

3

4

5

6

- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13

## Część czwarta

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19

20

21

## Część piąta

1

2

3

4

5

6

7

8

## Część szósta

1

2

3

Epilog

Podziękowania

## Przypisy

*Dla Sophie Hannah, której zawdzięczam odwagę, by trwać przy swoich  
przekonaniach*



*Uracz mnie najpierwszymi miłostkami swemi,  
Praw o kwietniowych mrzonkach, o straconych szansach,  
Aż się groby poruszą na cmentarnej ziemi,  
A trupy się poderwą i ruszą do tańca<sup>1</sup>.*

Alfred Lord Tennyson, *Wizja grzechu*

# Prolog

Edward Fosca był zabójcą.

To fakt. Mariana wiedziała o tym nie tylko na poziomie intelektualnym. Wiedział o tym cały jej organizm. Czowała to w kościach, w krwi, w głębi każdej komórki.

Edward Fosca był winny.

Nie potrafiła jednak tego udowodnić; może nigdy jej się to nie uda. Ten człowiek, ten potwór, który zabił co najmniej dwie osoby, może pozostać na wolności.

Był taki zadowolony z siebie, taki pewny swego. „Uważa, że ujdzie mu to na sucho” – pomyślała. Jest przekonany, że wygrał.

Nie wygrał. Jeszcze nie.

Mariana postanowiła go przechytrzyć. Musiała.

Nie będzie spała przez całą noc i przypomni sobie wszystko, co się wydarzyło. Będzie siedziała w tym małym ciemnym pokoju w Cambridge i myślała tak długo, aż to rozgryzie. Wpatrywała się w czerwony pręt elektrycznego grzejnika na ścianie, rozżarzony, świecący w ciemności; zmusiła się, by wejść w swego rodzaju trans.

Cofnie się w myślach do samego początku i odtworzy wszystko. Każdy najdrobniejszy szczegół.

I złapie go.

# Część pierwsza

Nikt mi nigdy nie mówił, że smutek wywołuje podobne reakcje jak strach<sup>2</sup>.  
C.S. Lewis, *Smutek*

Kilka dni wcześniej Mariana była w swoim domu w Londynie.

Kłęcząca na podłodze otoczona pudłami. Po raz kolejny podjęła, bez większego zaangażowania, próbę uporządkowania rzeczy Sebastiana.

Kiepsko jej to wychodziło. Od jego śmierci upłynął rok, a większość jego dobytku wałała się po domu w stertach i zapakowanych do połowy kartonach. Jakby Mariana nie mogła sprostać zadaniu.

Wciąż go kochała i na tym polegał problem. Chociaż wiedziała, że już nigdy nie zobaczy Sebastiana – bo przecież odszedł na zawsze – nadal go kochała. I nie miała pojęcia, co począć z całą tą swoją miłością. Było jej tak dużo i była taka chaotyczna: wyciekała z niej, wylewała się, wylała kłębami jak wypełnienie starej lalki szmacianki rozchodzącej się w szwach.

Gdyby dało się zapakować tę miłość tak jak rzeczy Sebastiana, które próbowała umieścić w pudłach... Co za żalony widok – życie człowieka zredukowane do zbioru niechcianych przedmiotów przeznaczonych na garażową wyprzedaz.

Mariana sięgnęła do stojącego najbliżej kartonu. Wyciągnęła parę butów.

Przyjrzała się im – stare zielone trampki, w których biegał po plaży. Wciąż wydawały się wilgotne, a do podeszew przylegały ziarenka piasku.

– Pozbądź się ich – powiedziała do siebie. – Wyrzuć je do kosza. No już.

Miała jednak świadomość, że nie da rady. Przecież to nie on, nie Sebastian (trampki nie były człowiekiem, którego kochała i będzie kochać na wieki), tylko para starych butów. Mimo to rozstanie z nimi byłoby aktem samookaleczenia; zupełnie jakby przytknęła sobie do ramienia nóż i odcięła kawałek skóry.

Mariana przycisnęła buty do piersi. Tuliła je mocno, jakby były dzieckiem. I rozpłakała się.

Jak się znalazła w takim położeniu?

W ciągu zaledwie roku, który niegdyś upłynąłby niemal niepostrzeżenie – a teraz włókł się za nią niczym wyludniony krajobraz spustoszony przez huragan – życie, jakie znała, uległo unicestwieniu, a ona, trzydziestosześcioletka, upiła się w niedzielny wieczór i tuliła buty zmarłego niczym świętą relikwię – którą w pewnym sensie były.

Zmarło bowiem coś pięknego, coś świętego. Pozostały tylko książki, które czytał, ubrania, które nosił, i przedmioty, których dotykał. Nadal czuła w nich jego zapach, wciąż miała jego smak na czubku języka.

Dlatego właśnie nie potrafiła wyrzucić jego rzeczy. Zachowując je, mogła podtrzymać Sebastiana przy życiu, choćby odrobinę; gdyby się ich pozbyła, straciłaby go całkowicie.

W swoim tekście *Żałoba i melancholia* Freud przekonywał, że po śmierci bliskiej osoby strata musi zostać psychicznie zaakceptowana, a zmarły uwolniony, w przeciwnym razie powstaje ryzyko trwania w patologicznej żałobie, którą Freud zwał melancholią. My nazywamy ją depresją. Mariana to rozumiała. Wiedziała, że powinna uwolnić Sebastiana, tyle że nie umiała, ponieważ nadal go kochała. Kochała go, mimo że odszedł na zawsze, znalazł się za zasłoną – „za tą zasłoną, za tą zasłoną” – kto to napisał? Zdaje się, że Tennyson.

Za zasłoną.

Tak się właśnie czuła. Odkąd Sebastian umarł, Mariana przestała widzieć świat w kolorach. Życie stało się stonowane i szare; dalekie, oddzielone zasłoną – woalem smutku. Pragnęła ukryć się przed światem, jego hałasem i bólem, i otoczyć się tutaj, w swoim małym żółtym domu, kokonem pracy.

I zostałyby tutaj, gdyby Zoe nie zadzwoniła do niej z Cambridge tamtego październikowego wieczoru. Telefon Zoe po czwartkowym spotkaniu grupy dał temu wszystkiemu początek.

Od tego zaczął się koszmar.

Grupa spotykała się w czwartkowe wieczory w salonie w domu Mariany. Salon był przestronny. Przeznaczono go na cele terapeutyczne krótko po tym, jak Mariana i Sebastian przeprowadzili się do żółtego domu.

Bardzo im się ten dom spodobał. Stał u podnóża Primrose Hill w północno-zachodnim Londynie i pomalowano go na jasnożółty kolor, taki sam jak barwa pierwiosnków kwitnących wiosną na wzgórzu. Po jednej ze ścian szczytowych piął się wiciokrzew, który pokrywał ją białymi kwiatami o słodkim zapachu; latem woń zakradała się do domu przez otwarte okna, wspinała się po schodach i unosiła w korytarzach i pokojach, napełniając je słodyczą.

W tamten czwartkowy wieczór było nadzwyczaj ciepło jak na tę porę roku. Nastał już październik, ale w powietrzu nadal unosiło się babie lato, które niczym zasiedziały gość nie zważało na sugestie umierających liści, że chyba pora się zwijać. Promienie późnopołudniowego słońca wlewały się do salonu i zatapiały go w złotym świetle zabarwionym nutą czerwieni. Przed sesją Mariana opuściła żaluzje, ale zostawiła przesuwane pionowo okna otwarte na kilka centymetrów, żeby wpuścić do środka powietrze.

Potem ustawiła krzesła w kręgu.

Dziewięć krzeseł. Po jednym dla każdego członka grupy i jedno dla siebie. Teoretycznie krzesła miały być takie same – życie jednak zweryfikowało tę ideę. Choć miała jak najlepsze intencje, zdołała zgromadzić z biegiem lat różne krzesła z rozmaitych materiałów, o różnych kształtach i rozmiarach. Jej swobodne podejście do krzeseł mogło odzwierciedlać styl prowadzenia terapii. Mariana działała nieformalnie, wręcz niekonwencjonalnie.

Terapia, zwłaszcza terapia grupowa, była w jej przypadku ironicznym wyborem zawodu. Zawsze, nawet w dzieciństwie, miała do grup stosunek ambiwalentny, a nawet traktowała je podejrzliwie.

Dorastała w Grecji, na obrzeżach Aten. Mieszkała z rodziną w dużym, rozpadającym się starym domu na szczycie wzgórza otulonego czarnozielonym całunem drzew oliwnych. Jako mała dziewczynka siadała na zardzewiałej huśtawce w ogrodzie i przyglądała się starożytnemu miastu poniżej, ciągnącemu się aż do kolumn Partenonu na szczycie innego wzgórza w oddali. Miasto wydawało się takie ogromne, bezkresne, a ona

czuła się taka mała i nieistotna. Patrzyła na nie z zabobonnymi, złymi przeczuciami.

Wypadki po zakupy w towarzystwie gosposi na zatłoczony i gwarny targ w centrum Aten zawsze budziły w niej niepokój. Kiedy wracała do domu bez szwanku, czuła ulgę i lekkie zaskoczenie. Gdy dorastała, duże skupiska ludzi nadal ją onieśmiały. W szkole trzymała się na uboczu; wydawało się jej, że nie pasuje do dzieciaków z klasy. Trudno było wyzbyć się tego poczucia niedopasowania. Po wielu latach, w czasie terapii, zrozumiała, że szkolne podwórko było po prostu makrokosmosem rodziny, co znaczyło, że jej skrępowanie mniej wiązało się z tym, co tu i teraz – szkolnym podwórkiem, targiem w Atenach czy jakkolwiek inną grupą, w jakiej mogłaby się znaleźć – a bardziej z rodziną, w której się wychowywała, oraz z samotnie stojącym domem.

W ich domu zawsze było zimno, nawet w słonecznej Grecji. I pusto – brakowało w nim ciepła fizycznego i emocjonalnego. W dużej mierze odpowiadał za to ojciec, który, chociaż imponujący pod wieloma względami – przystojny, wpływowy i bystry – miał trudny charakter. Mariana podejrzewała, że został nieodwracalnie skrzywdzony w dzieciństwie. Nie poznała jego rodziców, on zaś rzadko o nich wspominał. Jego ojciec był marynarzem, a o matce najlepiej było mówić jak najmniej. Powiedział Marianie, że pracowała w porcie, a wstyd malujący się przy tym na jego twarzy mógł sugerować, że była prostytutką.

Ojciec Mariany dorastał w slumsach Aten i w porcie w Pireusie. Jako młody chłopak zaczął pracować na statkach i szybko zaangażował się w handel i import kawy oraz pszenicy, a także – jak domyślała się Mariana – bardziej podejrzanych towarów. Przed dwudziestym piątym rokiem życia kupił statek i zaczął budować własną flotę handlową. Dzięki bezwzględności połączonej z ciężką pracą stworzył małe imperium.

Marianie kojarzył się trochę z królem – albo dyktatorem. Z czasem odkryła, że był nadzwyczaj zamożnym człowiekiem, czego nie można było się domyślić z ich surowego, spartańskiego wręcz stylu życia. Może matka, łagodna, delikatna Angielka, mogłaby przydać mu łagodności. Gdyby żyła. Zginęła jednak tragicznie krótko po urodzeniu Mariany.

Mariana dorastała z silnym poczuciem tej straty. Jako terapeutka wiedziała teraz, że pierwsze poczucie własnego ja dziecka ma źródło w spojrzeniu rodziców. Po przyjściu na świat jesteśmy obserwowani – mimika rodziców, to, co widzimy w ich oczach, determinuje nasze

patrzenie na siebie. Mariana straciła spojrzenie matki... i ojca, bowiem, no cóż, prawie nigdy nie patrzył na nią wprost; kiedy się do niej zwracał, zerkał zwykle za jej ramię. Mariana bezustannie zmieniała pozycję, przesuwając się, usiłowała ustawić na linii jego wzroku w nadziei, że ojciec ją dostrzeże, ale zawsze trafiała na peryferie jego pola widzenia.

W rzadkich przypadkach, kiedy udawało się jej zajrzeć w jego oczy, odkrywała w nich ogromną pogardę, palące rozczarowanie. Jego oczy mówiły jej prawdę. Nie była dość dobra. Bez względu na to, jak bardzo się starała, zawsze odczuwała niedostatek; zdawała się go irytować tym, że robiła lub mówiła niewłaściwe rzeczy, że w ogóle istniała. Wiecznie się z nią nie zgadzał, jakby był Petruchem, a ona Kasią – kiedy mówiła, że coś jest zimne, on twierdził, że jest gorące, jeśli mówiła, że jest słonecznie, on upierał się, że pada. Mariana jednak kochała go, pomimo jego krytycyzmu i przekory. Miała tylko jego i pragnęła być godna jego miłości.

W dzieciństwie miłości zaznała niewiele. Miała siostrę, lecz nie były zbyt zżyte. Starsza o siedem lat Elisa nie przejawiała zainteresowania młodszą siostrą. Mariana spędzała więc długie letnie miesiące sama, bawiąc się w ogrodzie pod surowym spojrzeniem gosposi. Nic dziwnego, że wyrosła na odludka i czuła skrępowanie w obecności ludzi.

Ironia tego, że została terapeutką grupową, nie umknęła Marianie. Paradoksalnie, ambiwalencja, którą odczuwała wobec innych, służyła jej w pracy. Podczas terapii to grupa, a nie jednostka, jest przedmiotem uwagi i aby być dobrym terapeutą grupowym, trzeba być, do pewnego stopnia, niewidzialnym. Mariana świetnie to potrafiła. Podczas sesji zawsze trzymała się jak najbardziej z boku. Interweniowała tylko w przypadku przerwania komunikacji albo wtedy, gdy mogła wspomóc interpretację, bądź kiedy coś szło źle.

Owego czwartku kość niezgody pojawiła się niemal natychmiast. Konieczna okazała się interwencja. Problemem, jak zawsze, był Henry.



Henry przyszedł później niż pozostali. Zarumieniony i zdyszany, zdawał się słać na nogach. Mariana zastanawiała się, czy się naćpał. Nie zaskoczyłoby jej to. Podejrzewała, że Henry przedawkowuje leki, ale była jego terapeutką, a nie lekarką, więc nie mogła nic na to poradzić.

Henry Booth miał zaledwie trzydzieści pięć lat, lecz wyglądał starzej. Rudawe włosy przyprószyła siwizna, twarz pokrywały zmarszczki podobne do tych na jego wymiętej koszuli. Ponadto miał zawsze ściągnięte brwi, przez co sprawiał wrażenie wiecznie spiętego, ściśniętego jak sprężyna. Kojarzył się Marianie z bokserem albo zawodnikiem sztuk walki szykującym się do wyprowadzenia – lub przyjęcia – ciosu.

Burknął przeprosiny w związku ze spóźnieniem i usiadł, ściskając w dłoniach papierowy kubeczek z kawą.

To kubeczek okazał się problemem.

Liz odezwała się natychmiast. Emerytowana nauczycielka po siedemdziesiątce pedantycznie pilnowała, żeby wszystko robiono „właściwie”, jak to ujmowała. Mariana odbierała ją jako męczącą, wręcz irytującą. I zdążyła się domyślić, co Liz za chwilę powie.

– To nie jest dozwolone – oznajmiła kobieta, wskazując drżącym ze wzburzenia palcem kubeczek Henry’ego. – Nie możemy przynosić tu niczego z zewnątrz. Wszyscy to wiemy.

Henry chrząknął.

– A czemu?

– Bo takie są zasady, Henry.

– Odpierdol się, Liz.

– Słucham? Mariano, czy słyszałaś, co on do mnie powiedział?

Liz w jednej chwili zalała się łzami, a potem sytuacja rozwinęła się lawinowo – doszło do kolejnej zacieklej konfrontacji Henry’ego z pozostałymi członkami grupy, których połączyła złość na niego.

Mariana uważnie to obserwowała i przyglądała się Henry’emu z troską, niepewna, jak on to zniesie. Pomimo brawury był nadzwyczaj bezbronnym człowiekiem. Jako dziecko zaznał potwornej przemocy fizycznej i seksualnej ze strony ojca, a potem zajęła się nim opieka społeczna i przeszedł przez szereg domów zastępczych. I chociaż przeżył taką traumę, był niebywale inteligentnym człowiekiem – przez jakiś czas wydawało się,

że ta inteligencja wystarczy, by go uratować, bo w wieku osiemnastu lat dostał się na uniwersytet, gdzie zamierzał studiować fizykę. Przeszłość dogoniła go po zaledwie kilku tygodniach – przeżył ogromne załamanie, po którym nie doszedł jeszcze do siebie. Potem nastąpiła smutna historia samookaleczeń, uzależnienia od narkotyków oraz nawracających załamań i związanych z nimi pobytów w szpitalu – aż wreszcie jego psychiatra skierował go do Mariany.

Mariana miała do niego słabość, prawdopodobnie dlatego, że prześladował go taki pech. Nękały ją wątpliwości, czy powinna była przyjąć go do grupy. Nie chodziło tylko o to, że znajdował się w o wiele gorszym stanie od pozostałych – grupa pomaga skutecznie wyleczyć poważnie zaburzonych pacjentów, tyle że tacy pacjenci mogą wywoływać w grupie zakłócenia, a nawet doprowadzić do jej rozpadu. Gdy tylko grupa się ustabilizuje, zawsze budzi zazdrość i może zostać zaatakowana nie tylko przez siły z zewnątrz, czyli osoby z niej wykluczone, ale też przez mroczne i groźne siły drzemiące w niej samej. I odkąd Henry dołączył do nich przed kilkoma miesiącami, był stałym źródłem konfliktu. Przyniósł go ze sobą. Wypełniała go uśpiona agresja, wrzący gniew, nad którym trudno było zapanować.

Mariana jednak nie poddawała się łatwo; postanowiła pracować z Henrym tak długo, jak długo zdoła utrzymać kontrolę nad sytuacją. Wierzyła w grupę, w tych osiem osób siedzących w kręgu; wierzyła w krąg i jego uzdrawiającą moc. W chwilach bardziej marzycielskich przypisywała owej mocy mistyczne właściwości; myślała o okrągłym Słońcu, Księżycu, Ziemi, o orbitach planet, kole, kopule kościoła i obręczce. Platon mówił o dwóch obracających się kręgach duszy kosmicznej, w której uczestniczy dusza jednostkowa, co przemawiało do Mariany. Przecież życie to również krąg, prawda? Od narodzin do śmierci.

Kiedy terapia grupowa przebiega dobrze, w kręgu może się zdarzyć cud – narodziny oddzielnego bytu: ducha grupy, umysłu grupy. Często nazywa się go *dużym umysłem*, przewyższającym sumę jego części składowych, a także inteligencję terapeuty lub indywidualnych uczestników. Jest on mądry, leczący i wysoce pojemny. Mariana wielokrotnie obserwowała jego moc. Na przestrzeni lat w jej salonie wywołano w kręgu wiele duchów, którym potem pozwolono odejść na wieczny spoczynek.

Tego dnia miała się przestraszyć Liz. Nie była w stanie odpuścić sobie kubka z kawą. Wzbudził w niej tyle gniewu i urazy – bo Henry myślał, że

nie musi się stosować do zasad, że może je łamać z taką pogardą – a potem nagle uświadomiła sobie, jak bardzo Henry kojarzył się jej z jej starszym bratem, osobą niezwykle roszczeniową, tyranem. Cały gniew, który wzbudzał w niej brat, a który Liz tłumiała, zaczął wypływać na powierzchnię. Mariana pomyślała, że to dobrze, że ten gniew musiał się wydostać. Pod warunkiem że Henry potrafi znieść rolę psychologicznego worka treningowego.

Oczywiście nie potrafił.

Wstał gwałtownie, wydając przy tym pełen udręki okrzyk. Cisnął kubek z kawą na podłogę. Pokrywka odskoczyła i na deskach w środku kręgu zaczęła się rozlewać kałuża czarnej cieczy.

Pozostali członkowie grupy głośno i nieco histerycznie wyrazili oburzenie. Liz ponownie zalała się łzami, a Henry chciał wyjść. Mariana przekonała go, żeby został i przedyskutował to, co się wydarzyło.

– To tylko pieprzona kawa, o co tyle szumu? – zapytał Henry głosem obruszonego dziecka.

– Nie chodzi o kawę – odparła Mariana. – Tylko o granice. Granice tej grupy, zasady, których przestrzegamy. Rozmawialiśmy już o tym. Nie możemy uczestniczyć w terapii, jeżeli nie czujemy się bezpieczni. Granice dają nam poczucie bezpieczeństwa. Są tym, o co chodzi w terapii.

Henry patrzył na nią wzrokiem bez wyrazu. Mariana wiedziała, że nie rozumiał. Przecież granice z definicji zostają zniszczone jako pierwsze, gdy dziecko jest maltretowane. Wszystkie granice Henry'ego zostały porwane na strzępy, kiedy był chłopcem. W konsekwencji nie pojmował tej koncepcji. Nie wiedział również, że swoim zachowaniem powoduje poczucie dyskomfortu u innych, a robił to często, naruszając czyjąś fizyczną lub psychiczną przestrzeń – stawał zbyt blisko rozmówcy i przejawiał zachłanność w stopniu, jakiego Mariana jeszcze nigdy nie spotkała u żadnego pacjenta. Zawsze mu było mało. Zamieszkałby z nią, gdyby mu na to pozwoliła. Utrzymanie granicy między nimi zależało wyłącznie od niej; to ona musiała określać reguły ich relacji, aby ta pozostawała zdrowa. Należało to do obowiązków terapeutki.

Henry wiecznie na nią naciskał, prowokował ją, starał się zająć jej za skórę... a ona pod pewnymi względami coraz gorzej sobie z tym radziła.

Gdy inni wyszli, Henry został – rzekomo by pomóc sprzątać. Mariana wiedziała, że kryje się za tym coś więcej, jak zawsze w jego przypadku. Stał i obserwował ją w milczeniu.

– No, Henry, pora się zbierać... Czegoś potrzebujesz? – zachęciła go.

Przytaknął skinieniem głowy. A potem sięgnął do kieszeni.

– Proszę – rzekł. – Przyniosłem ci coś.

Wyciągnął pierścionek. Czerwony, jarmarczny, plastikowy. Wyglądał, jakby pochodził z bożonarodzeniowej petardy z niespodzianką.

– To dla ciebie. Prezent.

Marina pokręciła głową.

– Wiesz, że nie mogę go przyjąć.

– Dlaczego?

– Musisz przestać przynosić mi różne rzeczy, Henry. Okej? A teraz naprawdę powinieneś iść do domu.

Ani drgnął. Mariana myślała przez chwilę. Nie planowała takiej konfrontacji, nie teraz, jednak wydała się jej stosowna.

– Posłuchaj, Henry. Musimy o czymś porozmawiać.

– O czym?

– W poniedziałek wieczorem... Po tym, jak skończyła się u mnie sesja grupowa, wyjrzałam przez okno. I zobaczyłam cię na dworze. Po drugiej stronie ulicy. Przy słupie latarni. Obserwowałeś dom.

– To nie byłem ja.

– Owszem, ty. Widziałam twoją twarz. I zobaczyłam cię tam nie po raz pierwszy.

Henry zrobił się czerwony jak burak i unikał patrzenia jej w oczy. Pokręcił głową.

– To nie ja, nie...

– Posłuchaj. Nie przeszkadza mi, że jesteś ciekaw innych grup, które prowadzę. Ale to jest coś, o czym rozmawiamy tutaj, podczas naszych spotkań. Nie powinieneś działać w ten sposób. Nie jest w porządku szpiegowanie mnie. Takie zachowanie sprawia, że czuję się zaatakowana, zagrożona i...

– Ja nie szpieguję! Tylko tam stałem. I co, kurwa, z tego?

– Zatem przyznajesz, że tam byłeś?

Henry postąpił krok w jej stronę.

– Dlaczego nie możemy być sami? Dlaczego nie możesz spotykać się ze mną *bez nich*?

– Wiesz dlaczego. Bo widzę w tobie uczestnika grupy. Nie mogę się spotykać z tobą indywidualnie. Jeśli potrzebujesz terapii indywidualnej, mogę polecić koleżkę...

– Nie. Chcę ciebie...

Henry znów wykonał gwałtowny ruch w jej stronę. Mariana się nie cofnęła. Wysunęła przed siebie rękę.

– Nie. Stój. Dobrze? Jesteś o wiele za blisko. Henry...

– Poczekaj. Posłuchaj...

Zanim zdążyła mu przeszkodzić, uniósł ciężki czarny sweter – na jego bladym bezwłosym torsie malował się makabryczny obraz.

Użył żyłki, którą zrobił na skórze głębokie nacięcia układające się w krucyfiksy. Krwistoczerwone krzyże różnej wielkości pokrywały klatkę piersiową i brzuch. Niektóre były mokre, wciąż krwawiły, inne pokryte strupami, płaczące czerwonymi twardymi koralikami przypominającymi zakrzepłe krwawe łyzy.

Mariana czuła, że przewraca się jej w żołądku. Zemdliło ją z obrzydzenia i miała ochotę odwrócić wzrok, ale tego nie zrobiła. To było oczywiste wołanie o pomoc, próba wzbudzenia w niej troskliwej reakcji – ale nie tylko. Była to również emocjonalna napaść, psychologiczny atak na jej zmysły. Henry zdołał wreszcie uspić czujność Mariany, podejść ją, za co go znienawidziła.

– Coś ty zrobił, Henry?

– Nie... nie mogłem się powstrzymać. Musiałem. A ty... musiałaś to zobaczyć.

– Jak myślisz, jak się teraz czuję? Potrafisz się domyślić, jaka jestem zdenerwowana? Chcę ci pomóc, ale...

– Ale co? – Zaśmiał się. – Co cię powstrzymuje?

– Stosownym czasem na to, żebyś udzielała ci pomocy, są sesje grupowe. Miałaś tę okazję dzisiaj wieczorem i z niej nie skorzystałaś. Wszyscy mogliśmy ci pomóc. Jesteśmy tu po to, by ci pomagać...

– Nie chcę *ich* pomocy. Chcę *ciebie*. Mariano, potrzebuję cię...

Mariana wiedziała, że powinna skłonić go do wyjścia. Nie do niej należało oczyszczanie tych ran. Potrzebował pomocy medycznej. Powinna

być stanowcza, dla jego dobra, ale i dla swojego. Nie potrafiła jednak go wyrzucić – nie po raz pierwszy jej empatia pokonała zdrowy rozsądek.

– Zaczekaj... chwilę.

Podeszła do komody, otworzyła szufladę i zaczęła w niej szperać. Wyciągnęła apteczkę. Już miała ją otworzyć, kiedy zadzwonił telefon.

Sprawdziła numer. Zoe. Odebrała.

– Zoe?

– Możesz rozmawiać? To ważne.

– Daj mi chwilę. Oddzwonię. – Rozłączyła się i wróciła do Henry'ego. Rzuciła mu apteczkę. – Henry... weź to. Oczyść skaleczenia. Idź do lekarza, jeśli potrzebujesz. Dobrze? Zadzwonię do ciebie jutro.

– To wszystko? I ty nazywasz siebie terapeutką?

– Dość. Przestań. Musisz wyjść.

Ignorując jego protesty, Mariana stanowczo wyprowadziła go do przedpokoju i za drzwi wejściowe. Zamknęła je za nim. Już miała przekręcić zasuwę, ale oparła się pokusie.

Poszła do kuchni. Otworzyła lodówkę, żeby wyjąć butelkę sauvignon blanc.

Była wstrząśnięta. Musiała dojść do siebie, zanim zadzwoni do Zoe. Nie chciała jeszcze bardziej obciążać tej dziewczyny. Równowaga w ich relacji uległa zaburzeniu, gdy zginął Sebastian – Mariana postanowiła, że od tej chwili będzie ją odbudowywała. Wciągnęła głęboko powietrze, żeby się uspokoić. Nalała duży kieliszek wina i wybrała numer.

Zoe odebrała po pierwszym sygnale.

– Mariana?

Mariana od razu pojęła, że stało się coś złego. W głosie Zoe dało się wyczuć napięcie, natarczywość zazwyczaj pojawiającą się w sytuacjach kryzysowych. „Boi się” – pomyślała. Poczuła, że jej serce zaczyna bić szybciej.

– Kochanie... Wszystko w porządku? – zapytała. – Co się stało?

Zoe odpowiedziała po sekundzie milczenia:

– Włącz telewizor. Na wiadomości.

Mariana sięgnęła po pilota.

Włączyła wysłużony przenośny telewizor stojący na mikrofalówce – jedną ze świętych rzeczy Sebastiana, kupiony przez niego jeszcze na studiach i służący do oglądania meczów krykieta i rugby w czasie, gdy udawał, że pomaga Marianie szykować weekendowe posiłki. Urządzenie było dość kapryśne i migąło przez chwilę, zanim obudziło się do życia.

Mariana wybrała kanał wiadomości BBC. Dziennikarz w średnim wieku właśnie coś relacjonował. Stał na dworze; zapadał zmrok, więc trudno było określić, gdzie się znajduje – chyba na polu lub na łące. Mówił prosto do kamery.

– ...znaleziono w Cambridge w rezerwacie przyrody Paradise. Jest ze mną mężczyzna, który dokonał odkrycia... Opowie mi pan, co się tutaj wydarzyło?

Pytanie skierowano do kogoś znajdującego się poza zasięgiem obiektywu. Kamera przesunęła się, ukazując zdenerwowanego, czerwonego na twarzy niskiego mężczyznę po sześćdziesiątce. Mrugał, oślepiiony światłem. Wydawał się oszołomiony. Mówił z wahaniem.

– To się stało kilka godzin temu... Zawsze wyprowadzam psa o szesnastej, więc to było pewnie jakoś tak, może piętnaście, dwadzieścia po. Chodzę z nim ścieżką nad rzeką... Szliśmy właśnie przez Paradise... i...

– Człowiek się zająknął i nie dokończył zdania. – To pies... – podjął kolejną próbę. – Zniknął mi w wysokiej trawie przy bagnie. I nie wracał, kiedy go wołałem. Pomyślałem, że znalazł ptaka albo lisa, więc chciałem sprawdzić. Przeszedłem między drzewami... do krawędzi bagna, nad wodę i... zobaczyłem ją.

W oczach mężczyzny błysnęło coś dziwnego. Mariana знаła to spojrzenie aż nazbyt dobrze. „Zobaczył coś strasznego – pomyślała. – Nie chcę tego słuchać. Nie chcę wiedzieć, co to było”.

Mężczyzna mówił szybciej, niezmordowanie, jakby musiał to z siebie wyrzucić:

– To była dziewczyna... Mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Miała rude włosy do ramion. A przynajmniej tak mi się wydaje, że rude, bo wszędzie wokół była krew, tak dużo krwi... – Urwał.

– Nie żyła? – ponaglił go dziennikarz.

– Zgadza się – potwierdził jego rozmówca. – Zadzgano ją nożem. Zadano jej liczne ciosy. Nie potrafiłem stwierdzić ile... A jej twarz... Boże, to było okropne... Oczy... oczy miała otwarte... patrzące... patrzące... – Zamilkł, ledwo panując nad płaczem.

„Jest w szoku – pomyślała Mariana. – Nie należało przeprowadzać z nim wywiadu. Ktoś powinien to przerwać”.

I rzeczywiście, w tym momencie dziennikarz – być może dostrzegłszy, że posunął się za daleko – zakończył rozmowę i obiektyw skierowano na niego.

– Nadajemy z Cambridge. Policja zajęła się znalezionym ciałem. Ofiarą nożownika padła młoda kobieta, prawdopodobnie niewiele po dwudziestce...

Mariana wyłączyła odbiornik. Wpatrywała się w niego przez chwilę oszołomiona. Nie mogła się ruszyć. Wtem przypomniała sobie o telefonie, który trzymała w dłoni. Przyłożyła go do ucha.

– Zoe? Jesteś tam jeszcze?

– Myślę... że to Tara.

– Słucham?

Tara była bliską przyjaciółką Zoe ze studiów. Uczyły się na tym samym roku w St Christopher's College na Uniwersytecie Cambridge.

Mariana się zawahała; starała się, żeby w jej głosie nie dało się usłyszeć lęku.

– Dlaczego tak uważasz?

– Opis pasuje do Tary... Nikt jej nie widział... od wczoraj... Pytam wszystkich i... tak bardzo się boję. Nie wiem, co...

– Poczekaj. Kiedy widziałaś ją po raz ostatni?

– Wczoraj wieczorem. – Zoe zamilkła. – Mariano, ona... była taka dziwna.

– Jak to rozumiesz?

– Mówiła różne rzeczy... takie szalone.

– Co to znaczy „szalone”?

Po chwili milczenia Zoe odpowiedziała szeptem:

– Nie mogę o tym teraz mówić. Przyjedziesz tu?

– Oczywiście. Ale Zoe, posłuchaj. Rozmawiałaś z uczelnią? Musisz im powiedzieć... Dziekanowi.

– Nie wiem co.



– Dokładnie to co przed chwilą mnie. Że się o nią martwisz. Skontaktują się z policją i rodzicami Tary...

– Z rodzicami? A... a jeśli się mylę?

– Na pewno się mylisz – rzuciła Mariana pewnym tonem, chociaż wcale nie miała takiej pewności. – Tarze nic się nie stało, niemniej trzeba to sprawdzić. Rozumiesz to, prawda? Czy mam zadzwonić w twoim imieniu?

– Nie, nie. Nie trzeba... Zrobię to.

– Dobrze. A potem idź spać, okej? Przyjadę z samego rana.

– Dzięki, Mariano. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Mariana się rozłączyła. Kieliszek z białym winem stał nietknięty na blacie. Sięgnęła po niego i wypła duszkiem.

Ręka, którą wyciągnęła po butelkę, drżała. Nalała sobie drugi kieliszek.

Mariana poszła na górę i zaczęła pakować małą torbę, na wypadek gdyby musiała zostać w Cambridge dzień lub dwa.

Starła się nie pozwolić uciekać myślom, ale przychodziło jej to z trudem, zważywszy na ogromne zdenerwowanie, jakie odczuwała. Gdzieś tam żył mężczyzna – prawdopodobnie mężczyzna, biorąc pod uwagę skrajną brutalność ataku – niebezpiecznie chory. Zamordował w potworny sposób młodą kobietę... niewykluczone, że mieszkającą parę kroków od miejsca, w którym sypiała jej ukochana Zoe.

Mariana usiłowała ignorować myśl, że ofiarą mogła być Zoe, jednak nie potrafiła jej w pełni stłumić. Robiło się jej niedobrze ze strachu, jaki czuła dotychczas tylko raz w życiu – w dniu śmierci Sebastiana. Było to poczucie bezsilności, niemocy, koszmarnej niemożności uchronienia bliskich.

Zerknęła na swoją prawą dłoń. Nie przestawała się trząść. Zwinęła ją w pięść i mocno zacisnęła. Nie zrobi tego, nie załamie się. Nie teraz. Zachowa spokój. Skupi się.

Zoe jej potrzebowała i tylko to się liczyło.

Gdyby tylko Sebastian tu był... On wiedziałby, co robić. Nie zastanawiałby się, nie ociągał, nie pakowałby torby – chwyciłby klucze i wybiegł z domu zaraz po zakończeniu rozmowy z Zoe. Sebastian tak właśnie by postąpił. Dlaczego ona tak nie robiła?

„Bo jesteś tchórzem” – pomyślała.

To była prawda. Gdyby tylko miała choć odrobinę siły Sebastiana. Jego odwagi. „Chodź, kochana – wyobraziła sobie jego słowa – daj mi rękę i razem zmierzmy się z draniami”.

Mariana wgramoliła się do łóżka, położyła i rozmyślała, odpływając w sen. Po raz pierwszy od roku jej ostatnie świadome refleksje nie dotyczyły zmarłego męża.

Myślała o innym mężczyźnie: zanurzonej w cieniu postaci z nożem, która tak okrutnie potraktowała tę biedaczkę. Umysł Mariany medytował o nim, kiedy jej powieki zatrzepotały i opadły. Zachodziła w głowę, co teraz robi, gdzie jest...

I o czym myśli.

*7 października*

Kiedy się zabije człowieka, nie ma odwrotu.

Teraz to widzę. Dostrzegam w sobie nową osobę.

Przypuszczam, że to przypomina odrodzenie. Ale nie takie zwykłe – to metamorfoza. Z popiołu nie podnosi się Feniks, tylko jakieś obrzydliwe stworzenie: zdeformowane, niezdolne do lotu, drapieżne, korzystające z pazurów, by ciąć i szarpać.

Kiedy to piszę, czuję, że mam kontrolę. W tym momencie jestem spokojny i poczytalny.

Tyle że istnieje więcej moich ja.

Jest tylko kwestią czasu, kiedy moje drugie ja powstanie, głodne krwi, wściekłe i szukające zemsty. I nie zawaha się, dopóki jej nie dokona.

Jestem dwiema osobami w jednym umyśle. Część mnie dotrzymuje tajemnicy – wyłącznie ona zna prawdę – ale jest więźniem: zamkniętym, odurzonym, pozbawionym głosu. Znajduje ujście tylko wtedy, kiedy jego strażnik na moment się dekoncentruje. Usiłuje przemówić, kiedy jestem pijany lub śpię. Nie jest łatwo. Komunikacja zachodzi sporadycznie – zakodowany plan ucieczki z obozu jenieckiego. Kiedy on zbliża się za bardzo, strażnik przechwytyuje wiadomość. Mur się wznosi. Umysł wypełnia pustka. Upragnione wspomnienie się ulatnia.

Przetrwam. Muszę. Zdołam się jakoś przedrzeć przez dym i mrok i skontaktować się z nim – zdrową psychicznie częścią mnie. Tą częścią, która nie chce krzywdzić ludzi. On mi może wiele powiedzieć. O tym, co muszę odkryć. Jak i dlaczego jestem tym, kim jestem – człowiekiem tak dalekim od wizji tego, kim chciał być, człowiekiem przepełnionym nienawiścią i gniewem, kimś pokreconym w środku...

A może się okłamuję? Zawsze taki byłem i nie chciałem się do tego przyznać?

Nie. W to nie uwierzę.

Przecież każdy ma prawo być bohaterem swojej historii. Dlatego i ja muszę móc być bohaterem mojej. Mimo że nie jestem. Ponieważ jestem czarnym charakterem.

Kiedy następnego dnia rano Mariana wychodziła z domu, wydawało się jej, że zobaczyła Henry'ego. Stał za drzewem po drugiej stronie ulicy.

Gdy spojrzała tam raz jeszcze, nikogo nie dostrzegła. Uznała, że pewnie się jej przywidziało, a nawet jeśli nie, miała na głowie poważniejsze zmartwienia. Przepędziła myśli o Henrym i pojechała metrem na dworzec King's Cross.

Tam wsiadła do szybkiego pociągu do Cambridge. Dzień był słoneczny, po perfekcyjnie błękitnym niebie przepływały tylko nieliczne białe chmurki. Usiadła przy oknie, by patrzeć na mijane pędem zielone żywopłoty i złotą pszenicę falującą na wietrze niczym żółte morze. Cieszyła się, że czuje na twarzy słońce – drżała, ale nie z braku ciepła, tylko z lęku. Nie mogła przestać się martwić tym, co się wydarzyło. Zoe nie odzywała się do niej od ich wieczornej rozmowy. Mariana wysłała jej esemesa, lecz nie dostała odpowiedzi.

Może to był fałszywy alarm? Może Zoe się myliła?

Mariana szczerze na to liczyła, i to nie tylko dlatego, że знаła Tarę osobiście – dziewczyna zatrzymała się u nich na weekend w Londynie kilka miesięcy przed śmiercią Sebastiana. Lęk Mariany o Tarę był głównie samolubny – wynikał z troski o siostrzenicę.

Zoe z rozmaitych powodów miała kłopoty w okresie dojrzewania; zdołała je jednak pokonać, a nawet więcej – „triumfalnie przezwyciężyć”, jak to ujął Sebastian. Jej największym osiągnięciem było dostanie się na anglistykę na Uniwersytecie Cambridge. Tara była pierwszą osobą, z którą Zoe się tam zaprzyjaźniła, i Mariana bała się, że jej śmierć w tak niewyobrażalnie potwornych okolicznościach mogłaby zupełnie rozbić Zoe.

Z jakiegoś powodu Mariana ciągle wracała myślami do ich rozmowy telefonicznej. Coś ją niepokoiło. Tyle że nie potrafiła konkretnie wskazać co.

Ton głosu Zoe? Mariana odniosła wrażenie, że Zoe coś ukrywa. To przez jej krótkie wahanie i unik, kiedy Mariana zapytała, jakie „szalone” rzeczy opowiadała Tara.

„Nie mogę o tym teraz mówić”.

Dlaczego? Co takiego powiedziała Tara?

„Być może to nic ważnego – pomyślała Mariana. – Przestań. Przestań to robić”. Miała przed sobą jeszcze godzinę jazdy; nie mogła tak beczynnie siedzieć i doprowadzać się do obłędu. Dotrze na miejsce w kompletnej rozsypce. Musi się zająć czymś innym.

Sięgnęła do torby i wyciągnęła egzemplarz „British Journal of Psychiatry”. Przekartkowała go, ale nie potrafiła się skupić na żadnym z artykułów. Niezmiennie wracała myślami do Sebastiana. To, że jechała do Cambridge bez niego, napawało ją przerażeniem. Nie była tam od jego śmierci.

Często odwiedzali Zoe razem i Mariana czule wspominała te wizyty. Pamiętała dzień, w którym wprowadzili Zoe do St. Christopher’s College, pomogli jej się rozpakować i zadomowić. To była jedna z ich najszcześniejszych wspólnych chwil – czuli się jak dumni zastępczy rodzice córki, którą bardzo kochali.

Zoe wydawała się mała i bezbronna, kiedy szykowali się do zostawienia jej tam, a gdy się żegnali, Mariana zauważyła, że Sebastian patrzył na Zoe z taką czułością i miłością przemieszanymi z niepokojem, jakby patrzył na własne dziecko, którym dziewczyna w pewnym sensie była. Po wyjściu z pokoju Zoe nie umieli się zmusić do wyjazdu z Cambridge, więc spacerowali nad rzeką, ramię w ramię, jak w czasach młodości. Oboje tu studiowali i Uniwersytet Cambridge, podobnie jak samo miasto, był nierozzerwalnie związany z ich romanssem.

To tutaj się poznali, kiedy Mariana miała zaledwie dziewiętnaście lat.

Do ich spotkania doszło przypadkiem. Nie istniał powód, który miałby do niego doprowadzić – studiowali w różnych college’ach, na dodatek różne kierunki: Sebastian ekonomię, Mariana anglistykę. Przerażała ją myśl, że przecież mogli nigdy na siebie nie wpaść. I co wtedy? Jak wyglądałoby jej życie? Byłoby lepsze? Czy gorsze?

Ostatnio Mariana bezustannie przeczesywała wspomnienia – szukała przeszłości, starała się ujrzeć ją wyraźnie; usiłowała zrozumieć ich wspólną podróż, zobaczyć ją w szerszym kontekście. Próbowwała przypomnieć sobie drobiazgi, które razem robili, odtworzyć zapomniane rozmowy, wyobrażała sobie, co Sebastian mógłby powiedzieć lub zrobić w danym momencie. Nie była pewna, jak wiele z tego, co sobie przypomniała, było prawdziwe; im więcej wspominała, tym bardziej Sebastian przekształcał się w mit. Był teraz duchem – historią.

Mariana przeniosła się do Anglii w wieku osiemnastu lat. Od dziecka snuła romantyczne wyobrażenia o tym kraju. Możliwe, że nie mogło być inaczej, zważywszy na to, ile Anglii jej matka zostawiła po sobie w domu w Atenach: regały i półki w każdym pokoju, małą bibliotekę pełną angielskich książek – powieści, dramatów, poezji – sprowadzonych tam tajemniczym sposobem przed przyjściem Mariany na świat.

Z czułością snuła wizję przyjazdu matki do Aten z kuframi i walizkami pełnymi książek zamiast ubrań. Pozbawiona matki samotna dziewczyna szukała w tych książkach pocieszenia i towarzystwa. W ciągu długich letnich popołudni nauczyła się kochać dotyk książek w dłoniach, zapach papieru, wrażenia wywoływane przewracaniem stron. Siadała w cieniu, na zardzewiałej huśtawce, wgrzyzała się w chrupiące zielone jabłko albo przejrzałą brzoskwinie i zatracala w opowieści.

Za sprawą tych historii zakochała się w wizji Anglii i angielskości – Anglii, która być może nigdy nie istniała poza stronicami tych książek, Anglii ciepłego letniego deszczu, mokrej zieleni i kwitnących jabłoni, wijących się rzek i wierzb oraz wiejskich pubów z ogniem huczącym w kominku. W Anglii Niesamowitej Piątki Enid Blyton, Piotrusia Pana i Wendy, Króla Artura i Camelotu, *Wichrowych Wzgórz* i Jane Austen, Shakespeare'a i... Tennysona.

To właśnie tam, kiedy była jeszcze dziewczynką, do jej historii wkroczył Sebastian. Jak wszyscy dobrzy bohaterowie, pozwolił przeczuwać swoje nadejście na długo przed tym, zanim się pojawił. Mariana nie wiedziała jeszcze, jak będzie wyglądał ten romantyczny bohater z jej wyobraźni, ale nie wątpiła w jego istnienie.

Żył gdzieś tam, a ona pewnego dnia go odnajdzie.

A potem, po latach, kiedy przybyła do Cambridge jako studentka, było to takie piękne, że czuła się, jakby wkroczyła w krainę baśni – do zaczarowanego miasta z poematu Tennysona. I była pewna, że znajdzie go tam, w tym magicznym miejscu. Znajdzie miłość.

Smutna rzeczywistość pokazała naturalnie, że Cambridge to nie bajka, tylko miejsce jakich wiele. Problem z wytworami fantazji Mariany – jak odkryła to wiele lat później podczas terapii – polegał na tym, że sprowadziła ze sobą... siebie. W szkole, gdzie czuła się wyobcowana, podczas przerw snuła się korytarzami samotna i niespokojna jak duch; ciągnęło ją do biblioteki, w której znajdowała komfortowe schronienie. I teraz, jako studentka St. Christopher's College, odtwarzała ten sam

wzorzec: większość czasu spędzała w bibliotece i przyjaźniła się z nielicznymi, podobnie jak ona nieśmiały miłośnikami książek. Nie wzbudzała zainteresowania chłopców ze swojego roku i nikt jej nigdzie nie zapraszał.

Może nie była dość atrakcyjna? Bardziej podobna do ojca niż do matki, miała ciemne włosy i uderzająco ciemne oczy. Lata później Sebastian często jej powtarzał, jaka jest piękna, kłopot polegał jednak na tym, że ona się taka nie czuła. I podejrzewała, że jej piękno było wyłączną zasługą zachwyty Sebastiana – kąpiąc się w jego blasku, rozkwitała. To jednak przyszło potem, wcześniej bowiem, gdy była jeszcze nastolatką, nie podchodziła do swojego wyglądu z zaufaniem, co dodatkowo potęgował fakt, że miała kiepski wzrok, przez co od dziesiątego roku życia musiała nosić ohydne okulary z grubymi szklami. Jako piętnastolatka zaczęła nosić szkła kontaktowe i zastanawiała się, czy dzięki temu zmieni się jej wygląd i jej własny stosunek do niego. Stawała przed lustrem i przypatrywała się swemu odbiciu – bezskutecznie starała się ujrzeć siebie wyraźnie i nigdy nie satysfakcjonowało jej to, co widziała. Nawet w tak młodym wieku uświadamiała sobie mgliście, że atrakcyjność ma coś wspólnego ze światem wewnętrznym, z pewnością siebie, której jej brakowało.

Niemniej, podobnie jak podziwiane przez nią fikcyjne bohaterki, Mariana wierzyła w miłość. Mimo niezbyt obiecujących pod tym względem dwóch semestrów na studiach nie chciała porzucić nadziei.

Jak Kopciuszek czekała na bal.

Bal jej college'u odbywał się na rozległej trawiastej przestrzeni schodzącej ku wodzie, zwanej Backs. Rozstawiono tu namioty z jedzeniem i napojami, grała muzyka i tańczono. Mariana umówiła się ze znajomymi, ale nie mogła wypatrzeć ich w tłumie. Wymagało to od niej wiele odwagi, by samotnie przyjść na bal, i już tego żałowała. Stała nad rzeką, czując się zupełnie nie na miejscu pośród tych wszystkich pięknych dziewcząt w balowych sukniach i młodych mężczyzn w wieczorowych strojach, od których biły taka elegancja i pewność siebie. Mariana uzmysłowiła sobie, że odczuwa smutek i nieśmiałość, tak bardzo niepasujące do wesołości otoczenia. Najwyraźniej właściwym dla niej miejscem było ubocze – przyglądanie się życiu z obrzeży. Popęłniła błąd, wyobrażając sobie, że może być inaczej. Postanowiła się poddać i wrócić do swojego pokoju.

I w tym momencie usłyszała chłupot.



Rozejrzała się. Znów dotarli do niej pluski, śmiechy i okrzyki. Na rzece niedaleko kilku chłopców wygłupiało się na łodziach wiosłowych i płaskodennych. Jeden z nich stracił równowagę i wpadł do wody.

Mariana przyglądała się młodemu mężczyźnie, który chlapiąc, wypłynął na powierzchnię. Dotarł do brzegu i podciągnął się, wyłaniając się z rzeki niczym jakieś mityczne stworzenie, półbóg narodzony w wodzie. Miał dziewiętnaście lat, ale wyglądał na dorosłego. Był wysoki, muskularny i przemoczony do suchej nitki; koszula i spodnie oblepiały mu ciało, blond włosy przylgnęły do twarzy, zasłoniły oczy. Sięgnął ręką, żeby je odsłonić, spojrzał przed siebie... i zobaczył Marianę.

To była dziwna, ponadczasowa chwila – moment, kiedy ujrzeli się po raz pierwszy. Czas zwolnił, rozpląszczył się i rozciągnął. Mariana stała jak urzeczona, wpatrzona w jego oczy, niezdolna odwrócić wzroku. Czuła się nieswojo, jakby kogoś rozpoznała – kogoś, kogo niegdyś dobrze знаła, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie lub kiedy stracili ze sobą kontakt.

Młody mężczyzna zignorował szydercze okrzyki kolegów. Z pełnym zaciekawieniem, coraz szerszym uśmiechem ruszył w jej stronę.

– Cześć – odezwał się. – Mam na imię Sebastian.

I tak się to stało.

Grecy powiadają: „Było im to pisane”. To znaczy, że od tego momentu ich losy się połączyły. Mariana często usiłowała przypomnieć sobie szczegóły tamtego pamiętnego wieczoru – o czym rozmawiali, jak długo tańczyli, kiedy się pocałowali. Chociaż bardzo się starała, detale umykały jej jak ziarnka piasku pomiędzy palców. Pamiętała tylko, że się całowali o wschodzie słońca i że od tego momentu byli już nierozłączni.

Pierwsze lato w Cambridge spędzili razem – trzy miesiące w kokonie swoich objęć – nie przejmując się zewnętrznym światem. Czas się zatrzymał w tym nieprzemijającym miejscu; zawsze świeciło tam słońce, a oni spędzali dni, kochając się lub na długich zakrapianych alkoholem piknikach na Backs, albo pływając po rzece pod kamiennymi mostami, pośród wierzb i krów pasących się na łąkach. Sebastian stawał na rufie łodzi i odpychał się żerdzią od dna, Mariana zaś, odurzona alkoholem, zanurzała czubki palców w wodzie i spoglądała na mijające ich łabędzie. Nie zdawała sobie wówczas sprawy z tego, że zdążyła się już zakochać, głęboko i nieodwracalnie.

W pewnym sensie stali się sobą nawzajem – połączyli się jak koraliki rzęci.

To nie znaczy, że nic ich nie różniło. W przeciwieństwie do Mariany wywodzącej się z dobrze sytuowanej rodziny Sebastian wychowywał się w niedostatku. Jego rodzice się rozwiedli, a on nie był zżyty z żadnym z nich. Uważał, że nie zapewnili mu dobrego startu, od początku musiał o wszystko zabiegać sam. Twierdził, że pod pewnymi względami utożsamiał się z ojcem Mariany oraz jego dążeniem do sukcesu. Pieniądze miały dla niego znaczenie, bo – inaczej niż Mariana – wychowywał się bez nich, dlatego je szanował i chciał zapewnić sobie udane życie w mieście, „żebyśmy mogli stworzyć bezpieczne warunki sobie... i naszym dzieciom”.

Tak niedorzecznie dojrzałe mówił w wieku zaledwie dwudziestu lat. Jaką naiwnością było sądzić, że spędzą resztę życia razem. W tamtych dniach żyli przyszłością i bez końca ją planowali. Nie rozmawiali o przeszłości, o nieszczęśliwych latach poprzedzających ich spotkanie. Pod wieloma względami Mariana i Sebastian zaczęli żyć, kiedy się odnaleźli – kiedy się zobaczyli nad rzeką. Mariana wierzyła, że ich miłość będzie trwała wiecznie. Że nigdy się nie skończy...

Czy z perspektywy czasu dostrzegła coś świętokradczego w tym założeniu? Coś na kształt pychy? Niewykluczone. Jechała oto bowiem samotnie pociągiem, pokonując trasę, którą przemierzali niezliczoną ilość razy wspólnie, na różnych etapach życia i w rozmaitych nastrojach – najczęściej szczęśliwi, czasami nie – rozmawiając, czytając lub śpiąc; kiedy Mariana drzemała, opierała głowę na jego ramieniu. Oddałaby wszystko, by odzyskać te zwyczajne chwile.

Potrafiła niemalże wyobrazić go sobie tutaj – w wagonie, siedzącego obok niej – i gdy zerknęła w okno, na poły spodziewała się zobaczyć odbicie twarzy Sebastiana, które wraz z jej odbiciem nakładałoby się na mijane krajobrazy.

Spostrzegła jednak inną twarz.

Twarz męczyzny, który się jej przypatrywał.

Zamrugnęła, zaniepokojona. Odwróciła się od okna, żeby na niego spojrzeć. Siedział naprzeciwko niej i jadł jabłko. Uśmiechał się.

Mężczyzna wciąż przypatrywał się Marianie – chociaż nazywanie go mężczyzną było raczej przesadną łaskawością.

Wyglądał na kogoś zaraz po dwudziestce: miał chłopięcą twarz, kręcone brązowe włosy i gładkie policzki upstrzone piegami, przez co zdawał się jeszcze młodszy. Wysoki i chudy jak patyk, był ubrany w marynarkę z ciemnego sztruku, wymiętą białą koszulę oraz szalik w barwach uczelni – odcieniach błękitu, czerwieni i żółci. Brązowe oczy, ukryte częściowo za okularami w staromodnych metalowych oprawkach, emanowały inteligencją i ciekawością i patrzyły na Marianę z oczywistym zainteresowaniem.

– Jak się masz? – zagaił ją.

Spojrzała na niego trochę skonsternowana.

– Czy my... się znamy?

Uśmiechnął się.

– Jeszcze nie. Ale liczę, że się poznamy.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się. Nastąpiło milczenie.

– Poczęstujesz się? – podjął kolejną próbę. Podsunął jej papierową torbę pełną owoców: winogron, bananów i jabłek. – Weź coś – powiedział. – Weź banana.

Mariana uśmiechnęła się uprzejmie. Uznała, że chłopak ma miły głos. Pokręciła głową.

– Nie, dziękuję.

– Jesteś pewna?

– Jak najbardziej.

Odwróciła się i wyjrzała za okno w nadziei, że to zakończy interakcję. Widziała odbicie chłopaka w szybie. Rozczarowany wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie panował w pełni nad swoimi długimi kończynami, bo potracił kubek i wylał herbatę. Część wylądowała na stoliku, ale większość na jego kolanach.

– Jasny gwint!

Zerwał się na równe nogi i wyciągnął z kieszeni chusteczkę. Starł kałużę herbaty z blatu i zaczął osuszać plamę na spodniach. Posłał Marianie przeproszające spojrzenie.

– Przepraszam. Nie ochlapałem cię?

– Nie.

– To dobrze.

Znowu usiadł. Czuła na sobie jego wzrok.

– Jesteś... studentką? – odezwał się po chwili.

Pokręciła głową.

– Nie.

– Ach. Pracujesz w Cambridge?

Znowu zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie.

– W takim razie jesteś... turystką?

– Nie.

– Hm. – Ściągnął brwi, wyraźnie zakłopotany.

Zapadła cisza. Mariana się poddała.

– Jadę w odwiedzin... Do siostrzenicy.

– Zatem jesteś *ciotką*. – Wyglądał, jakby mu ulżyło, że może przypisać Marianę do jakiejś kategorii. Uśmiechnął się. – Robię doktorat – poinformował ją sam z siebie, ponieważ ona raczej nie zamierzała go o to zapytać. – Jestem matematykiem. W zasadzie to fizykiem teoretycznym. – Zamilkł i zdjął okulary, żeby je przetrzeć chusteczką.

Bez nich zdawał się nagi. Mariana dostrzegła w tym momencie, że jest przystojny; a raczej będzie, kiedy jego twarz trochę dojrzeje.

Założył okulary na nos i zerknął na nią.

– Mam na imię Frederick, tak na marginesie. Fred. A ty?

Nie chciała zdradzać Fredowi swojego imienia. Prawdopodobnie z powodu wrażenia – schlebiającego jej, ale też niepokojącego – że próbował z nią flirtować. Poza tym, że był dla niej zdecydowanie za młody, nie była na to gotowa i nigdy nie będzie. Już sama myśl sprawiała, że Mariana czuła mdlący posmak zdrady. Dlatego odpowiedziała z wymuszoną grzecznością:

– Jestem... Mariana.

– Och. Piękne imię.

Fred mówił dalej. Usiłował wciągnąć ją w rozmowę. Mariana coraz częściej odpowiadała monosylabami. W myślach odliczała minuty do chwili, kiedy będzie mogła uciec.

Gdy dojechali do Cambridge, starała się wymknąć i zniknąć w tłumie. Fred jednak dogonił ją przed dworcem.

- Mogę ci towarzyszyć w drodze do miasta? Może autobusem?
- Wolęabym się przejść.
- Świetnie. Mam tu rower. Mogę iść z tobą. Albo możesz nim jechać, jeśli tak wolisz.

Popatrzył na nią z nadzieją, a Marianie, wbrew niej samej, zrobiło się go żal.

- Wolęabym być sama. Dobrze?
- Oczywiście... Jasne. Rozumiem. To może... pójdziemy później na kawę? Albo na drinka? Wieczorem.

Mariana pokręciła głową i udała, że spogląda na zegarek.

- Nie spędzę tu tyle czasu.
- To może dałabyś mi swój numer? – Zarumienił się lekko, a jego piegowate policzki zapłonęły czerwienią. – Czy to byłoby...?

Mariana znów pokręciła głową.

- Nie sądzę...
- Nie?
- Nie. – Mariana z zażenowaniem odwróciła wzrok. – Przepraszam, ale...
- Nie przepraszaj. Nie zniechęcam się. I tak się niebawem spotkamy.

Coś w jego tonie odrobinę ją zirytowało.

- Nie sądzę.
- Spotkamy się. Przewiduję to. Mam dar do takich rzeczy. To dziedziczne. Jasnowidzenie, przewidywanie. Widzę to, czego inni nie dostrzegają. – Fred się uśmiechnął i wyszedł na jezdnię. Jakiś rowerzysta musiał gwałtownie skrócić, by go ominąć.

– Uwważaj – rzuciła Mariana i dotknęła jego ramienia.

Rowerzysta zaklął, mijając Freda.

- Przepraszam. Obawiam się, że jestem trochę niezdarny.
- Tylko trochę. – Mariana się uśmiechnęła. – Do widzenia, Fred.
- Do zobaczenia, Mariano.

Podszedł do rzędu rowerów, a ona patrzyła na niego, kiedy odpiął swój rower i przejechał obok niej, machając. Skręcił za róg i zniknął jej z oczu.

Mariana odetchnęła z ulgą. I ruszyła w stronę miasta.

W drodze do St. Christopher's College Marianę nękał coraz silniejszy niepokój o to, co może zastać na miejscu. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać – może tam być policja lub prasa, w co trudno było uwierzyć, patrząc na ulice Cambridge, na których nic nie wskazywało na to, że wydarzyło się coś nieoczekiwanego, nic nie sugerowało, że doszło do zabójstwa.

W porównaniu z Londynem miasto wydawało się niebywale spokojne. Na ulicach prawie nie było ruchu, a w powietrzu rozlegał się wyłącznie śpiew ptaków przerywany chórem ćwierkających dzwonek, kiedy studenci w czarnych togach mijali ją na rowerach niczym stada ptactwa.

Marianie wydawało się kilkakrotnie, gdy tak szła, że ktoś ją obserwuje – albo śledzi – i zastanawiała się, czy przypadkiem Fred nie zawrócił, by jechać za nią. Odgoniła tę myśl jako paranoiczną. Mimo to zerknęła parę razy przez ramię, tak dla pewności – i oczywiście nikogo nie zobaczyła.

Blżej college'u okolica z każdym krokiem stawała się ładniejsza. Mariana miała nad głową iglice i wieżyczki, wzdłuż ulic rosły buki zrzucające złote liście, które zbierały się wzdłuż chodnika. Długie rzędy czarnych rowerów stały przypięte do stojaków z kutego żelaza. Umiejscowione nad nimi skrzynki z pelargoniami ożywiały różowymi i białymi plamami mury z czerwonej cegły.

Mariana zerknęła na grupkę studentów, prawdopodobnie pierwszego roku, uważnie czytających plakaty z informacjami dotyczącymi dni adaptacyjnych. Ci studenci, ci pierwszorocznicy wyglądali tak młodo – jak dzieci. Czy ona i Sebastian też kiedyś prezentowali się tak młodo? Wydawało się to niemożliwe. A jeszcze trudniej było wyobrazić sobie, że te dzieciaki o niewinnych, nieskazitelnych twarzach mogłoby spotkać coś złego. Mimo to Mariana zastanawiała się, jak wielu z nich dotknie w przyszłości jakaś tragedia.

Jej myśli wróciły do tej biednej, nieznannej dziewczyny zamordowanej na mokradłach. Nawet jeśli to nie była przyjaciółka Zoe, Tara, to przecież była czyjąś przyjaciółką, czyjąś córką. Na tym polegał ten horror. Wszyscy skrycie żywimy nadzieję, że tragedie przydarzają się wyłącznie innym. Mariana wiedziała jednak, że prędzej czy później osiągną każdego.

Śmierć nie była dla niej czymś obcym; towarzyszyła jej od dzieciństwa, deptała jej po piętach, zerkała przez ramię. Mariana miewała niekiedy wrażenie, że została przeklęta przez jakąś nieżyczliwą boginię z greckiego mitu, która skazała ją na stratę każdego, kogo pokochała. Rak zabił jej matkę, gdy Mariana była dzieckiem. Wiele lat później potworny wypadek samochodowy odebrał jej siostrę i szwagra, przez co Zoe została sierotą. Zawał serca dopadł jej ojca w gaju oliwnym, gdzie zmarł na łożu z lepkich, zgniecionych oliwek.

I wreszcie – w sposób najbardziej katastrofalny – straciła Sebastiana.

Spędzili razem tak niewiele lat. Po studiach przenieśli się do Londynu. Mariana okrężną drogą doszła do tego, że została terapeutką grupową, Sebastian zaś pracował w City. Cechowała go przedsiębiorczość, która kazała mu założyć własną firmę. Mariana zasugerowała, żeby porozmawiał o tym z jej ojcem.

Powinna była to przemyśleć, naprawdę, ale rozkoszowała się potajemną sentymentalną nadzieją, że ojciec weźmie Sebastiana pod swoje skrzydła i wprowadzi go w tajniki rodzinnych interesów, uczyni swoim spadkobiercą, tak by potem oni mogli przekazać spuściznę swoim dzieciom. Oto jak daleko zawiodła ją wyobraźnia. Mariana wiedziała jednak, że nie należy o tym wspominać ani ojcu, ani Sebastianowi. W każdym razie ich pierwsze spotkanie okazało się klęską – Sebastian poleciał do Aten z romantyczną misją poproszenia o zgodę na poślubienie Mariany, a jej ojciec z miejsca go znieubił. Nie dość, że nie zaproponował mu pracy, to jeszcze zobaczył w nim łowcę posagów. Oznajmił Marianie, że wydziedziczy ją w dniu, w którym poślubi Sebastiana.

Jak na ironię Sebastian zajął się transportem morskim – ale sektorem skrajnie odmiennym niż ten, w którym działał jej ojciec. Odwrócił się od handlu i założył firmę wspierającą transport nieodzownych dóbr, takich jak żywność i inne artykuły podstawowej potrzeby, do bezbronnych i nieuprzywilejowanych społeczności na całym świecie. Pod wieloma względami był, według Mariany, lustrzanym odbiciem jej ojca, co stanowiło dla niej nieustanny powód do dumy.

Kiedy staruszek o trudnym charakterze wreszcie umarł, zaskoczył ich po raz kolejny. Zostawił Marianie wszystko. Całą fortunę. Sebastian nie posiadał się ze zdumienia, że będąc tak zamożnym, jej ojciec wiódł takie życie.

– Żył jak nędzarz. W ogóle się tym wszystkim nie cieszył. Po co mu to było?

Mariana musiała się chwilę zastanowić.

– Chodziło o bezpieczeństwo – odparła. – Wierzył, że pieniądze będą go chronić. Myślę, że... się bał.

– Bał się? Czego?

Mariana nie знаła odpowiedzi. Pokręciła głową, zadumana.

– Nie jestem pewna, czy sam siebie znał.

Pomimo spadku pozwolili sobie z Sebastianem tylko na jeden ekstrawagancki nabytek: kupili mały żółty dom u podnóża Primrose Hill, w którym zakochali się od pierwszego wejrzenia. Resztę pieniędzy odłożyli – na co Sebastian nalegał – na przyszłość i dla swoich dzieci.

Kwestia dzieci była jedyną zadrą między nimi, bolesnym miejscem, które Sebastian naciskał raz na jakiś czas, poruszając temat, gdy wypił o jednego drinka za dużo lub podczas rzadkich chwil rozmarzenia. Rozpaczliwie pragnął mieć dzieci – syna i córkę – dla dopełnienia wizji rodziny, którą nosił w głowie. Mariana też chciała mieć potomstwo, ale wolała poczekać. Zależało jej na ukończeniu szkolenia i rozpoczęciu praktyki psychoterapeutki, na co mogła potrzebować kilku lat, ale co z tego? Przecież mieli przed sobą szmat czasu, prawda?

Otóż nie mieli – i tylko tego Mariana żałowała: swojej arogancji, głupoty, tego, że brała przyszłość za pewnik.

Zaraz po trzydziestce zgodziła się zacząć starania o dziecko i odkryła, że ma problem z zajściem w ciążę. Nieoczekiwana przeszkoda wzbudziła w niej niepokój, więc poprosiła o pomoc lekarza. Doktor Beck był starszym mężczyzną z ojcowskimi zachowaniami, które dodawały jej otuchy. Zasugerował, by przed zbadaniem płodności Mariana i Sebastian pojechali na wakacje, oderwali się od wszelkich stresów.

– Cieszcie się sobą, zrelaksujcie się na plaży przez kilka tygodni – powiedział i puścił do nich oko. – Zobaczmy, co się wydarzy. Rozluźnienie się potrafi zdziałać cuda.

Sebastian nie zapalił się do tego pomysłu – miał mnóstwo pracy i nie chciał wyjeżdżać z Londynu. Mariana dowiedziała się później, że tamtego lata odczuwał silną presję finansową, bo kilka jego firm miało kłopoty. Duma nie pozwalała mu przyjść do niej po pieniądze – nigdy nie przyjął od niej nawet pensa. Ta informacja uzyskana po jego śmierci złamała jej serce; przez ostatnie miesiące życia niepotrzebnie się zamartwiał z powodu



pieniędzy. Jak mogła tego nie zauważyć? Egoistycznie dała się pochłonąć własnym niepokojom dotyczącym dziecka.

Dlatego zmusiła Sebastiana, żeby zrobił sobie dwa tygodnie wolnego w sierpniu i wybrali się na wycieczkę do Grecji. Odwiedzili rodzinny letni dom Mariany na szczycie klifu na wyspie Naksos. Polecieli samolotem do Aten, skąd promem popłynęli na wyspę. Mariana pomyślała, że przeprawa jest obiecująca – po niebie nie płynęła ani jedna chmura, szklana tafla wody emanowała spokojem. W porcie na Naksos wynajęli samochód i pojechali wzdłuż wybrzeża do domu. Należał niegdyś do ojca Mariany, a teraz do niej i Sebastiana, ale dotychczas nigdy z niego nie korzystali.

Dom był zakurzony i się rozpadał, za to rozciągał się z niego malowniczy widok na głęboki błękit Morza Egejskiego. W klifie wykuto schody prowadzące na plażę, która jaśniała różem na tle modrego morza i nieba dzięki nieskończonej ilości odłamków różowego koralowca, przez miliony lat mieszających się z ziarenkami piasku. Marianie widok ten wydał się idylliczny – i magiczny. Już czuła, że się rozluźnia, i potajemnie żywiła nadzieję, że wyspa Naksos dokona cudu, o który została poproszona.

Przez pierwsze dwa dni odpoczywali i leniuchowali na plaży. Sebastian powiedział w końcu, że cieszy się z przyjazdu – relaksował się po raz pierwszy od miesiący. Podjął swój szkolny zwyczaj czytania na plaży starych thrillerów i dryfował na falach, szczęśliwie zatopiony w A.B.C. Agathy Christie, Mariana zaś spała pod parasolem na piasku.

Trzeciego dnia Mariana zaproponowała wycieczkę na wzgórze, by odwiedzić świątynię. Pamiętała swoją wizytę tam w dzieciństwie, kiedy przechadzała się wśród ruin, przydając temu miejscu tyle magii, ile potrafiła wykrzesać w wyobraźni. Pragnęła, żeby i Sebastian tego doświadczył. Spakowali rzeczy na piknik i pojechali.

Stara wijąca się droga robiła się coraz węższa wraz z wysokością i wreszcie stała się drogą gruntową upstrzoną odchodami kóz. Na samym szczycie, na wypłaszczeniu, stały ruiny świątyni. Wzniesiono ją w starożytności z miejscowego marmuru, niegdyś błyszczącego, a teraz w kolorze brudnej bieli, zniszczonego przez erozję. Trzy tysiące lat przetrwały tylko nieliczne połamane kolumny, których sylwetki odcinały się na tle niebieskiego nieba.

Świątynię poświęcono Demeter, bogini urodzaju – życia – i jej córce Persefonie, opiekunce dusz zmarłych. Obydwu boginiom często oddawano cześć równocześnie, bo uosabiały dwie strony jednej monety – jako matka

i córka, życie i śmierć. Po grecku Persefonę nazywano Korą, co znaczy „dziewczę”.

Miejsce było wprost wymarzone na piknik. Rozłożyli niebieski koc w cętkowanym cieniu drzewa oliwnego i wypakowali zawartość turystycznej lodówki – butelkę sauvignon blanc, arbuza oraz kawałki słonego greckiego sera. Zapomnieli wziąć nóż, dlatego Sebastian rozbił arbuza o skałę jak czaszkę i owoc rozpadł się na kawałki. Jedli słodki miąższ, wypluwając pestki.

Sebastian uraczył Marianę soczystym, lepkiem pocałunkiem.

– Kocham cię – szepnął. – Teraz i na wieki...

– Teraz i na wieki – powtórzyła i odwzajemniła pocałunek.

Po pikniku poszli na przechadzkę wśród ruin. Mariana przyglądała się Sebastianowi, który wspinał się przed nią jak podekscytowany dzieciak. Patrząc na niego, w myślach pomodliła się do Demeter i do Dziewczęcia. Modliła się za Sebastiana i siebie, za ich szczęście i miłość.

I kiedy szeptała modlitwę, słońce nagle zasłoniła chmura – przez moment sylwetka Sebastiana malowała się mrocznym cieniem na tle nieba. Mariana wzdrygnęła się i poczuła niezrozumiały strach. Chwila minęła równie szybko, jak przyszła. Słońce po sekundzie wyjrzało zza chmury i Mariana o wszystkim zapomniała.

Później oczywiście to sobie przypominała.

Następnego ranka Sebastian wstał o świcie. Włożył stare zielone trampki i szepnął Marianie, że idzie pobiegać po plaży. Pocałował ją i wyszedł.

Mariana leżała w łóżku i balansując na granicy snu i jawy, wsłuchiwała się w wiatr. Lekki z początku powiew przybrał na sile, szarpał gałęziami drzew oliwnych, jakby zawodząc, uderzał nimi w okna niczym długimi palcami stukającymi niecierpliwie w szyby. Przez moment Mariana zastanawiała się, jak wysokie są fale i czy Sebastian poszedł popływać, jak to często robił po bieganiu. Nie martwiła się jednak o niego. Był takim świetnym pływakiem, takim mocnym mężczyzną. Myślała, że niezniszczalnym.

Wiatr wzmagął się coraz bardziej, wirował, wiejąc od morza. Sebastian wciąż nie wracał. Mariana zaczęła się martwić, chociaż starała się tego nie robić. Wyszła z domu. Zeszła po schodach w dół klifu, trzymając się kurczowo skały w obawie, że wichura może ją zrzucić.

Na plaży nie było śladu Sebastiana. Wiatr wzbijał tumany różowego piasku i smagał ją po twarzy; musiała osłaniać oczy, rozglądając się. W wodzie również nie wypatrzyła Sebastiana – widziała tylko ogromne czarne fale burzące powierzchnię morza aż po horyzont.

Zaczęła wykrzykiwać jego imię:

– Sebastian! Sebastian! Seba...

Wiatr wpychał jej wołanie z powrotem do gardła. Czuła, że wpada w panikę. Nie mogła myśleć; przeszkadzał jej w tym wiatr gwizdzący w uszach i niekończący się chór cykad, który kojarzyła z chichotem hien.

Czy usłyszała też jeszcze słabszy, dochodzący z oddali odgłos śmiechu?

Zimny, drwiący śmiech bogini?

Nie, stop, stop, musiała się skupić, skoncentrować, znaleźć go. Gdzie on się podział? Przecież nie mógł iść pływać, nie przy takiej pogodzie! Nigdy nie zrobiłby czegoś tak głupiego...

I wtedy je zobaczyła.

Jego buty.

Stare zielone trampki ustawione równo na piasku... tuż przy skraju wody.

Wszystko, co się działo potem, zlewało się w jej pamięci. Weszła do morza rozhisteryzowana, wyjąca jak harpia – krzyczała, krzyczała...

A potem... nic.

Trzy dni później fale wyrzuciły na brzeg ciało Sebastiana.

Od tego czasu, od śmierci Sebastiana, upłynęło blisko czternaście miesięcy. Lecz pod wieloma względami Mariana nadal się tam znajdowała – uwięziona na plaży Naksos, gdzie zostanie już na zawsze.

Była w szoku, sparaliżowana – jak niegdyś Demeter, kiedy Hades porwał jej ukochaną córkę Persefonę i zabrał ją do świata podziemi, by została jego żoną. Demeter, przygnieciona bólem, załamała się. Nie poruszała się i nie dawała poruszyć. Siedziała tylko i płakała. A świat wokół płakał razem z nią: lato przeszło w zimę, dzień w noc. Ziemia pogrzyżała się w żałobie, a dokładniej w melancholii.

Mariana utożsamiała się z tym. I teraz, kiedy zbliżała się do St. Christopher's College, była coraz bardziej niespokojna, bo znajome ulice utrudniały jej powstrzymywanie napływu wspomnień – duch Sebastiana czekał na każdym rogu. Spuściła głowę i nie podnosiła jej, jak żołnierz usiłujący przejść niepostrzeżenie przez terytorium wroga. Musiała się pozbierać, jeśli miała się na coś przydać Zoe.

Po to tu przyjechała – dla Zoe. Bóg jej świadkiem, że wolałaby już nigdy nie oglądać Cambridge. Okazało się to trudniejsze, niż myślała – musiała to jednak zrobić dla siostrzenicy. Tylko ona jej została.

Skręciła z King's Parade w nierówną brukowaną uliczkę, którą znała tak dobrze. Szła po kocich łbach, zmierzając w stronę starej drewnianej bramy przy końcu zaułka. Podniosła wzrok.

Brama St. Christopher's College była od niej co najmniej dwukrotnie wyższa, osadzona w porośniętym bluszczem murze z czerwonej cegły. Mariana pamiętała ten dzień, kiedy zbliżała się do niej po raz pierwszy – przyjechała z Grecji na rozmowę kwalifikacyjną. Miała zaledwie siedemnaście lat i czuła się taka mała i nieuprawniona do bycia tutaj, przerażona i samotna.

Jakie to zabawne, że teraz czuła się dokładnie tak samo, choć upłynęło blisko dwadzieścia lat.

Pchnęła bramę i weszła do środka.

Miała przed sobą St. Christopher's College, dokładnie taki, jak go zapamiętała.

Bała się oglądać go ponownie – tło dla jej historii miłosnej – ale na szczęście jego piękno przyszło jej z odsieczą. Jej serce nie pękło – rozśpiewało się.

St. Christopher's to jeden z najstarszych i najurokliwszych college'ów w Cambridge. Składa się z kilku dziedzińców i ogrodów schodzących ku rzece, a budynki wzniesiono w różnych stylach architektonicznych – gotyckim, neoklasycystycznym i renesansowym – ponieważ college przebudowywano i rozbudowywano na przestrzeni wieków. Jego rozwój był przypadkowy, organiczny – przez co miejsce to wydawało się Marianie tym bardziej urzekające.

Stała przy portierni na dziedzińcu głównym – pierwszym i największym. Rozciągał się przed nią nieskazitelny trawnik kończący się w głębi dziedzińca przy ciemnozielonej ścianie porośniętej glicynią. Zieleń upstrzona plamami białych pnących róż wspinała się po ceglach niczym misterny gobelin i docierała aż do ścian kaplicy. Jej witrażowe okna połyskiwały w słońcu szmaragdem, błękitem i czerwienią, a z wnętrza płynęły harmonijne głosy chóru, który właśnie odbywał próbę.

Jakiś szept – może Sebastiana? – podpowiadał Marianie, że tutaj jest bezpieczna. Mogła odpocząć i odnaleźć upragniony spokój.

Jej ciało się rozluźniło, jakby z westchnieniem. Poczwała nagłe, nieznane sobie zadowolenie: wiek tych murów, kolumn i łuków niezmiennych przez czas pozwolił jej spojrzeć na własny smutek z dystansu. Dostrzegła, że to magiczne miejsce nie należało do niej ani do Sebastiana, lecz wyłącznie do siebie samego. Ich historia była jedną z mnóstwa, które się tu rozegrały – i bynajmniej nie ważniejszą od innych.

Mariana rozejrzała się z uśmiechem, chłonąc aktywność wokół siebie. Mimo że semestr zaczął się niedawno, trwały jeszcze ostatnie przygotowania i wyczuwało się namacalne wręcz oczekiwanie, jak w teatrze tuż przed spektaklem. Ogrodnik strzygł trawę na drugim końcu trawnika. Portier w czarnym garniturze i meloniku oraz dużym zielonym fartuchu wyciągał się ku łukom, szparom i załomom w murze i pierzastą szczotką do kurzu na długim kiju zgarniał pajęczyny. Kilku mężczyzn

ustawiało na trawie długie drewniane ławki, pewnie do zdjęć immatrykulacyjnych.

Mariana spojrzała na zdenerwowanego nastolatka, ewidentnie studenta pierwszego roku, który przemierzał dziedziniec w towarzystwie utyskujących, taszczących walizki rodziców. Uśmiechnęła się czule.

Wtem po drugiej stronie dziedzińca dostrzegła coś jeszcze – ciemną grupkę umundurowanych policjantów. Uśmiech na jej twarzy powoli zbladł.

Funkcjonariusze wyszli z gabinetu dziekana, który im towarzyszył. Nawet z tej odległości Mariana widziała, że dziekan ma czerwoną twarz i jest podenerwowany. To mogło oznaczać tylko jedno. Stało się najgorsze. Była tu policja, a więc Zoe miała rację. Tara nie żyje i to jej ciało znaleziono na bagnie.

Mariana musiała znaleźć siostrzenicę. Natychmiast. Odwróciła się i pospieszyła w stronę kolejnego dziedzińca. Zatopiona w myślach usłyszała wołanie mężczyzny dopiero wtedy, gdy powtórzył jej imię:

– Mariana? Mariana!

Spojrzała za siebie. Machał do niej. Patrzyła na niego, mrużąc oczy, niepewna, kto to. On zdawał się ją znać.

– Mariana – powiedział raz jeszcze, tym razem z większą pewnością. – Zaczekaj.

Zatrzymała się. Zaczekała na człowieka idącego ku niej po bruku. Uśmiechał się szeroko.

„Ależ oczywiście. To Julian” – pomyślała. Poznała go po tym uśmiechu, ostatnio dość sławnym.

Julian Ashcroft i Mariana studiowali razem psychoterapię w Londynie. Od lat nie widziała go inaczej jak w telewizji – często wypowiadał się w programach informacyjnych lub dokumentalnych poświęconych zabójstwom. Specjalizował się w psychologii sądowej i napisał bestseller na temat brytyjskich seryjnych zabójców i ich matek. Zdawało się, że obłąd i śmierć chorobliwie go fascynowały, co Mariana uważała za lekko odstręczające.

Przyglądała mu się, kiedy się do niej zbliżał. Był średniego wzrostu mężczyzną przed czterdziestką, ubranym w elegancką niebieską marynarkę, wyprasowaną białą koszulę i granatowe dżinsy. Miał artystycznie zmierzwione włosy i uderzająco jasnoniebieskie oczy oraz

perfekcyjny biały uśmiech, którym często się posługiwał. Było w nim coś odrobinę sztucznego, przez co pewnie doskonale nadawał się do telewizji.

– Witaj, Julianie.

– Mariana – powiedział, kiedy już stanął obok niej. – Co za niespodzianka. Tak właśnie myślałem, że to ty. Co tu robisz? Nie przyjechałaś z policją?

– Nie. Moja siostrzenica tu studiuje.

– Och... Rozumiem. Kurczę. Myślałem, że może razem popracujemy. – Posłał jej uśmiech i ściszył głos do konfidencjonalnego szeptu. – Wezwali mnie, żebym im pomógł.

Mariana domyśliła się, o czym Julian mówi, i poczuła przerażenie. Nie chciała potwierdzenia, lecz nie miała wyboru.

– To Tara Hampton, prawda?

Julian spojrzał na nią nieco zaskoczony i przytaknął.

– Zgadza się. Właśnie ją zidentyfikowano. Skąd wiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Zagineła dzień lub dwa dni temu. Siostrzenica mi mówiła. – Zorientowała się, że do oczu napłynęły jej łzy, więc szybko je otarła. Wpatrywała się w Juliana. – Jakies tropy?

– Nie. – Pokręcił głową. – Na razie nie. Oby niebawem coś się pojawiło. Im szybciej, tym lepiej, szczerze mówiąc. To było potwornie brutalne zabójstwo.

– Myślisz, że go znała?

Skinął głową.

– To dość prawdopodobne. Zwykle rezerwujemy taki poziom gniewu dla naszych najbliższych, nie sądzisz?

– Możliwe. – Mariana zastanowiła się nad tym.

– Stawiam dziesięć do jednego, że to był jej chłopak.

– Chyba nie miała chłopaka.

Julian zerknął na zegarek.

– Mam teraz spotkanie z inspektorem, ale później chętnie o tym porozmawiam... Może przy drinku? – Uśmiechnął się. – Miło było cię zobaczyć, Mariano. Kopę lat. Powinniśmy nadgonić zaległości...

Mariana już się od niego oddalała.

– Przepraszam, Julianie, ale muszę znaleźć siostrzenicę.

Zoe mieszkała przy Eros Court – jednym z mniejszych dziedzińców, gdzie akademiki otaczały kwadratowy trawnik. Na środku trawnika stał wyblakły posąg Erosa dzierżącego łuk i strzałę. Wieki opadów i rdza znacznie go postarzyły i przekształciły cherubina w małego, starego zielonego człowieczka.

Wzdłuż fasad budynków stojących przy dziedzińcu znajdowały się wejścia na klatki schodowe wiodące do pokojów. W każdym rogu dziedzińca stała wysoka kamienna wieżyczka. Zbliżając się do jednej z nich, Mariana spojrzała w górę i w oknie na trzecim piętrze zobaczyła siedzącą Zoe.

Ona jej nie widziała. Mariana stała tak przez moment i ją obserwowała. Łukowe okna ze szprosami miały szybki w kształcie rombów oprawione w ołów, które rozbijały wizerunek Zoe na małe kawałeczki – Mariana nagle złożyła z tych elementów inny obraz: nie dwudziestoletniej kobiety, ale sześćioletniej dziewczynki, zwariowanej i uroczej, z czerwoną buzią i warkoczykami.

Martwiła się o tę dziewczynkę i darzyła ją wielką czułością. Biedna mała Zoe – tak wiele przeszła. Marianę przerażeniem napawała myśl, że będzie musiała zranić ją jeszcze bardziej i przekazać jej te okropne wieści. Pokręciła głową, przestała się ociągać i weszła spiesznie do środka. Wspięła się po kręconych, wypaczonych ze starości schodach do pokoju Zoe. Drzwi były otwarte, więc przestąpiła próg.

W przestronnym pomieszczeniu panował lekki bałagan – ubrania leżały na fotelach, a w zlewie stały brudne kubki. Znajdowały się tu: biurko, mały kominek i wyłożone poduszkami siedzisko w oknie wykuszowym, gdzie siedziała Zoe otoczona książkami.

Na widok Mariany dziewczyna cicho krzyknęła. Zerwała się na równe nogi i rzuciła jej w objęcia.

– Przyjechałaś. Nie sądziłam, że to zrobisz.

– Oczywiście, że przyjechałam.

Mariana próbowała się cofnąć o krok, ale silny uścisk Zoe jej to uniemożliwił. Poczuła jego ciepło, serdeczność. Odwykła od takiego rodzaju dotyku. Zrozumiała teraz, jak bardzo się cieszy, że widzi siostrzenicę. Nagle zalała ją fala emocji.



Zoe zawsze była jej drugą po Sebastianie ulubioną osobą. Uczyła się w szkole z internatem i Mariana z Sebastianem nieoficjalnie ją adoptowali – Zoe miała swój pokój w żółtym domu i mieszkała u nich w czasie przerw międzysemestralnych i wakacji. Uczyła się w Anglii, bo jej ojciec był Anglikiem – Zoe była Greczynką tylko w jednej czwartej. Po ojcu odziedziczyła jasną karnację i niebieskie oczy, więc jej „ćwierćgreckość” nie była dostrzegalna. Mariana zastanawiała się, jak i czy w ogóle się kiedyś ujawni – czy nie zdusił jej wielki mokry koc prywatnej angielskiej edukacji.

Zoe wreszcie uwolniła Marianę z objęć, ta zaś, najdelikatniej jak umiała, przekazała jej informację o zidentyfikowaniu ciała Tary.

Zoe patrzyła na nią i słuchała wieści ze łzami spływającymi po policzkach. Mariana znowu ją objęła. Zoe przywarła do niej, łkając.

– Wszystko będzie dobrze – szeptała do niej Mariana. – Wszystko się ułoży.

Powoli zaprowadziła Zoe do łóżka i posadziła ją. Gdy Zoe przestała płakać, Mariana wstawiła wodę na herbatę i umyła dwa kubki, które wyjęła z małego zlewu. Zoe przez cały czas siedziała wyprostowana z kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej i wpatrywała się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Nawet nie ocierała łez płynących jej po policzkach. Ścisnęła swoją starą pluszową zabawkę – wytartą zebkę. Zwierzątko straciło jedno oko i pruć się w szwach. Towarzyszyło Zoe od wczesnego dzieciństwa, przyjęło sporo jej ataków gniewu i doświadczyło wielu przejawów miłości. Zoe trzymała je teraz kurczowo i mocno ścisnęła, kołysząc się do przodu i do tyłu.

Mariana postawiła kubek z parującą słodką herbatą na zagraconym stoliku. Przyglądała się Zoe z troską. Jako nastolatka dziewczyna przeżywała silną depresję. Miała częste napady płaczu przerywane okresami złego nastroju i odrętwienia emocjonalnego tak silnego, że nie mogła nawet płakać, z czym Mariana radziła sobie gorzej niż ze łzami. W takie dni trudno było dotrzeć do Zoe, a przecież jej problemy nie powinny dziwić, zważywszy na traumę, jaką jest strata rodziców w tak młodym wieku.

Zoe spędzała u nich przerwę międzysemestralną i właśnie wtedy dostali wiadomość, która miała odmienić jej życie na zawsze. Sebastian odebrał telefon i musiał powiedzieć Zoe, że jej rodzice, siostra Mariany i jej mąż, zginęli w wypadku samochodowym. Zoe się załamała. Sebastian wziął ją

w ramiona i przytulił. Od tamtej pory oboje hołubili Zoe, prawdopodobnie trochę za bardzo – jednak Mariana, która też straciła matkę, chciała zapewnić siostrzenicy to wszystko, za czym sama tęskniła w dzieciństwie: matczyną miłość, ciepło i troskę. Działo to rzecz jasna w dwie strony – Mariana czuła, że Zoe oddaje jej całą miłość, jaką od niej otrzymywała.

I wreszcie, ku ich uldze, Zoe zdołała, krok po kroku, pokonać zakręt smutku – z wiekiem depresja nękała ją rzadziej; udało się jej złożyć papiery na uczelnię i zakończyć okres dojrzewania w lepszym stanie, niż go zaczynała. Niemniej Mariana i Sebastian martwili się, jak Zoe poradzi sobie z presją społeczną na uniwersytecie, dlatego kiedy dziewczyna zaprzyjaźniła się z Tarą, poczuli ulgę. Potem, gdy Sebastian zginął, Marianie pomagała świadomość, że Zoe może liczyć na wsparcie przyjaciółki. Ona sama nie miała przyjaciela – właśnie go straciła.

I oto teraz los odebrał Zoe przyjaciółkę – do tego w potwornych okolicznościach. Jak to na nią podziała, dopiero się okaże.

– Zoe, proszę, napij się herbaty. Pomoże na szok.

Brak reakcji.

– Zoe?

Dziewczyna jakby nagle ją usłyszała. Popatrzyła na Marianę szklanymi oczami pełnymi łez.

– To moja wina – szepnęła. – To moja wina, że zginęła.

– Nie mów tak. To nieprawda...

– To jest prawda. Posłuchaj. Nie rozumiesz.

– Czego nie rozumiem? – Mariana usiadła na skraju łóżka i czekała, aż Zoe powie coś więcej.

– To moja wina. Powinna była coś zrobić... Tego wieczoru... Po tym, jak widziałam się z Tarą... Powinna była komuś powiedzieć, zadzwonić na policję. Może nadal by żyła...

– Na policję? Dlaczego?

Zoe nie odpowiedziała. Mariana ściągnęła brwi.

– Co Tara ci powiedziała? Wspomniałaś... o czymś szalonym?

Oczy Zoe wypełniły się łzami. Wciąż się kołysała w posepnym milczeniu. Mariana wiedziała, że najlepiej zrobi, po prostu będąc obok niej, okazując cierpliwość, żeby Zoe mogła zrzucić bagaż w swoim czasie. Tyle że nie miały czasu. Mariana odezwała się cicho, tonem pokrępiającym, ale stanowczym:

– Co ona ci powiedziała, Zoe?

– Nie powinnam była ci mówić. Tara kazała mi przysiąc, że nikomu nie powiem.

– Rozumiem. Nie chcesz nadużyć jej zaufania. Obawiam się jednak, że na coś takiego jest już za późno.

Zoe wpatrywała się w nią. Gdy Mariana spojrzała na jej twarz, czerwone policzki i szeroko otwarte oczy, zobaczyła oczy dziecka: przerażonej dziewczynki z trudem dotrzymującej tajemnicy, której nie chciała zachować, ale za bardzo się bała, by ją wyjawić.

Zoe wreszcie się poddała.

– Poprzedniego wieczoru Tara przysłała do mnie do pokoju. Była w rozsypce, jakby na haju, sama nie wiem. I bardzo zdenerwowana... I powiedziała... Powiedziała, że się boi...

– Boi? Czego?

– Powiedziała, że ktoś ją zabije.

Mariana przyglądała się Zoe przez moment.

– Mów dalej. Co jeszcze powiedziała?

– Kazała mi przysiąc, że nikomu nie powiem. Twierdziła, że gdybym coś powiedziała, a on by się dowiedział, zabiłby ją.

– On? O kim mówiła? Powiedziała ci?

Zoe przytaknęła w milczeniu.

– O kim to było, Zoe? – ponowiła pytanie Mariana.

Zoe z wahaniem pokręciła głową.

– To zakrawało na obłąd...

– Nie szkodzi. Po prostu powiedz.

– Powiedziała... że to jeden z opiekunów naukowych. Profesor.

Mariana zamrużyła powiekami, zaskoczona.

– Z college'u?

Zoe skinęła głową.

– Rozumiem. A jak się nazywa?

Zoe milczała przez chwilę.

– Edward Fosca – powiedziała w końcu cichym głosem.

Niecałą godzinę później starszy inspektor policji wysłuchał opowieści Zoe.

Sangha zajął gabinet dziekana. Było to przestronne pomieszczenie z widokiem na główny dziedziniec. Jedną ze ścian zajmował pięknie rzeźbiony mahoniowy regał z książkami w skórzanych okładkach. Na pozostałych ścianach wisiały portrety byłych dziekanów, którzy spoglądali na policjantów z nieukrywaną podejrzliwością.

Starszy inspektor Sadhu Sangha siedział za dużym biurkiem. Otworzył termos, który przyniósł ze sobą, i nalał herbaty do kubka. Niedawno przekroczył pięćdziesiątkę, miał ciemne oczy i krótko przystrzyżoną, przyprószoną siwizną bródkę; był ubrany w elegancką szarą marynarkę i krawat. Jako Sikh nosił na głowie turban w przykuwającym wzrok odcieniu szafiru. Miał władczą, silną postawę, ale emanował nerwową energią – był szczupły, o wygłodniałym spojrzeniu, a do tego postukiwał stopą albo bębnił palcami w blat.

Marianę trochę drażnił. Odniosła wrażenie, że nie słucha Zoe z pełną uwagą. Nie przejawiał szczególnego zainteresowania. „Nie traktuje jej poważnie” – pomyślała.

Myliła się. Traktował ją poważnie. Odstawił herbatę i przeszył Zoe spojrzeniem dużych ciemnych oczu.

– I co pomyślałaś, kiedy ci to powiedziała? – spytał. – Uwierzyłaś jej?

– Nie wiem – odparła Zoe. – Mówiła chaotycznie, była na haju. Tyle że zawsze była na haju, więc... – Wzruszyła ramionami i na chwilę się zamyśliła. – To brzmiało tak dziwnie...

– Powiedziała, dlaczego profesor groził, że ją zabije?

Zoe wydawała się nieco skrepowana.

– Powiedziała, że sypiają ze sobą. I że się pokłócili albo jakoś tak... Zagroziła, że poinformuje college i sprawi, że go zwolnią. A on powiedział, że jeśli to zrobi...

– Zabije ją?

Zoe potaknęła. Wyglądała, jakby jej ulżyło, że zrzuciła to z siebie.

– Zgadza się.

Inspektor zadumał się. Nagle wstał.

– Porozmawiam z profesorem Foską. Poczekaj tu, dobrze? I, Zoe, będziemy chcieli, żebyś złożyła zeznanie.

Wyszedł z pokoju. Podczas jego nieobecności Zoe powtórzyła swoje słowa funkcjonariuszowi, który je spisał. Mariana czekała niepewnie, zastanawiając się, co się dzieje.

Minęła długa godzina. Inspektor Sangha wrócił i usiadł.

– Profesor Fosca wykazał ogromną wolę współpracy – oznajmił. – Przyjąłem jego zeznanie. Twierdzi, że w chwili śmierci Tary, o godzinie dwudziestej drugiej, kończył prowadzić zajęcia. Trwały od dwudziestej do dwudziestej drugiej i uczestniczyło w nich sześć studentek. Podał mi ich nazwiska. Udało nam się porozmawiać z dwiema i obydwie potwierdzają jego wersję. – Inspektor przyjrzał się Zoe z zadumą. – W rezultacie nie stawiam profesorowi zarzutu popełnienia przestępstwa i cieszę się, wbrew temu, co Tara mogła powiedzieć, że nie on odpowiada za jej śmierć.

– Rozumiem – wyszeptała Zoe.

Nie podnosiła wzroku i wpatrywała się w swoje kolana. Mariana widziała, że jest zmartwiona.

– Ciekawi mnie natomiast, co możesz powiedzieć o Conradzie Ellisie – odezwał się inspektor. – Nie studiuje tutaj. O ile mi wiadomo, mieszka w mieście. Był chłopakiem Tary?

Zoe pokręciła głową.

– Nie byli razem. Po prostu się spotykali.

– Rozumiem. – Policjant zajrzał do notatek. – Zdaje się, że był już dwukrotnie oskarżony. Za handel narkotykami i za napad z bronią w ręku... – Zerknął na Zoe. – Jego sąsiedzi słyszeli kilka razy, jak się ostro kłócił z Tarą.

Zoe wzruszyła ramionami.

– Jest tak samo pokręcony, jak ona była... Ale... nigdy jej nie skrzywdził, jeśli o to panu chodzi. Nie jest taki. To miły gość.

– Hmm. Brzmi uroczo. – Inspektor nie wydawał się przekonany. Dopił herbatę i zakręcił termos.

„Sprawa zamknięta” – pomyślała Mariana.

– Wie pan co, inspektorze – powiedziała. Nie ustępowała ze względu na Zoe. – Uważam, że powinien jej pan wysłuchać.

– Co takiego? – Sangha zamrugał. Wyglądał na zaskoczonego tym, że Mariana się odezwała. – Proszę mi przypomnieć, kim pani jest.

– Ciotką Zoe i jej opiekunką. A w razie konieczności będę jej adwokatką. To jakby nieco rozbawiło inspektora.

– Zdaje mi się, że pani siostrzenica świetnie sobie radzi z broniem się.

– Zoe potrafi trafnie ocenić czyjś charakter. Zawsze taka była. Jeżeli zna Conrada i uważa, że jest niewinny, to powinien pan to potraktować poważnie.

Uśmiech inspektora przygasł.

– Przesłucham go i sam wyrobię sobie zdanie, jeśli pani pozwoli. Dla jasności, to ja tu dowodzę i nie reaguję dobrze, kiedy ktoś mi mówi, co mam robić...

– Nie mówię panu...

– Albo kiedy ktoś mi przerywa. Sugeruję więc, żeby zeszła mi pani z drogi i nie przeszkadzała w dochodzeniu. Czy to jasne?

Mariana chciała coś odpowiedzieć, ale się powstrzymała. Zmusiła się do uśmiechu.

– Całkowicie – odparła.

Po wyjściu z gabinetu dziekana Zoe i Mariana szły kolumnadą w głębi dziedzińca – dwanaście marmurowych kolumn wspierało bibliotekę na piętrze. Były bardzo stare, wyblakłe i oplatała je pajęczyna pęknięć przypominających żyły. Kolumny rzucały długie cienie na ziemię, przez co idące kobiety raz po raz zanurzały się w mroku.

Mariana objęła Zoe ramieniem.

– Kochanie, dobrze się czujesz? – zagadnęła.

Zoe wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Nie sądzisz, że Tara mogła cię okłamać?

Zoe wyglądała na zbolaną.

– Nie wiem.

Nagle stanęła jak wryta. Zza kolumny nieoczekiwanie wyłonił się mężczyzna i stanął przed nimi.

Blokował im przejście. I wpatrywał się w Zoe.

– Witaj, Zoe.

– Profesor Fosca – wydusiła z siebie, wciągnąwszy cicho powietrze.

– Jak się miewasz? Nic ci nie jest? Nie mogę w to uwierzyć. Jestem w szoku.

Mariana zwróciła uwagę, że mężczyzna mówi z amerykańskim akcentem, delikatnie dodając nutę brytyjskości śpiewnej melodyjce wypowiedzi.

– Biedactwo – kontynuował. – Tak mi przykro, Zoe. Na pewno jesteś zdruzgotana... – W jego głosie było słycać żarliwość i wydawał się szczerze przejęty.

Wyciągnął rękę ku Zoe, która bezwiednie odrobinę się cofnęła. Tak Mariana, jak i profesor to dostrzegli. Spojrzał na nią dziwnie.

– Posłuchaj – odezwał się. – Powiem ci dokładnie to samo co inspektorowi. Ważne jest, żebyś usłyszała to ode mnie, i to teraz.

Fosca ignorował Marianę i zwracał się wyłącznie do dziewczyny, zaś Mariana mu się przyglądała. Okazał się młodszy, niż się spodziewała, i zdecydowanie przystojniejszy. Był tuż po czterdziestce, wysoki i atletycznie zbudowany. Miał wyraziste kości policzkowe i uderzająco ciemne oczy. Wszystko w nim było ciemne: czarne oczy, broda, ubranie.

Czarne włosy spiął w niedbały kok z tyłu głowy. Pod uczelnianą togą miał wyjętą na spodnie koszulę i poluzowany krawat. Prezentował się charyzmatycznie, wręcz byronowsko.

– Prawda jest taka – powiedział – że chyba źle do tego podszedłem. Na pewno to potwierdzisz, Zoe, ale Tara ledwie dawała sobie radę. Ze studiami. Fatalnie się opuszczała mimo moich wielokrotnych prób nakłonienia jej do regularnej obecności na zajęciach i realizowania programu. Nie dała mi wyboru. Przeprowadziłem z nią poważną rozmowę. Powiedziałem jej, że nie wiem, czy sięga po narkotyki albo czy ma problemy w związku, ale nie robi należytych postępów w nauce. I że będzie musiała powtórzyć rok. Miała to zrobić, żebym jej nie wyrzucił. – Pokręcił głową ze znużeniem. – Kiedy to usłyszała, wpadła w histerię. Powiedziała, że ojciec ją zabije. Błagała mnie, żebym zmienił zdanie. Odparłem, że to nie wchodzi w grę. I wtedy zmieniła taktykę. Zrobiła się agresywna. Groziła mi. Zapowiedziała, że zniszczy mi karierę i doprowadzi do mojego zwolnienia. – Westchnął. – Zdaje się, że właśnie to próbowała zrobić. Wszystko, co ci powiedziała, te zarzuty dotyczące seksu, jest oczywistą próbą zniszczenia mojej reputacji. – Ściszył głos. – Nigdy bym nie uprawiał seksu ze studentką. Stanowiłoby to najohydniejszą zdradę zaufania i nadużycie pozycji. Jak wiesz, ogromnie lubiłem Tarę. Dlatego wiadomość o tych jej oskarżeniach tak bardzo mnie zabolęła.

Mariana wbrew sobie uznała, że zabrzmiało to przekonująco. W wypowiedzi Foski trudno było dopatrzeć się kłamstwa. Każde jego słowo wydawało się prawdą. Tara często mówiła o ojcu z lękiem, a Zoe, która odwiedziła ją w jej posiadłości w Szkocji, twierdziła, że ojciec Tary okazał się surowym człowiekiem, wręcz okrutnym. Mariana potrafiła sobie wyobrazić jego reakcję na wieść o tym, że córka zawałiła rok. Wyobrażała sobie również, że perspektywa przekazania mu tej informacji mogła wywołać u Tary histerię i desperację.

Zerknęła na Zoe, żeby sprawdzić, jak to przyjęła. Trudno było cokolwiek stwierdzić. Zoe stała napięta i wpatrywała się w kamienny chodnik z zażenowaną miną.

– Mam nadzieję, że to wyjaśnia sytuację – rzucił Fosca. – Teraz ważne, abyśmy pomogli policji schwytać sprawcę. Zasugerowałem, żeby się przyjrzelি Conradowi Ellisowi, temu mężczyźnie, z którym Tara się spotykała. Typak jest pod każdym względem paskudny.

Zoe nie odpowiedziała. Fosca na nią patrzył.



– Zoe? Wszystko między nami w porządku? Bóg widzi, że i tak mamy sporo do przepracowania. Nie dorzucaj do tego podejrzenia o taki czyn.

Zoe podniosła wzrok i spojrzała na niego. Powoli pokiwała głową.

– W porządku – oznajmiła.

– Dobrze. – Fosca nie wyglądał na w pełni usatysfakcjonowanego. – Muszę już iść. Do zobaczenia. Uważaj na siebie, dobrze?

Po raz pierwszy zerknął na Marianę i krótkim skinieniem głowy dał jej do zrozumienia, że ją dostrzegł. Odwrócił się i oddalił; po chwili zniknął za kolumną.

Zapadło milczenie. Zoe popatrzyła na Marianę. Dziewczyna wyglądała na przestraszoną.

– I? – odezwała się z cichym westchnieniem. – Co teraz?

Mariana zastanawiała się przez chwilę.

– Porozmawiam z Conradem.

– Ale jak? Słyszałaś, co powiedział inspektor.

Mariana nie odpowiedziała. Dostrzegła Juliana Ashcrofta wychodzącego z gabinetu dziekana. Patrzyła za nim, jak przecina dziedziniec. Kiwnęła głową sama do siebie.

– Mam pomysł – oznajmiła.

Tego samego popołudnia Marianie udało się spotkać z Conradem Ellisem w komisariacie.

– Witaj, Conradzie – powiedziała. – Jestem Mariana.

Chłopaka aresztowano zaraz po tym, jak przesłuchał go inspektor Sangha – policja była przekonana, że ujęła sprawcę, pomimo braku dowodów, nawet poszlakowych. Ostatnią osobą, która widziała Tarę, kiedy dziewczyna opuszczała teren college’u główną bramą o dwudziestej, był portier, pan Morris. Conrad powiedział, że czekał na nią w swoim mieszkaniu, ale ona tam nie dotarła. To były jednak wyłącznie jego słowa; nie miał alibi na cały wieczór. W mieszkaniu nie znaleziono narzędzia zbrodni, chociaż szukano go skrupulatnie. Zabrano do laboratorium jego ubrania i inne przedmioty w nadziei, że uda się znaleźć trop łączący Conrada z zabójstwem.

Julian zgodził się pomóc Marianie zorganizować spotkanie z Conradem, czym ją zaskoczył.

– Mogę cię wprowadzić ze swoją przepustką – zaproponował. – Muszę przeprowadzić ocenę psychologiczną, więc jeśli chcesz, możesz być obserwatorką. – Puścił do niej oko. – O ile Sangha nas nie nakryje.

– Dzięki. Jestem twoją dłużniczką.

Julian zdawał się świetnie bawić tym podstępem. Po wejściu na komisariat znowu mrugnął do niej porozumiewawczo, kiedy poprosił o przyprowadzenie z celi Conrada Ellisa.

Kilka minut później siedzieli w pokoju przesłuchań. Było to zimne, pozbawione okien i duszne pomieszczenie. Panowała w nim przygnębiająca atmosfera, ale pewnie o to chodziło.

– Conradzie, jestem psychoterapeutką – ciągnęła Mariana. – A także ciotką Zoe. Znasz Zoe, prawda? Z St. Christopher’s College?

Chłopak przez moment wydawał się skonsternowany; wtem w jego oczach błysnęło słabe światło i skinął głową z roztargnieniem.

– Zoe... kumpela Tary?

– Zgadza się. Chce, abyś wiedział, jak jest jej przykro z powodu... Tary.

– Ona jest w porządku, ta Zoe... Lubię ją. Nie jest taka jak inne.

– Jak inne?

– Kumpele Tary. – Conrad się skrzywił. – Nazywam je czarownicami.

- Naprawdę? Nie lubisz jej koleżanek?
- To one mnie nie lubią.
- Dlaczego?

Conrad wzruszył ramionami. Beznamiętnie. Mariana liczyła na jakąś emocjonalną reakcję, coś, co pomogłoby go rozszyfrować, nic jednak nie otrzymała. Pomyślała, że Henry, jej pacjent, wskutek wieloletniego picia i używania narkotyków miał taki sam zamglony wyraz twarzy.

Prezencja Conrada nie zgadzała się z jego osobowością – i na tym po części polegał problem. Chłopak był ospały, masywny, mocno wytatuowany. Mimo to Zoe miała rację; było od niego coś sympatycznego, łagodnego. Mówił powoli, skonsternowany, jakby nie w pełni świadom tego, co się z nim dzieje.

– Nie rozumiem... dlaczego myślą, że zrobiłem jej krzywdę. Nie skrzywdziłem jej. Kocham... kochałem ją.

Mariana zerknęła na Juliana, by poznać jego reakcję. Nie sprawiał wrażenia choćby odrobinę wzruszonego. Zadawał Conradowi kolejne natrętne pytania na temat jego życia i wychowania, a im dłużej to trwało, im bardziej męcząca stawała się rozmowa, tym mroczniejsze wydawały się perspektywy Conrada. Mimo to Mariana nie potrafiła wyzbyć się przeczucia, że chłopak jest niewinny. Nie kłamał; miał złamane serce. W pewnym momencie, wyczerpany pytaniami Juliana, pękł, objął głowę dłońmi i cicho załkał.

Mariana odezwała się ponownie pod koniec przesłuchania.

- Znasz profesora Foscę? – spytała. – Opiekuna naukowego Tary?
- Tak.
- Jak go poznałeś? Przez Tarę?

Przytaknął.

- Kilka razy coś dla niego załatwiłem.

Mariana zamrugnęła. Zerknęła na Juliana.

- Masz na myśli narkotyki?
- Jakie? – zainteresował się Julian.

Conrad wzruszył ramionami.

- To zależało od tego, czego chciał.
- A więc widywałeś go regularnie? Profesora Foscę?

Kolejne wzruszenie ramion.

- Dość często.
- Jak oceniasz jego relacje z Tarą? Dostrzegałeś w nich coś dziwnego?

– No cóż... – rzucił Conrad. – Podobała mu się, no nie?

Mariana i Julian spojrzeli po sobie.

– Tak?

Mariana chciała naciskać dalej, ale Julian gwałtownie zakończył rozmowę. Stwierdził, że ma dość, by móc złożyć raport.

– Mam nadzieję, że zdobyłaś jakieś informacje – odezwał się, gdy opuścili komisariat. – Niezłe przedstawienie, nie sądzisz?

Mariana popatrzyła na niego zdumiona.

– On niczego nie udawał. Nie jest do tego zdolny.

– Wierz mi, Mariano, jego łyzy to gra. Albo uzalanie się nad sobą. Widziałem już takie rzeczy. Kiedy zajmujesz się tym tak długo jak ja, dociera do ciebie, że każdy przypadek jest przygnębiająco podobny do innych.

Spojrzała na niego.

– Nie budzi twojego niepokoju to, że... sprzedawał narkotyki Fosce?

Julian wzruszył ramionami.

– Fakt, że ktoś od czasu do czasu kupuje trawkę, nie czyni go zabójcą.

– A stwierdzenie Conrada, że Tara podobała się Fosce?

– I co z tego? Przecież była śliczna. Znałaś ją, prawda? Co ona robiła z tym durniem?

Mariana ze smutkiem pokręciła głową.

– Sądzę, że Conrad był tylko środkiem do celu.

– Narkotyków?

Przytaknęła z westchnieniem, a Julian łypnął na nią.

– Odwiozę cię. Chyba że masz ochotę na drinka?

– Nie mogę. Muszę wracać do college'u. O osiemnastej odbędzie się msza za Tarę.

– To może innego dnia? – Puścił do niej oko. – Jesteś moją dłużniczką, pamiętasz?

– Obawiam się, że jutro stąd wyjadę.

– Dobra, coś wymyślimy. Jeśli trzeba, zapoluję na ciebie w Londynie.

Julian się zaśmiał, ale jego oczy nie wyrażały wesołości. Mariana zauważyła, że patrzyły zimno, twardo, nieżyczliwie. Coś w jego spojrzeniu budziło w niej wyjątkowy dyskomfort.

Gdy dojechali do St. Christopher's College, poczuła ulgę, że może uciec.

O osiemnastej zaczęło się specjalne nabożeństwo za Tareę.

Kaplicę na terenie college'u wzniesiono w 1612 roku z kamienia i drewna. Miała podłogę z kremowego marmuru i okna witrażowe w żywych odcieniach błękitu, czerwieni i zieleni, na których przedstawiono sceny z życia świętego Krzysztofa. Wysokie sklepienie zdobiły tarcze herbowe i łacińskie motta wymalowane złotymi literami.

W ławkach tłoczyli się wykładowcy i studenci. Mariana i Zoe usiadły z przodu. Rodzice Tary siedzieli w towarzystwie dziekana i mistrza ceremonii.

Lord i lady Hampton przylecieli ze Szkocji, by zidentyfikować ciało. Mariana wyobrażała sobie, jak umysły torturowały ich podczas podróży z odległej wiejskiej posiadłości – długiej jazdy na lotnisko w Edynburgu, a potem lotu na Stansted; mieli czas myśleć: żywić nadzieję, czuć strach i rozpacz, aż wreszcie, po ostatnim odcinku trasy wiodącej do kostnicy w Cambridge, ich niepewność została okrutnie zakończona. Zobaczyli tam swoją córkę i przekonali się, co ją spotkało.

Lord i lady Hampton siedzieli sztywno, twarze mieli białe, wykrzywione – zmarłe. Mariana obserwowała ich zafascynowana. Pamiętała to uczucie, jakby ktoś wcisnął ją do lodowatej zamrażarki, gdzie odrętwiała z szoku. Nie trwało długo i było błogosławieństwem w porównaniu z tym, co przyszło później, kiedy lód stopniał, a szok minął i zaczęła odczuwać ogrom straty.

Mariana zauważyła, że do kaplicy wszedł profesor Fosca. Kroczył nawa, a za nim podążało sześć wyjątkowych młodych kobiet – wyróżniały się ze względu na nadzwyczajną urodę, a także to, że miały na sobie długie białe sukienki. Emanowały pewnością siebie, ale też nieśmiałością, bo zdawały sobie sprawę z tego, że są obserwowane. Inni studenci przyglądali się im, kiedy ich mijały.

Mariana zastanawiała się, czy to były owe przyjaciółki Tary, których Conrad tak nie lubił. „Czarownice”.

Podczas nabożeństwa żałobnicy zachowywali ponurą ciszę. W świetle świec, przy akompaniamencie organów chór chłopięcy w czerwonych komżach z białymi koronkowymi kryzami odśpiewał po łacinie hymn – anielskie głosy, wirując, tonęły w mroku.

To nie był pogrzeb – właściwa uroczystość miała się odbyć w Szkocji. W kaplicy nie było ciała. Mariana pomyślała o biednej dziewczynie leżącej samotnie w kostnicy. I nie potrafiła przestać wspominać tego, jak oddano jej ukochanego, na betonowym stole na Naksos.

Ciało Sebastiana wciąż było wilgotne, kiedy go zobaczyła; woda kapała na podłogę, piasek oblepiał włosy i oczy. Ciało pokrywały dziurki w miejscach, w których ryby wygryzły fragmenty tkanek. Morze zabrało również czubek jednego palca.

Gdy Mariana ujrzała pozbawione życia, woskowe zwłoki, od razu wiedziała, że to nie Sebastian. To była tylko jego powłoka. Sebastian odszedł – ale dokąd?

W dniach po jego śmierci Mariana trwała w odrętwieniu. W przedłużającym się stanie szoku, niezdolna zaakceptować tego, co się stało, ani w to uwierzyć. Wydawało się jej niemożliwe, że już nigdy go nie zobaczy, nie usłyszy jego głosu, nie poczuje dotyku.

„Gdzie on jest? – zachodziła w głowę. – Dokąd odszedł?”

Potem zaczęła do niej docierać rzeczywistość i Mariana przeżyła spóźnione załamanie – łzy przerwały tamę i płynęły niepowstrzymanie; wylewała z siebie wodospad smutku, który zmył jej życie i to, za kogo się uważała.

Następnie przyszła złość. Pałący gniew, ślepa furia, która groziła tym, że pochłonie i ją, i każdego, kto znajdował się blisko niej. Po raz pierwszy w życiu Mariana pragnęła zadać komuś fizyczny ból – chciała kogoś zaatakować i skrzywdzić, najczęściej siebie.

Obwiniła się – naturalnie, że tak. Przecież to ona się uparła, żeby pojechali na Naksos; gdyby zostali w Londynie, tak jak chciał Sebastian, on nadal by żył.

Obwiniła również Sebastiana. Jak śmiał zachować się tak lekkomyślnie, jak mógł iść pływać w taką pogodę, tak bardzo lekceważyć swoje życie – i jej?

Dni były okropne, noce jeszcze gorsze. Na początku połączenie odpowiedniej ilości alkoholu z tabletkami nasennymi zapewniało jej czasowe schronienie, aczkolwiek z powracającymi koszmarami pełnymi katastrof w rodzaju zatonięcia statku, wypadków kolejowych, powodzi. Bez końca śniły się jej podróże – wyprawy na bezludne arktyczne pustkowia w lodowatym wietrze i śnieżnej zawiei; zawsze szukała Sebastiana, lecz nigdy go nie znajdowała.

Z czasem tabletki przestały działać i Mariana nie spała do trzeciej lub czwartej w nocy – leżała i tęskniła, a jedyną rzeczą, która mogła ugasić jej pragnienie, były wspomnienia wyświetlane w mroku przez jej umysł: migoczące obrazy ich wspólnych dni, nocy, zim i lat. Wreszcie, na poły obłąkana z żalu i niedoboru snu, udała się do lekarza. Jasne było, że nadużywała środków nasennych, więc doktor Beck nie zgodził się wystawić kolejnej recepty. zaproponował natomiast zmianę otoczenia.

– Jest pani zamożną kobietą – stwierdził. Po czym dodał bezdusznie: – Do tego bezdzietną. Może wybierze się pani za granicę? W podróż. Pozwiedzać świat.

Zważywszy na to, że ostatnia podróż, w jaką doktor Beck wysłał Marianę, zakończyła się śmiercią jej męża, postanowiła nie iść za jego radą. Zamiast tego uciekła w świat wyobraźni. Zamykała oczy i myślała o ruinach świątyni na Naksos – brudnych białych kolumnach na tle błękitnego nieba – i wspominała swoją cichą modlitwę do Persefony o ich szczęście, ich miłość.

Czy to wtedy popełniła błąd? Bogini poczuła się urażona? Persefona okazała się zazdrosna? A może zakochała się w tym przystojnym mężczyźnie od pierwszego wejrzenia i zabrała go, podobnie jak sama została kiedyś porwana, do świata podziemi? Wydawało się to łatwiejsze do zniesienia – zrzucić winę za śmierć Sebastiana na siły nadprzyrodzone, nagły kaprys bogini. Alternatywa – że jego śmierć była przypadkowa i nic nie znaczyła – nie dawała się zaakceptować.

„Przestań – pomyślała. – Przestań, przestań”. Czuła się żałosna. Do oczu napływały jej łzy żalu nad sobą. Otarła je. Nie chciała się załamać, nie tutaj. Musiała się stąd wydostać, z tej kaplicy.

– Muszę zaczerpnąć powietrza – szepnęła do Zoe.

Zoe przytaknęła i krótko, pokrzepiająco ścisnęła jej dłoń. Mariana wstała i pospiesznie wyszła na dwór. Po opuszczeniu słabo oświetlonej i zatłoczonej kaplicy, kiedy stanęła na pustym dziedzińcu, poczuła natychmiastową ulgę.

Nikogo nie widziała. Główny dziedziniec był cichy i spokojny. Ciemność rozpraszają tylko wysokie latarnie rozmieszczone wokół trawnika, z kłozami otoczonymi aureolami blasku. Znad rzeki nadciągnęła gęsta mgła, która snuła się po terenie college’u. Mariana otarła łzy. Spojrzała w niebo. Wszystkie gwiazdy, niewidoczne w Londynie, świeciły tutaj tak żywo – miliardy połyskujących brylantów na nieskończonej czerni.

Na pewno on gdzieś tam jest.

– Sebastianie? – szepnęła. – Gdzie jesteś?

Słuchała, patrzyła i czekała na jakiś znak – spadającą gwiazdę, chmurę przepływającą na tle księżyca – na coś, cokolwiek.

Nic nie zobaczyła.

Tylko mrok.



Po nabożeństwie ludzie rozmawiali na dziedzińcu, stojąc w małych grupach. Mariana i Zoe oddzieliły się od pozostałych. Mariana szybko powiedziała Zoe o odwiedzinach u Conrada i dodała, że zgadza się z jej oceną.

– Widzisz? – rzuciła Zoe. – Conrad jest niewinny. Nie zrobił tego. Musimy mu jakoś pomóc.

– Nie wiem, co więcej mogłybyśmy zrobić – stwierdziła Mariana.

– *Musimy* coś zrobić. Jestem pewna, że Tara sypiała z kimś jeszcze. Oprócz Conrada. Wspomniała o tym kilkakrotnie... Może jest jakiś trop w jej telefonie? Albo w laptopie? Spróbujmy wejść do jej pokoju...

Mariana pokręciła głową.

– Nie możemy, Zoe.

– Ale dlaczego?

– Uważam, że powinniśmy to zostawić policji.

– Słyszałaś inspektora. Oni już niczego nie szukają. Znaleźli winnego. Musimy coś zrobić. – Westchnęła ciężko. – Jaka szkoda, że nie ma tu Sebastiana. Wiedzialby, co robić.

Mariana przyjęła zawołany wyrzut.

– Też żałuję, że go tu nie ma – powiedziała i zamilkła na chwilę. – Tak się zastanawiam... może pojechałabyś ze mną na kilka dni do Londynu?

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, zorientowała się, że były niewłaściwe. Zoe patrzyła na nią zdumiona.

– Słucham?

– Taki wyjazd mógłby ci pomóc.

– Nie mogę po prostu uciec. To niczego nie zmieni. Myślisz, że Sebastian powiedziałby coś takiego?

– Nie – odparła Mariana. Nagle się zirytowała. – Ale nie jestem Sebastianem.

– Nie – burknęła Zoe, odzwierciedlając irytację Mariany. – Nie jesteś. Sebastian chciałby, żebyś została. Właśnie to by powiedział.

Mariana przez chwilę milczała. A potem postanowiła ubrać w słowa coś, co trapiło ją od ich rozmowy telefonicznej poprzedniego wieczoru.

– Zoe. Czy na pewno... mówisz mi wszystko?

– O czym?

– Sama nie wiem. O tym... O Tarze. Tak sobie myślę... Nie mogę się wyzbyć wrażenia, że coś przede mną taisz.

Zoe pokręciła głową.

– Nic nie taję. – Odwróciła wzrok.

Mariana nadal miała wątpliwości. Martwiło ją to.

– Zoe, czy ty mi ufasz?

– Nawet o to nie pytaj.

– W takim razie posłuchaj. To ważne. Czegoś mi nie mówisz. Widzę to. Czuję. Zaufaj mi. Proszę...

Zoe się zawahała. I zmiękła.

– No więc... – Wtem zerknęła nad ramieniem Mariany i coś zobaczyła; coś, co sprawiło, że zamilkła. W jej oczach błysnął strach, który po sekundzie zgasł. Popatrzyła znowu na Marianę i pokręciła głową. – Nie ma nic takiego. Naprawdę.

Mariana się odwróciła, by spojrzeć na to, co zobaczyła Zoe. Przy wejściu do kaplicy stał profesor Fosca ze swoją świtą – pięknymi dziewczętami w białych sukienkach, pogrążonymi w prowadzonej szeptem rozmowie.

Fosca zapalał papierosa. Na moment spojrzenia jego i Mariany się spotkały – przypatrywali się sobie przez chwilę. Potem profesor opuścił grupę i ruszył z uśmiechem w ich stronę. Mariana usłyszała, że Zoe cicho wzdycha.

– Dzień dobry – odezwał się, kiedy do niej podszedł. – Nie miałem okazji się przedstawić. Edward Fosca.

– Mariana... Andros. – Nie zamierzała posługiwać się nazwiskiem panińskim. Jakoś tak wyszło. – Jestem ciotką Zoe.

– Wiem, kim pani jest. Zoe mi o pani opowiadała. Bardzo mi przykro z powodu pani męża.

– Och. – Mariana była zaskoczona. – Dziękuję.

– Bardzo współczuję też Zoe – dodał, zerkając na nią. – Straciła wujka, a teraz opłakuje Tarę.

Zoe nie odpowiedziała, tylko wzruszyła ramionami, unikając wzroku nauczyciela.

Siostrzenica czegoś jej nie mówiła, czegoś unikała. „Ona się go boi – pomyślała nagle Mariana. – Dlaczego?”

Fosca nie wydawał się jej ani trochę groźny. Miała wrażenie, że jest bezpośredni i życzliwy. Posłał jej szczere spojrzenie.

– Współczuję wszystkim studentom – ciągnął. – To im zrujnuje rok, jeśli nie całe studia.

Nagle Zoe powiedziała do Mariany gwałtownie:

– Muszę lecieć. Umówiłam się z przyjaciółmi na drinka. Chcesz iść ze mną?

Mariana pokręciła głową.

– Obiecałam wpaść do Clarissy. Znajdę cię później.

Zoe kiwnęła głową i odeszła.

Mariana odwróciła się do Foski, ale ze zdumieniem stwierdziła, że profesor już przemierza dziedziniec.

Tam, gdzie wcześniej stał, snuł się tylko dym papierosowy, który wirował w powietrzu, a potem się rozwiął.

– Opowiedz mi o profesorze Fosce – poprosiła Mariana.

Clarissa zerknęła na nią z zaciekawieniem, nalewając bursztynowego koloru herbatę ze srebrnego dzbanka do dwóch filiżanek z delikatnej porcelany. Podała Marianie filiżankę na spodeczku.

– O profesorze Fosce? Dlaczego o niego pytasz?

Mariana uznała, że lepiej nie wdawać się w szczegóły.

– Bez powodu – odparła. – Zoe o nim wspomniała.

Clarissa wzruszyła ramionami.

– Nie znam go zbyt dobrze. Jest z nami od zaledwie kilku lat. Pierwszorzędny umysł. Amerykanin. Robił doktorat u Robertsona z Harvardu.

Profesorka Clarissa Miller siedziała naprzeciwko Mariany w wyblakłym fotelu w kolorze limonkowej zieleni stojącym przy oknie. Uśmiechała się do Mariany z sympatią. Ta kobieta po siedemdziesiątce miała niestarzejącą się twarz okoloną burzą siwych włosów. Była ubrana w białą jedwabną bluzkę i tweedową spódnicę oraz luźno dziany zielony kardigan, prawdopodobnie starszy od większości studentów.

Clarissa była kierowniczką studiów Mariany. Nauka w St. Christopher's College odbywała się przeważnie w ramach indywidualnych spotkań z wykładowcami, zwykle w ich apartamentach. Popołudniami, a nawet i wcześniej, niezmiennie, choć dyskretnie, serwowano na tych zajęciach alkohol (w przypadku Clarissy było to wyborne beaujolais przynoszone z labiryntu piwnic z winem znajdujących się pod uczelnią), by studenci zgłębiali także sztukę jego spożywania, nie tylko literaturę. Oznaczało to również, że spotkania nabierały bardziej osobistego charakteru, a granice między nauczycielem i uczniem zacierały się – dochodziło do wyznań i wymiany intymnych informacji. Samotna, osierocona przez matkę Greczynka wzruszała, a może nawet intrygowała Clarissę, która miała na nią matczyne oko podczas jej studiów. Okazała się też inspiracją dla Mariany – nie tylko z powodu nadzwyczajnych osiągnięć akademickich na polu zdominowanym przez mężczyzn, ale też wiedzy oraz entuzjazmu, z jakim się nią dzieliła. Za sprawą cierpliwości i życzliwości Clarissy (oraz sporadycznych wybuchów) Mariana dostawała od niej znacznie więcej niż od któregośkolwiek innego nauczyciela.

Ukończywszy studia, Mariana pozostawała w kontakcie z profesorką – od czasu do czasu słały do siebie listy i pocztówki, aż pewnego dnia Mariana dostała od niej e-mail z informacją, że i ona, wbrew wszystkiemu, uległa epoce internetu. Po śmierci Sebastiana Clarissa napisała do niej tak piękne, szczerze i wzruszające słowa, że Mariana zachowała wiadomość i czytała ją kilkakrotnie.

– Zdaje się, że profesor Fosca uczył Tarę? – zapytała.

Clarissa skinęła głową.

– Zgadza się, uczył. Biedna dziewczyna... Wiem, że bardzo się nią przejmował.

– Tak?

– Tak. Powiedział, że Tara ledwie radzi sobie na studiach. Podobno miała problemy. – Westchnęła i pokręciła głową. – Potworna sprawa. Potworna.

– Owszem.

Mariana popijała herbatę i przyglądała się, jak Clarissa nabija fajkę tytoniem. Fajka była elegancka, zrobiona z ciemnego wiśniowego drewna.

Clarissa przejęła zwyczaj palenia fajki od swojego nieżyjącego już męża. Jej apartament pachniał dymem i korzennymi przyprawami, ostrym tytoniem. Z biegiem lat woń wgryzła się w ściany, papier książek i samą Clarissę. Chwilami była obezwładniająca. Mariana wiedziała, że studenci nie zgadzali się, by Clarissa paliła podczas konsultacji, i wreszcie zmuszono ją, żeby poddała się zmieniającym się zasadom dotyczącym zdrowia i bezpieczeństwa i przestała nękać studentów swoim nałogiem.

Mariana nie miała nic przeciwko temu, a nawet, kiedy tu teraz siedziała, uzmysłowiła sobie, jak bardzo jej tego zapachu brakowało. Gdy zdarzało się jej poczuć, że ktoś pali fajkę, natychmiast czuła się podniesiona na duchu, bo kojarzyła wonne ciemne kłęby dymu z wiedzą i nauką, a także z życzliwością.

Clarissa zapaliła fajkę i wypuściła dym, znikając za jego chmurą.

– Trudno mi dostrzec w tym sens – odezwała się. – Czuję się zagubiona. Przypomina mi to o tym, jakie bezpieczne życie wiemy tutaj, zamknięci jak w klasztorze. Naiwnie, być może nawet celowo ignorując okropności zewnętrznego świata.

Mariana się z nią zgadzała. Czytanie o życiu nie przygotowuje do niego; przekonała się o tym bardzo dotkliwie. Nie powiedziała jednak tego, tylko pokiwała głową.

– Taka agresja jest koszmarna. Trudno ją pojąć. – Clarissa skierowała fajkę w stronę Mariany. Często używała jej jak wskaźnika, rozsypując przy tym tytoń i żar, który wypalał w dywanie czarne dziury. – Grecy mieli na to słowo. Na taki rodzaj gniewu.

Marianę to zainteresowało.

– Tak?

– *Menis*. W angielskim nie ma dosłownego odpowiednika. Homer zaczyna Iliadę wersem: „μῆνιν ἄειδε θεὰ Πηληϊάδεω Ἀχιλῆος”. „*Menis* Achilla, bogini, głoś obfity w szkody”<sup>3</sup>.

– Ach. A co to dokładnie znaczy?

Clarissa zastanawiała się przez chwilę.

– Najbliższym przekładem będzie coś w rodzaju niekontrolowanego gniewu. Przeraźliwego. Szału.

Mariana pokiwała głową.

– Szał. Rzeczywiście, to by pasowało.

Clarissa odłożyła fajkę na małą srebrną popielniczkę. Posłała Marianie nikły uśmiech.

– Tak się cieszę, że tu jesteś, kochana. Bardzo nam pomożesz.

– Będę tu tylko do jutra. Przyjechałam do Zoe.

Clarissa wyglądała na rozczarowaną.

– Tylko?

– Muszę wracać do Londynu. Mam pacjentów...

– Oczywiście, ale... – Clarissa wzruszyła ramionami. – Może mogłabyś rozważyć kilkudniowy pobyt? Dla dobra college'u?

– Nie wiem, jak mogłabym pomóc. Jestem psychoterapeutką, nie detektywem.

– Zdaję sobie z tego sprawę. I specjalizujesz się w terapii grupowej... Czy to nie jest sprawa grupy?

– Jest, ale...

– No i studiowałaś w tym college'u, co daje ci wgląd i zrozumienie, którego policja, pomimo najlepszych intencji, po prostu nie posiada.

Mariana pokręciła głową. Była trochę rozdrażniona tym, że znowu ktoś ją stawia w niezręcznej sytuacji.

– Nie jestem kryminologiem. To nie moja dziedzina.

Clarissa zdawała się zawiedziona, ale tego nie skomentowała. Przyglądała się Marianie przez dłuższy czas.

– Wybacz, kochana – odezwała się łagodniejszym tonem. – Właśnie do mnie dotarło, że ani razu nie zapytałam, jak się z tym czujesz.

– Z czym?

– Z pobytem tutaj... bez Sebastiana.

To była pierwsza wzmianka Clarissy o nim. Mariana poczuła się zbita z tropu. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie wiem, jak się z tym czuję.

– Na pewno dziwnie.

Mariana pokiwała głową.

– To dobre słowo.

– Ja po śmierci Timmy’ego też się dziwnie czułam. Zawsze tu był, aż nagle przestał być. Spodziewałam się, że wyskoczy zza kolumny i zrobi mi niespodziankę... Nadal to czuję.

Clarissa była żoną profesora Timothy’ego Millera przez trzydzieści lat. Tych dwoje sławnych w Cambridge ekscentryków często widywano, jak pędzili po mieście z książkami pod pachą, potargani, czasem w dwóch różnych skarpetkach, i dyskutowali. To była jedna z najszcześniejszych par, jakie Mariana kiedykolwiek spotkała.

Timmy zmarł przed dziesięcioma laty.

– Zrobi się łatwiej – zapewniła ją Clarissa.

– Tak?

– Ważne jest, by patrzeć do przodu. Nie wolno ci się oglądać za siebie. Myśl o przyszłości.

– Prawdę powiedziawszy, nie za bardzo widzę przyszłość... Niewiele widzę. Wszystko jest... – Szukała słów. Wtem sobie przypomniała. – „Za tą zasłoną”. Skąd to jest? „Za tą zasłoną, za tą zasłoną...”.

– To Tennyson – odpowiedziała Clarissa bez wahania. – *In Memoriam A.H.H.*, strofa pięćdziesiąta szósta, o ile się nie mylę.

Mariana się uśmiechnęła. Mózgi większości nauczycieli przypominały encyklopedie; Clarissa miała w głowie całą bibliotekę. Profesorka zamknęła oczy i zaczęła recytować:

– „O życie, tak ulotne, szybko utracone! / O głosie, który koisz i szczęściem obdarzasz! / Czyliż jeszcze usłyszę, jak mi odpowiadasz? / Za tą zasłoną, za tą zasłoną...”.

Mariana ze smutkiem kiwnęła głową.

– Tak... No właśnie.

– Ostatnio jest raczej niedoceniany. Tennyson. – Clarissa się uśmiechnęła i zerknęła na zegarek. – Skoro zostajesz na noc, musimy znaleźć dla ciebie pokój. Zadzwoń do portierni.

– Dziękuję.

– Zaczekaj chwilkę.

Starsza pani podniosła się z trudem i podeszła do regału. Wodziła palcem po grzbietach książek, aż znalazła tę, której szukała. Zdjęła ją z półki i wcisnęła w dłońe Mariany.

– Proszę. Znalazłam tu pocieszenie po śmierci Timmy’ego.

Był to cieniutki tom oprawiony w czarną skórę. Wyblakłymi złotymi literami napisano na okładce: *IN MEMORIAM A.H.H.*, Alfred Tennyson.

– Przeczytaj to – powiedziała Clarissa stanowczo.



Pan Morris, główny portier, znalazł dla niej pokój.

Mariana zdziwiła się na widok mężczyzny w portierni. Dobrze pamiętała starego pana Morrisa: był dobrotliwym człowiekiem, popularnym wśród studentów, słynącym z pobłażliwości dla licencjatów.

Ten pan Morris okazał się młody, jeszcze przed trzydziestką, wysoki i potężnie zbudowany. Miał mocną szczękę i ciemnobrązowe włosy zaczesane gładko na bok, nosił ciemny garnitur, krawat w uczelnianych kolorach – niebieskim i zielonym – oraz czarny melonik. Uśmiechnął się do Mariany, widząc jej zaskoczenie.

– Chyba spodziewała się pani zobaczyć kogoś innego.

Mariana przytaknęła, zażenowana.

– Rzeczywiście... Pan Morris...

– Był moim dziadkiem. Zmarł kilka lat temu.

– Rozumiem. Przykro mi...

– Proszę się nie przejmować. Ciągłe się to zdarza. Jestem do niego niepodobny, o czym pozostali portierzy mi przypominają. – Puścił do niej oko i zsalutował do melonika. – Tędy. Proszę za mną.

Mariana pomyślała, że jego uprzejme, formalne maniery zdają się należeć do innej epoki. Możliwe, że lepszej.

Mężczyzna uparł się, by nieść torbę Mariany, mimo jej protestów.

– Tak tu postępujemy. St. Christopher's College to miejsce, w którym czas się zatrzymał.

Uśmiechnął się do niej. Najwyraźniej czuł się swobodnie, całkowicie pewnie, jak pan na włościach – co jak wynikało z doświadczeń Mariany, było prawdą w przypadku wszystkich portierów na uczelniach, i słusznie, bowiem bez ich codziennego nadzoru w college'u wszystko szybko by się rozpadło.

Mariana szła za Morrisem do pokoju przy Gabriel Court. Przy tym samym dziedzińcu mieszkała na ostatnim roku studiów. Zerknęła na swoją dawną klatkę schodową, kiedy ją mijali, na kamienne schody, po których Sebastian biegał w górę i w dół milion razy. Podążyła za Morrisem do rogu dziedzińca, ku ośmiokątnej wieżyczce ze zwiertzałego, poplamionego granitu; z tej klatki schodowej wchodziło się do pokoi dla gości. Weszli do

środką i wspięli się po dębowych kręconych schodach na drugie piętro. Morris otworzył drzwi i podał klucz Marianie.

– Bardzo proszę.

– Dziękuję.

Przekroczyła próg i się rozejrzała. Pokój był mały. Znajdowały się w nim okno wykuszowe, kominek oraz dębowe łóżce z baldachimem i toczonymi kolumnkami. Łóżce ze wszystkich stron otaczały kotary z ciężkiego perkalu. Sprawiało to na Marianie dość klaustrofobiczne wrażenie.

– To jeden z ładniejszych pokoi dla byłych studentów – poinformował ją Morris. – Dość mały co prawda. – Postawił torbę Mariany na podłodze przy łóżku. – Mam nadzieję, że będzie tu pani wygodnie.

– Dziękuję. Jest pan bardzo miły.

Nie rozmawiali o zabójstwie, ale Mariana poczuła, że powinna o nim napomknąć – głównie dlatego, że bezustannie o nim myślała.

– To straszne, co się stało.

Morris przytaknął.

– Prawda?

– Pewnie wszyscy w college’u bardzo to przeżyli.

– Owszem. Cieszę się, że mój dziadek nie dożył tego czasu. To by go wykończyło.

– Znał ją pan?

– Tare? – Morris pokręcił głową. – Tylko jej reputację. Była... powiedzmy, że dobrze znana. Ona i jej przyjaciółki.

– Przyjaciółki?

– Zgadza się. To dość... prowokacyjna grupa młodych kobiet.

– Prowokacyjna? Ciekawy dobór słów.

– Naprawdę?

Mężczyzna grał skromnego. Mariana zastanawiała się czemu.

– Co pan przez to rozumie?

Morris się uśmiechnął.

– Były po prostu trochę... żywiołowe, jeśli mnie pani rozumie. Musieliśmy mieć je na oku, podobnie jak ich imprezy. Przerzywałem je kilka razy. Różne rzeczy się tam działy.

– Rozumiem.

Mariana miała problem z rozszyfrowaniem wyrazu twarzy Morrisa. Ciekawiło ją, co się kryje za dobrymi manierami i sympatycznym sposobem bycia. Co on tak naprawdę myślał?

– Jeżeli interesuje się pani Tarą – powiedział z uśmiechem – proszę porozmawiać z pokojówką. Pokojówki wiedzą chyba o wszystkim, co się dzieje w college’u. Znają każdą plotkę.

– Wezmę to pod uwagę, dziękuję.

– Jeżeli to wszystko, zostawię panią w spokoju. Dobranoc.

Morris opuścił pokój i cicho zamknął za sobą drzwi.

Mariana została wreszcie sama – po długim i wyczerpującym dniu. Usiadła na łóżku wykończona. Zerknęła na zegarek. Dwudziesta pierwsza. Powinna się położyć, ale wiedziała, że nie będzie mogła zasnąć. Była zbyt pobudzona, zdenerwowana.

Gdy rozpakowywała torbę, znalazła cienki tomik poezji od Clarissy.

*In Memoriam.*

Usiadła na łóżku i otworzyła książeczkę. Z biegiem lat kartki wyschły, powyginały się i zeszywniały, pofalowały i pomarszczyły. Mariana pogładziła opuszkami szorstkie strony.

Co Clarissa powiedziała? Że teraz spojrzysz na ten utwór z innej perspektywy? Dlaczego? Z powodu Sebastiana?

Pamiętała ten poemat ze studiów. Jak wiele osób i ją zniechęcała jego długość. Składał się z ponad trzech tysięcy wersów, dlatego przeczytanie go uznała za wielkie osiągnięcie. W tamtym czasie nie przemówił do niej – była jednak młodsza, szczęśliwa i zakochana; nie potrzebowała smutnej poezji.

We wstępie autorstwa starego uczonego przeczytała, że Alfred Tennyson miał nieszczęśliwe dzieciństwo – „zła krew” Tennysonów była sławna. Ojciec był pijakiem i narkomanem, do tego skłonny do agresji, rodzeństwo Tennysona cierpiało z powodu depresji i chorób psychicznych. Trafiło do domów opieki, część popełniła samobójstwo. Alfred uciekł z domu w wieku osiemnastu lat. I, podobnie jak Mariana, świat wolności i piękna odkrył w Cambridge. Znalazł tu także miłość. Niezależnie od tego, czy jego relacja z Arthurem Henrym Hallamem miała charakter seksualny, czy nie, była głęboko romantyczna: od dnia, w którym się poznali, do końca pierwszego roku każdą chwilę spędzali razem. Często ich widywano, jak spacerowali ręką w rękę – do czasu, kiedy w 1833 roku Hallam nagle zmarł z powodu tętniaka.

Dowodzono, że Tennyson nigdy nie doszedł do siebie po tej stracie. Przygnębiony, zaniedbany, pogrążył się w żalu. Załamał się. Przez siedemnaście lat opłakiwał przyjaciela i tworzył niewiele poezji – wersy,

strofy, elegie – ale całą poświęcał Hallamowi. Wreszcie zebrał ją w formie ogromnego poematu opublikowanego pod tytułem *In Memoriam A.H.H.*, który szybko uznano za jeden z najlepszych napisanych kiedykolwiek po angielsku.

Mariana przycupnęła na łóżku i zaczęła czytać. Po chwili zorientowała się, jak boleśnie autentyczny i bliski wydał się jej ten głos – miała dziwne, nienaturalne wrażenie, że to jest jej głos, a nie Tennysona; że oto wyraża jej niewysłowione uczucia: „Czasami się obawiam, czy aby nie grzeszę, / Ten ból, który odczuwam, w słowa przelewając; / Gdyż słowa, jak Natura, trochę odsłaniają, / A trochę ukrywają zawartą w nich Duszę”. Podobnie jak Mariana po śmierci Sebastiana, Tennyson rok po śmierci Hallama wrócił do Cambridge. Spacerował tymi samymi uliczkami, po których chadzał razem z nim. Stwierdził, że chociaż wszystko wydawało się takie samo, to takie nie było – stojąc pod drzwiami pokoju przyjaciela, zobaczył tabliczkę z nazwiskiem kogoś innego.

Mariana dotarła do wersów, które stały się tak sławne, że weszły do powszechnego obiegu w języku angielskim – mimo że czytane w kontekście tak wielu innych wersów, potrafiły się do niej zakraść, zaskoczyć ją i odebrać jej dech:

Cokolwiek na mnie spada, nie mam wątpliwości  
I czuję tak niezmiennie wśród największych cierpień  
Że lepiej jest kochając, stracić obiekt westchnień,  
Niżli nie zaznać nigdy rozkoszy miłości.

Oczy Mariany wypełniły się łzami. Opuściła książkę i wyjrzała za okno. Na zewnątrz panowała ciemność i zobaczyła w szybie odbicie swojej twarzy. Przyglądała się sobie, kiedy łzy płynęły jej po policzkach.

„Dokąd teraz? – pomyślała. – Dokąd zmierzasz?”.

„Co robisz?”.

Zoe miała rację – uciekała. Ale dokąd? Do Londynu? Do nawiedzonego domu w Primrose Hill? To już nie był dom, tylko nora, w której mogła się ukryć.

Zoe jej tutaj potrzebowała, czy Mariana chciała to przyznać, czy nie. Mariana nie mogła jej tak po prostu porzucić, to nie wchodziło w grę. Nagle sobie przypomniała, co Zoe powiedziała po nabożeństwie – że Sebastian kazałby Marianie zostać. Miała rację.

Sebastian chciałby, żeby Mariana nie ustępowała i walczyła.

Wróciła myślami do przedstawienia profesora Foski na dziedzińcu. Możliwe, że słowo „przedstawienie” było trafne. Czy jego przemowa nie była zbyt gładka, jakby przeciwiczona? Ale nawet jeśli, to miał alibi. I o ile nie przekonał studentek, żeby dla niego kłamały, co było mało prawdopodobne, musiał być niewinny...

A mimo to...

Coś tu nie pasowało. Coś nie miało sensu.

Tara oskarżyła Foskę, że groził jej śmiercią. A potem, kilka godzin później, nie żyła.

Przecież nic się nie stanie, jeśli Mariana zostanie w Cambridge kilka dni i popyta trochę o relację Tary z profesorem. Fosca na pewno zniesie takie dochodzenie.

Jeżeli policja nie zamierza się nim zająć, to Mariana – w ramach honorowego długu wobec przyjaciółki Zoe – może wysłuchać historii tej młodej kobiety... i potraktować ją poważnie.

Choćby tylko dlatego, że nikt inny tego nie zrobił.

## Część druga

Polemizuję z psychoanalizą z powodu powziętego przez nią założenia, że cierpienie to błąd, oznaka słabości lub nawet przejaw choroby. Tymczasem nie można wykluczyć, że największe prawdy, jakie poznaliśmy, wywodzą się z ludzkiego cierpienia.

Arthur Miller

Lajstrygonów, Cyklopów, dzikiego Posejdona  
nigdy nie spotkasz, jeśli ich w tę podróż  
nie zabierzesz we wnętrzu swojej własnej duszy,  
jeśli własna twa dusza nie wznieci ich przed tobą<sup>4</sup>.

Konstandinos Kawafis, *Itaka*

Kolejna bezsenna noc. Za dużo energii, za silne pobudzenie. Nadmiar ekscytacji, jak by powiedziała moja matka.

Po co się starać? Lepiej iść na spacer.

Błąkając się po opustoszałych ulicach, natknąłem się na lisa. Nie słyszał, że się zbliżam, i podniósł wzrok, przestraszony.

Jeszcze nigdy nie widziałem lisa z tak bliska. Co za wspaniałe zwierzę! To futro, ten ogon i te ciemne oczy odważemniające moje spojrzenie.

Wejrzałem w nie... i co zobaczyłem?

Trudno to opisać - ujrzałem cud stworzenia, cud wszechświata. Odstoniły się przede mną w tamtej sekundzie w oczach tego zwierzęcia. Czułem się, jakbym patrzył na Boga. I przez moment miałem dziwne wrażenie... jakby czyjejs obecności. Jakby Bóg tam był, na ulicy, obok mnie i trzymał mnie za rękę. Nagle poczułem się bezpieczny. Spokojny, pogodzony - jakby szalejąca we mnie gorączka ustąpiła, delirium się wypaliło. Czułem, że druga część mnie, ta dobra, podnosi się wraz ze świtem...

Wtem lis zniknął. Rozpłynął się w cieniu, słońce wzeszło... Bóg odszedł. Zostałem sam, podzielony na dwie części.

Nie chcę być dwiema osobami, tylko jedną. Chcę być całością. Ale zdaje się, że nie mam wyboru.

I kiedy tak stałem na ulicy o wschodzie słońca, poczułem, że płynie ku mnie potworne wspomnienie - innego świtu sprzed lat. Innego poranka - takiego jak ten.

Takie samo żółte światło. Takie samo wrażenie podziału na pół.

Ale gdzie? Kiedy?

Wiem, że jak się postaram, to sobie przypomnę. Ale czy chcę? Wydaje mi się, że bardzo się starałem zapomnieć. Czego się tak bardzo boję? Ojca? Wciąż wierzę, że wyłoni się spod klapy w podłodze jak jakiś mim złoczyńca i mnie zaatakuje?

A może policji? Boję się poczuć nagle dłoń na ramieniu, boję się aresztowania, kary - odkupienia swoich win?

Dlaczego się tak bardzo boję?

Odpowiedź musi się gdzieś znajdować.  
I wiem, gdzie powinienem szukać.



Następnego dnia wcześniej rano Mariana poszła spotkać się z Zoe.

Dziewczyna właśnie się obudziła. Wciąż zaspana, jedną ręką ścisnęła zębę, a drugą ściągała opaskę z oczu. Mrugając, patrzyła na Marianę, która rozsuwała zasłony, by wpuścić do środka światło słońca. Zoe nie wyglądała najlepiej – miała przekrwione oczy i sprawiała wrażenie wykończonej.

– Przepraszam, kiepsko spałam. Miałam złe sny.

Mariana podała jej kubek kawy.

– O Tarze? Ja chyba też.

Zoe przytaknęła, popijając kawę.

– To wszystko jest jak koszmar. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę... odeszła.

– Wiem.

Do oczu Zoe napłynęły łzy. Mariana nie wiedziała, czy ją pocieszać, czy zająć czymś innym. Wybrała to drugie. Sięgnęła po stertę książek leżących na biurku i przejrzała tytuły: *Tragedia księżnej d'Amalfi*, *The Revenger's Tragedy*, *Tragedia hiszpańska*.

– Niech zgadnę. W tym semestrze omawiacie tragedie?

– Tragedie zemsty – odparła Zoe z cichym jękiem. – To takie głupie.

– Nie podobają ci się?

– *Tragedia księżnej d'Amalfi* jest okej... zabawna. To znaczy taka zwariowana.

– Pamiętam. Zatrute biblie, wilkołaki. Niemniej wydaje się aktualna, nie sądzisz? Przynajmniej ja zawsze tak myślałam. – Mariana popatrzyła na książkę. – Od lat tego nie czytałam.

– Wystawiają to w ADC Theatre w tym semestrze. Przyjedź na spektakl.

– Przyjadę. To dobra rola. Dlaczego nie poszłaś na przesłuchanie?

– Poszłam. Nie wybrali mnie. – Zoe westchnęła. – Jak zwykle.

Mariana się uśmiechnęła. A potem udawanie, że nie dzieje się nic złego, przestało działać. Zoe patrzyła na nią, coraz mocniej ściągając brwi.

– Wyjeżdżasz? Przyszłaś się pożegnać?

– Nie. Nie wyjeżdżam. Postanowiłam zostać co najmniej na kilka dni. I zadać kilka pytań. Sprawdzę, czy mogę pomóc.

– Naprawdę? – Oczy Zoe pojaśniały, czoło się wygładziło. – To wspaniale! Dziękuję. – Zawahała się. – Posłuchaj. Co do tego, co wczoraj powiedziałam, że wolałabym, aby to Sebastian tu był... Przepraszam.

Mariana pokręciła głową. Rozumiała. Zoe i Sebastiana zawsze łączyła wyjątkowa więź. Kiedy Zoe była mała, to do Sebastiana biegła, jeśli obtarła sobie kolano, skaleczyła się albo potrzebowała pocieszenia. Mariana nie miała nic przeciwko temu – wiedziała, jak ważne jest mieć ojca. Sebastian zastępował go Zoe, gdy dziewczynka straciła rodziców.

– Nie musisz przeproszać. Sebastian lepiej sobie radził w sytuacjach kryzysowych.

– Chyba zawsze się nami opiekował, a teraz... – Zoe wzruszyła ramionami.

Mariana uśmiechnęła się do niej zachęcająco.

– A teraz opiekujemy się sobą nawzajem. Prawda?

– Tak – zgodziła się Zoe. – Daj mi dwadzieścia minut na prysznic i wyszykowanie się – powiedziała już bardziej stanowczo, pozbierawszy się. – Możemy opracować plan...

– Jak to? Nie masz dzisiaj wykładów?

– Mam, ale...

– Żadnych ale – odparła Mariana zdecydowanie. – Idź na wykłady. Na zajęcia. Spotkamy się na lunchu. Wtedy porozmawiamy.

– Och, Mariano...

– Nie. Mówię poważnie. Jeszcze nigdy nie było tak ważne, żebyś miała zajęcia i skupiła się na swoich zadaniach. Dobrze?

Zoe westchnęła ciężko, lecz przestała protestować.

– Świetnie – rzuciła Mariana i pocałowała ją w policzek. – To do zobaczenia.

Mariana wyszła z pokoju Zoe i poszła nad rzekę.

Minęła hangar z łodziami i rząd zacumowanych płaskodenek należących do St. Christopher's College – przymocowane łańcuchami do brzegu kołysały się na wodzie.

Idąc, dzwoniła do pacjentów, żeby odwołać sesje z tego tygodnia. Nie mówiła im, co się wydarzyło. Wspominała tylko, że ma trudną sytuację w rodzinie. Większość dobrze przyjęła wiadomość – z wyjątkiem Henry'ego. Mariana nie spodziewała się po nim dobrej reakcji i miała rację.

– Wielkie dzięki – bąknął sarkastycznie. – To cześć, kolego. Bardzo to miłe.

Mariana usiłowała mu wytłumaczyć, że to nagły wypadek, ale nie zamierzał jej niczego ułatwiać. Jak dziecko potrafił dostrzec wyłącznie własne potrzeby i dążył do ukarania jej.

– Przejmujesz się mną? W ogóle cię cokolwiek obchodzi?

– Henry, nie mam na to wpływu...

– A co ze mną? Potrzebuję cię, Mariano. Też nie mam na to wpływu. Dzieją się różne rzeczy. Ja... ja tonę...

– Dlaczego? Co się stało?

– Nie mogę rozmawiać o tym przez telefon. Potrzebuję cię... Dlaczego nie ma cię w domu?

Mariana zamarła. Skąd wiedział, że jej tam nie ma? Pewnie znowu obserwuje dom.

W jej głowie rozległ się nagle dzwonek alarmowy. Relacja z Henrym nie mogła dłużej trwać. Mariana była na siebie zła, że dopuściła do takiej sytuacji. Będzie musiała się tym zająć – zająć się Henrym. Ale nie teraz. Nie dzisiaj.

– Muszę kończyć – powiedziała.

– Wiem, gdzie jesteś, Mariano. Ty tego nie wiesz, prawda? Obserwuję cię. Widzę...

Rozłączyła się. Wytrącił ją z równowagi. Spojrzała na brzeg i ścieżki po obu stronach rzeki, ale nie dostrzegła nigdzie Henry'ego.

To jasne, że go nie widziała – przecież tylko próbował ją nastraszyć. Zdenerwowała się na siebie, że połknęła przynętę.

Pokręciła głową i poszła dalej.

To był piękny poranek. Promienie słońca przeświecały przez gałęzie wierzb nad rzeką, tworząc nad głową Mariany zieloną poświatę. Pod jej stopami cyklameny bluszczolistne rosły kępami, a ich kwiaty przypominały malutkie różowe motyle. Trudno było pogodzić urodę tego miejsca z powodem, dla którego je odwiedziła, z myślami krążącymi wokół zabójstwa i śmierci.

„Co ja, do licha, wyprawiam? To obłąd”.

Nie potrafiła nie skupiać się na negatywach – na wszystkim, czego nie wiedziała. Nie miała pojęcia, jak schwytać mordercę. Nie była ani kryminologiem, ani psychologiem sądowym jak Julian. Dysponowała wyłącznie instynktowną wiedzą o ludzkiej naturze i zachowaniach, gromadzoną przez lata pracy z pacjentami. To będzie musiało jej wystarczyć, bo w przeciwnym razie wątpliwości ją sparaliżują. Musi zaufać instynktowi. Zadumała się na moment.

Od czego zacząć?

Po pierwsze – i najważniejsze – musi zrozumieć Tarę: dowiedzieć się, jaką była osobą, kogo kochała, kogo nienawidziła i kogo się bała. Mariana podejrzewała, że Julian miał rację – Tara знаła swojego zabójcę. Dlatego należy poznać jej sekrety. To nie powinno być zbyt trudne. W grupach tego rodzaju, w małych zamkniętych społecznościach roi się od plotek i ludzie znają nawzajem swoje prywatne życie. Jeżeli Edward Fosca rzeczywiście wdał się we wspomniany przez Tarę romans, na pewno to komentowano. Wiele można się dowiedzieć z plotek w college’u. Od tego Mariana zacznie – od zadawania pytań.

I przede wszystkim od słuchania.

Dotarła do bardziej uczęszczanego odcinka wybrzeża przy Mill Lane. Widziała przed sobą ludzi, spacerujących, biegających, jeżdżących na rowerach. Przyglądała się im. Zabójcą może być ktoś z nich. Może tam teraz stać.

Może ją obserwować.

Jak go rozpozna? Nie rozpozna – brzmiała prosta odpowiedź. I chociaż Julian szczycił się swoją wiedzą, też tego nie potrafił. Mariana wiedziała, że zapytany o psychopatię Julian wspomniałby o uszkodzeniu płata czołowego lub skroniowego albo przywołałby szereg pozbawionych

znaczenia etykiet – społeczne zaburzenia osobowości, złośliwy narcyzm – uzupełnionych wygłoszonymi bez zająknięcia określeniami w rodzaju: wysoka inteligencja, powierzchowny urok, pretensjonalność, patologiczna skłonność do kłamstwa, pogarda dla moralności. A przecież to wszystko niczego nie tłumaczyło. Nie wyjaśniało, jak – lub dlaczego – ktoś mógł się stać bezlitosnym potworem wykorzystującym ludzi, jakby byli zepsutymi zabawkami, które można roztrzaskać na kawałki.

Dawno temu psychopatię nazywano po prostu złem. Ludzi złych – czerpiących rozkosz z krzywdzenia lub zabijania innych – opisywano, odkąd Medea podniosła miecz na swoje dzieci, a może jeszcze wcześniej. Słowo „psychopata” stworzył niemiecki psychiatra w 1888 roku – tym samym, w którym Kuba Rozpruwacz sterroryzował Londyn; *psychopastiche* znaczy dosłownie „cierpiąca dusza”. Według Mariany właśnie cierpienie było wskazówką, bo te potwory przeżywały ból. Myślenie o nich jak o ofiarach pozwalało zachować bardziej racjonalne, współczujące podejście. Psychopatia lub sadyzm nigdy nie biorą się z niczego. Nie są roznoszone przez atakującego znieczulacza wirusa. Mają długą historię, która zaczyna się w dzieciństwie.

Mariana żywiła przekonanie, że dzieciństwo jest doświadczeniem reaktywnym, co znaczyło, że aby odczuwać empatię wobec drugiego człowieka, musimy ją najpierw zaobserwować u naszych rodziców lub opiekunów. Mężczyzna, który zabił Tare, był kiedyś chłopcem, któremu nikt nie pokazał empatii, życzliwości. Cierpiał – i to straszliwie.

Lecz przecież mnóstwo dzieci dorasta w potwornie brutalnym środowisku, a jednak nie zostaje mordercami. Dlaczego? Cóż, jak mawiała dawna superwizorka Mariany: „Nie trzeba wiele, by ocalić dzieciństwo”. Wystarczy odrobina życzliwości, zrozumienia lub uznania; jeżeli ktoś zrozumie i uzna rzeczywistość dziecka, uratuje jego zdrowie psychiczne.

Mariana podejrzewała, że w tym przypadku ktoś taki się nie znalazł – zabrakło dobrej babci, ulubionego wujka, serdecznej sąsiadki lub nauczycielki, która dostrzegłaby ból, nazwała go i uczyniła realnym. Jediną rzeczywistość tworzył oprawca, a uczucia dziecka takie jak wstyd, strach i gniew były zbyt niebezpieczne, aby mogło je przepracować samodzielnie, dlatego pozostały nieprzepracowane; dziecko ich nie czuło. Oddało prawdziwego siebie, nieodczuty ból i gniew, podziemnemu światu, mrocznemu królestwu nieświadomości.

Człowiek ten stracił kontakt z tym, kim naprawdę był. Mężczyzna, który zwabił Tarę w to bezludne miejsce, był tak samo nieznany sobie jak wszystkim innym. Mariana podejrzewała, że był doskonałym aktorem: nienagannie uprzejmym, sympatycznym i czarującym. Tara go czymś sprowokowała i jego wewnętrzne przerażone dziecko zaatakowało, sięgnęło po nóż.

Co takiego wyzwoliło jego reakcję?

To pozostawało zagadką. Gdyby tylko Mariana mogła wejrzeć w jego umysł i odczytać myśli – gdziekolwiek się znajdował.

– Witaj.

Na dźwięk głosu dobiegającego zza jej pleców Mariana podskoczyła. Odwróciła się szybko.

– Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć.

To był Fred, młody mężczyzna, którego poznała w pociągu. Prowadził rower, pod pachą trzymał plik papierów i jadł jabłko. Uśmiechał się szeroko.

– Pamiętasz mnie?

– Tak, pamiętam.

– A nie mówiłem, że się znowu spotkamy? Przewidziałem to. Mówiłem ci, że jestem jasnowidzem.

Mariana się uśmiechnęła.

– Cambridge to mała miejscowość. Zwyczajny zbieg okoliczności.

– Pamiętaj, że jestem fizykiem. Coś takiego jak zbieg okoliczności nie istnieje. Udowadniam to właśnie w artykule, który piszę. – Fred wskazał na plik papierów, a ten wysunął się spod jego ręki i strony pokryte matematycznymi wzorami posypały się kaskadą na ścieżkę. – O kurczę. – Fred rzucił rower na ziemię i zaczął spiesznie zbierać kartki.

Mariana przyklękła, żeby mu pomóc.

– Dzięki – powiedział, kiedy zgarniali ostatnie strony.

Ich twarze dzieliły centymetry i chłopak patrzył jej w oczy. Przez sekundę spoglądali na siebie. Mariana pomyślała, że ma ładne oczy, lecz szybko przegoniła tę myśl. Wstała.

– Cieszę się, że nadal tu jesteś – odezwał się Fred. – Będziesz tu jeszcze długo?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Zostałam ze względu na siostrzenicę. Dotarły do niej... złe wieści.

– Chodzi o to zabójstwo? Studiujecie w St. Christopher's College, zgadza się?

Mariana zamrugnęła, skonsternowana.

– Nie pamiętam... żeby ci o tym mówiła.

– Mówiłaś. Wszyscy o tym gadają – dodał szybko Fred. – O tym, co się stało. Sporo o tym myślałem. Mam kilka teorii.

– Jakich teorii?

– Na temat Conrada. – Fred zerknął na zegarek. – Teraz muszę lecieć. Przypuszczam, że nie będziesz miała ochoty na drinka. Powiedzmy, dzisiaj wieczorem? Moglibyśmy porozmawiać. – Spojrzał na nią z nadzieją. – To znaczy... jeślibyś chciała. Oczywiście nie naciskam... To nic wielkiego...

Fred aż się wił. Mariana zamierzała mu odmówić i położyć kres jego niedoli, coś ją jednak powstrzymało. Co on wiedział o Conradzie? Może przydałby się jej jego umysł. Może wiedział o czymś, co okaże się przydatne. Warto było zaryzykować.

– W porządku – odparła.

Fred wyglądał na zaskoczonego i podekscytowanego.

– Serio? Fantastycznie. To może o dziewiątej? W Eagle? Dam ci mój numer.

– Nie potrzebuję twojego numeru. Przyjdę.

– Okej – rzekł z uśmiechem. – To mamy randkę.

– To nie jest randka.

– Oczywiście, że nie. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. No dobra... To na razie.

Wsiadł na rower. Mariana patrzyła, jak oddalał się ścieżką nad rzeką. Zawróciła i ruszyła w stronę college'u.

Pora zacząć. Już czas zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

Mariana szybkim krokiem przemierzała główny dziedziniec, kierując się w stronę grupki kobiet w średnim wieku. Wszystkie trzymały w dłoniach parujące kubki, jadły herbatniki i plotkowały. Pokojówki w czasie przerwy na herbatę.

Pokojówka w college'u to swego rodzaju instytucja – od setek lat uczelnia zatrudniała rzesze miejscowych kobiet, żeby słały łóżka, opróżniały kosze na śmieci, sprzątały pokoje. Trzeba przy tym powiedzieć, że codzienne kontakty ze studentami często oznaczały przekroczenie granic pomocy domowej i przejście do pomocy duchowej. W pewnym okresie, przed poznaniem Sebastiana, pokojówka była jedyną osobą, z którą Mariana codziennie rozmawiała.

Pokojówki budziły respekt. Mariana czuła się nieswojo, zbliżając się do nich. Zastanawiała się – nie po raz pierwszy – co naprawdę myślały o studentach kobiety z klasy robotniczej, które nie cieszyły się takimi przywilejami jak ci, często zepsuci, młodzi ludzie. „Może nienawidzą nas wszystkich” – pomyślała nagle. Nie miałyby im za złe, gdyby tak było.

– Dzień dobry – odezwała się.

Rozmowa ucichła. Kobiety posłały Marianie zaciekawione i nieco podejrzliwe spojrzenia. Uśmiechnęła się.

– Zastanawiam się, czy mogłyby mi panie pomóc. Szukam pokojówki Tary Hampton.

Kilka głów zwróciło się w stronę kobiety, która stała w głębi i paliła papierosa.

Była grubo po sześćdziesiątce, może starsza. Miała na sobie niebieski fartuch, obok niej stało wiadro ze środkami czystości i szczotką do kurzu. Nie była pulchna, ale solidnej budowy i z okrągłą twarzą. Włosy miała ufarbowane na rudo, z siwymi odrostami i malowała sobie brwi kredką – tego dnia zachodziły wysoko na czoło, nadając jej twarzy wyraz zaskoczenia. Wyglądała na lekko zirytowaną tym, że ją wskazano. Posłała Marianie wymuszony uśmiech.

– To ja, kochaniutka. Jestem Elsie. Jak mogę pomóc?

– Mam na imię Mariana. Studiowałam tutaj. I... – improwizowała – jestem psychoterapeutką. Dziekan prosił, żebym porozmawiała z różnymi



osobami z personelu college'u o tym, jak wpływa na nich śmierć Tary. I tak się zastanawiałam, czy mogłybyśmy... porozmawiać – zakończyła kulawo.

Nie żywiła zbyt wielkiej nadziei, że Elsie połknie przynętę.

Miała rację. Pokojówka wydeła wargi.

– Nie potrzebuję terapeuty, kochaniutka. Mojej głowie nic nie dolega, bardzo dziękuję.

– Nie o to mi chodziło. Robię to dla siebie. Przeprowadzam badanie.

– Naprawdę nie mam czasu...

– To nie potrwa długo. Może mogłabym pani kupić herbatę? Kawalek ciasta?

Na wspomnienie o cieście oko Elsie błysnęło. Złagodniała. Wzruszyła ramionami i zaciągnęła się dymem.

– W porządku. Ale będziemy musiały się zwijać. Muszę zrobić jeszcze jedną klatkę przed lunchem. – Zdeptała niedopałek na chodniku, ściągnęła fartuch i rzuciła go drugiej pokojówce, która złapała go bez słowa. Podeszła do Mariany. – Chodź ze mną, kochaniutka – poleciła. – Znam najlepsze miejsce. – I ruszyła przed siebie.

Mariana poszła za nią, a kiedy odwróciła się plecami do pozostałych kobiet, te zaczęły szeptać między sobą jak najęte.

Mariana szła za Elsie King's Parade. Minęły Market Square, gdzie zielono-białe markizy rzucały cień na stragany z kwiatami, książkami i ubraniami, potem Senate House, lśniący bielą za błyszczącym czarnym ogrodzeniem. A potem sklep z cukierkami, zza którego otwartych drzwi dochodził przejmująco słodki zapach cukru i gorącego karmelu.

Elsie zatrzymała się przed czerwono-białą markizą Copper Kettle.

– To jest mój lokal – oznajmiła.

Mariana skinęła głową. Pamiętała tę herbaciarnię z czasów studenckich.

Puściła Elsie przodem i weszła do środka, gdzie tłum studentów i turystów rozmawiał w różnych językach. Elsie od razu ruszyła do szklanej gabloty z ciastami. Przyjrzała się brownie, ciastu czekoladowemu, plastron kokosa, szarlotce i bezie cytrynowej.

– Naprawdę nie powinnam... – powiedziała. – No, może jeden kawałek.

– Odwróciła się do starszej, siwowłosej kelnerki. – Poproszę ciasto czekoladowe. I dzbanek herbaty English Breakfast. Ona płaci. – Ruchem głowy wskazała Marianę.

Mariana zamówiła herbatę i usiadły przy stoliku przy oknie. Milczały. Mariana się uśmiechnęła.

– Tak się zastanawiam, czy zna pani moją siostrzenicę Zoe. Przyjaźniła się z Tarą.

Elsie stęknęła. Nie wyglądała na zachwyconą.

– Och, to pani siostrzenica? Owszem, opiekuję się nią. Niezła z niej damulka.

– Zoe? Co pani ma na myśli?

– Była dla mnie bardzo niegrzeczna... kilka razy.

– Och... Przykro mi to słyszeć. To do niej zupełnie niepodobne. Porozmawiam z nią o tym.

– Koniecznie, kochaniutka.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

Przerwało ją pojawienie się kelnerki – młodej ślicznej dziewczyny z Europy Wschodniej – która przyniosła herbatę i ciastko. Twarz Elsie się rozpromieniła.

– Paulina. Jak się miewasz?

– Dobrze, Elsie, dziękuję. A ty?

– Nie słyszałaś? – Elsie otworzyła szeroko oczy, a do jej tonu zakradło się udawane drżenie. – Jedna z dziewczynek Elsie została zaszlachtowana... Posiekana na kawałki nad rzeką.

– Tak, słyszałam. Przykro mi.

– Uważaj na siebie. Tu nie jest bezpiecznie. Taka ślicznotka jak ty nie powinna chodzić nocą po dworze.

– Będę uważała.

– To dobrze. – Elsie się uśmiechnęła, patrząc za oddalającą się kelnerką. Skierowała uwagę na ciasto, którym zajęła się z rozkoszą. – Niezłe – stwierdziła między kęsami. Miała usta lekko umazane czekoladą. – Chce pani trochę?

Mariana pokręciła głową.

– Nie, dziękuję.

Ciasto podziałało – poprawiło Elsie nastrój. Jedząc, pokojówka przyglądała się Marianie w zadumie.

– Kochaniutka – odezwała się. – Mam nadzieję, że się nie spodziewasz, że uwierzę w te bzdury na temat psychoterapii. Badanie, akurat.

– Jest pani bardzo spostrzegawcza.

Elsie zachichotała i wrzuciła kostkę cukru do filiżanki.

– Elsie niewiele przegapia.

Kobieta miała denerwujący zwyczaj mówienia o sobie w trzeciej osobie liczby pojedynczej. Przeszyła Marianę wzrokiem.

– W takim razie o co tak naprawdę chodzi?

– Chciałabym zadać kilka pytań o Tarę... – Mariana przyjęła konfidencki ton. – Była z nią pani blisko, prawda?

Elsie posłała jej dość nieufne spojrzenie.

– Kto pani o tym powiedział? Zoe?

– Nie... Po prostu założyłam, że jako jej pokojówka sporo pani widziała. Ja sama uwielbiałam swoją pokojówkę.

– Naprawdę? To miłe.

– Świadczycie nam tak ważne usługi... Nie jestem pewna, czy zawsze okazywałam stosowną wdzięczność.

Elsie potaknęła z entuzjazmem.

– Ma pani rację. Ludziom się wydaje, że pokojówka tylko myje różne rzeczy i opróżnia kosz. Ale te maluchy po raz pierwszy opuściły dom i nie można pozwolić, żeby były zdane wyłącznie na siebie. Potrzebują opieki. – Uśmiechnęła się słodko. – I to Elsie się nimi opiekuje. Zagląda do nich

codziennie, budzi je każdego ranka albo znajduje martwe, jeśli się w nocy powieszają.

Mariana milczała chwilę, zaskoczona.

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

– W dniu jej śmierci rzecz jasna... Nigdy tego nie zapomnę. Widziałam, jak bidulka szła na śmierć.

– Nie rozumiem.

– No, byłam na dziedzińcu i czekałam na kilka innych pokojówek. Zawsze jeździmy razem autobusem. Widziałam, jak Tara wychodzi z pokoju. Wyglądała na strasznie zdenerwowaną. Pomachałam do niej i zawołałam, ale z jakiegoś powodu mnie nie usłyszała. Widziałam, jak się oddala... I już nie wróciła...

– Która to była godzina? Pamięta pani?

– Za kwadrans ósma. Zapamiętałam, bo zerknęłam na zegarek... Prawie się spóźniłyśmy na autobus. – Elsie cmoknęła. – Chociaż teraz już nigdy nie przyjeżdża punktualnie.

Mariana dołąła Elsie herbaty z imbryczka.

– Myślałam też o jej przyjaciółkach. Jakie ma pani o nich zdanie?

Elsie uniosła brew.

– Chodzi pani o *nie*?

– O *nie*?

Elsie się uśmiechnęła, ale nie odpowiedziała. Mariana naciskała ostrożnie.

– Conrad w rozmowie ze mną nazwał je czarownicami.

– Naprawdę? – Elsie zachichotała. – Bardziej by pasowało „zołzy”.

– Nie lubi ich pani?

Elsie wzruszyła ramionami.

– Nie przyjaźniły się z nią. Tara ich nienawidziła. Tylko pani siostrzenica była dla niej miła.

– A tamte?

– Znęcały się nad nią, bidulką. Wyplakiwała się potem na moim ramieniu. „Jesteś moją jedyną przyjaciółką – mówiła. – Kocham cię, Elsie”.

Pokojówka otarła wyimaginowaną łzę. Marianie zrobiło się niedobrze: całe to przedstawienie było obrzydliwie słodkie, jak ciasto czekoladowe, które Elsie właśnie pochłonęła. Mariana nie wierzyła w ani jedno słowo. Ta kobieta albo miała bujną wyobraźnię, albo kłamała. Mariana czuła się w jej towarzystwie coraz bardziej skrepowana. Niemniej wytrwała.

– Dlaczego znęcały się nad Tarą? Nie rozumiem.  
– Były zazdrosne, co nie? Bo ona była taka piękna.  
– Ach tak... Zastanawiam się, czy mogło chodzić o coś więcej...  
– Chyba robi pani najlepiej, pytając o to Zoe, prawda?  
– Zoe? – Marianę zdziwiła ta sugestia. – Jak to? Co Zoe ma z tym wspólnego?

Elsie uraczyła ją zagadkowym uśmiechem.

– To dopiero jest pytanie, prawda, kochaniutka?

I na tym poprzestała. Zirytowała Marianę.

– A profesor Fosca?

– Co z nim?

– Conrad twierdzi, że miał z Tarą romans.

Nie zrobiło to na Elsie wrażenia i nie zaskoczyło jej.

– Profesor jest mężczyzną, prawda? Jak wszyscy inni.

– To znaczy?

Elsie prychnęła, ale nie odpowiedziała. Mariana odniosła wrażenie, że rozmowa zbliża się do końca i dalsze sondowanie spotkałoby się z zimną dezaprobatą. Dlatego na tyle swobodnie, na ile mogła, ujawniła prawdziwy powód, dla którego ściągnęła tu Elsie i przekupiła ją pochlebstwem i ciastem.

– Elsie, myśli pani, że... mogłabym zajrzeć do pokoju Tary?

– Do jej pokoju? – Kobieta wyglądała, jakby miała odmówić. Wtem wzruszyła ramionami. – To chyba w niczym nie zaszkodzi. Policja już się tam rozejrzała. Jutro miałam tam zrobić gruntowne porządki... Wie pani co? Dopiję herbatę i możemy tam iść razem.

Mariana uśmiechnęła się zadowolona.

– Dziękuję pani, Elsie.

Pokojówka otworzyła drzwi do pokoju Tary. Przekroczyła próg i zapaliła światło. Mariana weszła za nią.

Wnętrze wyglądało jak typowy pokój nastolatki, tyle że panował w nim ponadprzeciętny bałagan. Policja nie zostawiła śladów rewizji i pomieszczenie sprawiało takie wrażenie, jakby Tara mogła tu lada moment wrócić. W powietrzu nadal unosiła się woń jej perfum, czuć też było piżmowy zapach marihuany, który przywarł do mebli.

Mariana nie wiedziała, czego szuka. Czegoś, czego nie zauważyła policja? Ale czego? Zabrano wszystkie urządzenia, które budziły w Zoe nadzieję znalezienia jakiegoś tropu: komputer, telefon, iPad. Zostały ubrania: w szafie, przewieszane przez fotel i leżące w stertach na podłodze – drogie rzeczy traktowane jak szmaty. Z książkami nie obchodzono się lepiej – porzucono je w połowie lektury na podłodze, otwarte, z zagiętymi stronami.

– Zawsze była taka nieporządna?

– Tak, kochaniutka. – Pokojówka cmoknęła i zachichotała pobłaźliwie. – Beznadziejny przypadek. Nie wiem, co by zrobiła, gdyby Elsie się nią nie opiekowała. – Usiadła na łóżku. Najwyraźniej nabrała do Mariany zaufania. Już nie rozmawiała z nią z rezerwą, wręcz przeciwnie. – Jej rzeczy spakują dzisiaj rodzice – poinformowała. – Zaproponowałam, że to zrobię. Oszczędzę im kłopotu. Z jakiegoś powodu nie chcieli. Niektórych ludzi nie da się zadowolić. Nie dziwię się. Wiem, co Tara o nich myślała. Powiedziała mi. Lady Hampton to nadęta suka. I powiem pani, że żadna z niej lady. A co do jej męża...

Mariana słuchała jednym uchem. Wolałaby, żeby Elsie sobie poszła, bo nie mogła się przez nią skupić. Podeszła do małej toaletki. Pod ramę lustra powtykano zdjęcia. Jedna z fotografii przedstawiała Tarę z rodzicami. Dziewczyna była niebywale, świetliście piękna. Miała długie rude włosy i doskonale rysy – twarz greckiej bogini.

Mariana omiotła wzrokiem resztę przedmiotów na toalecie. Kilka flakoników perfum, kosmetyki do makijażu i szczotka do włosów. Przyjrzała się tej ostatniej. Został w niej rudy kosmyk.

– Miała cudowne włosy – odezwała się Elsie, spoglądając na nią. – Cesałam ją. Uwielbiała, kiedy to robiłam.

Mariana uśmiechnęła się uprzejmie. Sięgnęła po małego pluszaka – puchatego króliczka opartego o lustro. W przeciwieństwie do starej zebry Zoe, zniszczonej i wytartej po latach znęcania się nad nią, ta maskotka wyglądała na dziwnie nową – niemal nieużywaną.

Elsie szybko wyjaśniła zagadkę.

– Ja jej to kupiłam. Kiedy tu przyjechała, była samotna. Potrzebowała czegoś, co mogłaby przytulić. Więc kupiłam jej króliczka.

– To miłe.

– Elsie jest bardzo miła. Kupiłam jej też termofor. W nocy robi się tu potwornie zimno. Koc, który im tu dają, jest cienki jak papier. – Ziewnęła. Wydawała się znudzona. – Myślisz, kochaniutka, że długo tu jeszcze będziesz? Ja powinnam się już zbierać. Muszę jeszcze obskoczyć jedną klatkę.

– Nie chcę pani zatrzymywać. Może... może mogłabym wyjść za kilka minut?

Elsie zastanawiała się przez chwilę.

– Dobra. Wyskoczę na papieroska, a potem zabiorę się do roboty. Niech pani zamknie drzwi, wychodząc.

– Dzięki.

Elsie wyszła z pokoju. Mariana odetchnęła z ulgą. Dzięki Bogu. Rozejrzała się. Jeszcze tego nie znalazła, czymkolwiek było to, czego szukała. Miała nadzieję, że to rozpozna. Jakąś wskazówkę, coś, co zdradzi jej stan umysłu Tary. Coś, co pomoże jej zrozumieć.

Podeszła do komody i zaczęła przeglądać zawartość szuflad. Przygnębiające, ponure zajęcie. Kojarzyło się jej z sekcją, jakby rozcinała ciało Tary i oglądała jej narządy wewnętrzne. Szperała w jej najbardziej osobistych rzeczach: bieliźnie, kosmetykach do makijażu i pielęgnacji włosów, obejrzała paszport, prawo jazdy, karty kredytowe, zdjęcia z dzieciństwa przedstawiające ją jako małą dziewczynkę, jej notatki i karteczki z przypomnieniami, że ma coś zrobić, stare paragony, pojedyncze tampony, fiolki po kokainie, strzępki tytoniu i marihuany.

Dziwne. Tara zniknęła, zupełnie jak Sebastian, i zostawiła po sobie swoje rzeczy. „Po śmierci – myślała Mariana – zostawiamy tajemnicę; no i swoje rzeczy, naturalnie, żeby przejęli je obcy ludzie”.

Postanowiła się poddać. Tego czegoś, czego szukała, tutaj nie było. Możliwe, że to coś w ogóle nie istniało. Zamknęła ostatnią szufladę

i ruszyła w stronę drzwi. Gdy do nich dotarła, coś kazało jej się zatrzymać... i odwrócić się. Jeszcze raz zlustrowała pokój.

Zatrzymała wzrok na korkowej tablicy na ścianie nad biurkiem. Notatki, ulotki, kartki pocztowe, kilka zdjęć. Obraz na jednej z pocztówek Mariana znała – *Tarkwiniusz i Lukrecja* pędzła Tycjana. Stała bez ruchu. Przyjrzała się obrazowi uważnie.

Lukrecja znajdowała się w swojej sypialni, na łóżku, naga i bezbronna. Tarkwiniusz stał nad nią i wznosił sztylet odbijający światło, gotowy do ataku. Obraz był piękny, ale na wskroś niepokojący.

Mariana zdjęła pocztówkę z tablicy. Odwróciła ją.

Z tyłu widniał napisany ręcznie czarnym atramentem cytat. Cztery wersy starożytną greką.

Ἐν δὲ πᾶσι γνῶμα ταῦτὸν ἐμπρέπει:  
σφάξαι κελεύουσίν με παρθένον κόρη  
Δήμητρος, ἥτις ἐστὶ πατρὸς εὐγενοῦς,  
τροπαῖά τ' ἐχθρῶν καὶ πόλει σωτήριαν.

Zdziwiona wpatrywała się w słowa.



Zastała Clarissę siedzącą w fotelu przy oknie, z fajką w dłoni, otoczoną chmurą dymu i poprawiającą eseje, które trzymała na kolanach.

– Możemy zamienić słowo? – zapytała Mariana, stając w drzwiach.

– Och, Mariana? Nadal tu jesteś? Wejdz, proszę. – Clarissa zaprosiła ją do środka machnięciem ręki. – Siadaj.

– Nie przeszkadzam?

– Wszystko, co odciąga mnie od oceny licencjackich esejów, jest mile widzianym wytchnieniem. – Clarissa z uśmiechem odłożyła papiery. Posłała Marianie zaciekawione spojrzenie, kiedy ta siadała na kanapie. – Postanowiłaś zostać?

– Tylko na kilka dni. Zoe mnie potrzebuje.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Tak się cieszę. Co mogę dla ciebie zrobić?

Mariana sięgnęła do kieszeni i wyjęła pocztówkę. Podała ją Clarissie.

– Znalazłam to w pokoju Tary. Zastanawiałam się, co o tym pomyślisz.

Starsza kobieta przyglądała się przez moment obrazowi, a potem obróciła kartkę. Z uniesioną brwią przeczytała cytat. Ἐν δὲ πᾶσι γνῶμα ταῦτόν ἐμπρέπει: / σφάξαι κελεύουσίν με παρθένον κόρη / Δήμητρος, ἥτις ἐστὶ πατὴρ εὐγενοῦς, / τροπαῖά τ' ἐχθρῶν καὶ πόλει σωτήριαν.

– Rozpoznajesz, co to jest? – zapytała Mariana.

– To chyba... Eurypides. *Dzieci Heraklesa*, o ile się nie mylę. Znasz to?

Mariana poczuła falę wstydu, ponieważ nigdy nie słyszała o tej tragedii, a tym bardziej jej nie czytała.

– Przypomnisz mi?

– Akcja rozgrywa się w Atenach – powiedziała Clarissa, sięgając po fajkę.

– Król Demofont gotuje się do wojny w obronie miasta przed Mykeńczykami. – Przytrzymała fajkę w kąciku ust, potarła zapalną i zapaliła tytoń raz jeszcze. Mówiła między pociągnięciami. – Demofont zwrócił się do wyroczni po radę... żeby poznać, jakie ma szanse na zwycięstwo... Cytat pochodzi z tej części sztuki.

– Rozumiem.

– Pomogło ci to?

– Niezupełnie.

– Nie? – Clarissa rozpędziła dym dłonią. – Na czym polega trudność?

Mariana się uśmiechnęła. Czasami błyskotliwość Clarissy lekko ją onieśmielała.

– Obawiam się, że moja znajomość starożytnej greki nieco się przykurzyła.

– Ach... No tak, oczywiście. Wybacz. – Clarissa zerknęła na pocztówkę i powiedziała: – Mniej więcej brzmiałoby to tak: „Wyrocznia się zgadza: aby pokonać wroga i uratować miasto... trzeba złożyć w ofierze dziewczę. Dziewczę szlachetnego rodu”...

Mariana zamrugwała zdumiona.

– Szlachetnego rodu? Tak to napisano?

Clarissa przytaknęła.

– Córkę πατρὸς εὐγενοῦς, czyli szlachcica, trzeba złożyć w ofierze κόρη Δήμητρος...

– Δήμητρος?

– Bogini Demeter. A κόρη to oczywiście...

– Jej córka.

– Zgadza się – potwierdziła Clarissa. – Szlachetnie urodzone dziewczę trzeba złożyć w ofierze córce Demeter, czyli Persefonie.

Mariana poczuła, że jej serce przyspieszyło. „To zbieg okoliczności – pomyślała. – To nic nie znaczy”.

Clarissa oddała jej kartkę z uśmiechem.

– Persefona była dość mściwą boginią, co zapewne wiesz.

Mariana bała się odezwać. Tylko pokiwała głową.

Profesorka zerknęła na nią i zapytała:

– Dobrze się czujesz, kochana? Wyglądasz trochę...

– Nic mi nie jest... Tylko... – Przez moment zastanawiała się, jak wyjaśnić Clarissie swoje odczucia. Co miałyby powiedzieć? Że snuła przesądne fantazje, jak to mściwa bogini przyczyniła się do śmierci jej męża? Miałyby wyznać coś takiego na głos? Wyszłaby na wariatkę. Wzruszyła więc ramionami. – ...wydaje mi się to dość dziwne – dokończyła zdanie.

– Ale co? Och, chodzi ci o to, że Tara była szlachetnie urodzona i złożono ją w ofierze, że tak powiem? Rzeczywiście, bardzo nieprzyjemny zbieg okoliczności.

– I nie uważasz, że może za tym stać coś więcej?

– Czyli?

– Nie wiem... Tylko... Dlaczego ta kartka tam była? W jej pokoju? Skąd się wzięła?

Clarissa zbyła to machnięciem ręki z fajką.

– Och, to proste... Tara pisała w tym semestrze pracę poświęconą greckiej tragedii. Jest dość prawdopodobne, że przepisała cytat z jednej ze sztuk, prawda?

– W zasadzie tak.

– Trochę to do niej nie pasuje, muszę przyznać... Profesor Fosca na pewno to poświadczy.

Mariana zamrugła.

– Profesor Fosca?

– Wykłada grecką tragedię.

– Rozumiem. – Mariana starała się mówić swobodnym tonem. – Uczył ją?

– Tak. Jest przecież ekspertem w tej dziedzinie. Genialnym. Powinnaś się wybrać na jego wykład, skoro tu jesteś. Robi wrażenie. Czy wiesz, że jego wykłady cieszą się najwyższą frekwencją? Studenci stoją w kolejce na schodach i siadają na podłodze, jeśli zabraknie miejsc. Słyszałaś kiedyś o czymś takim? – Clarissa się zaśmiała i dodała szybko: – Oczywiście moje wykłady też cieszyły się popularnością. Miałam pod tym względem szczęście. Ale nie w takim stopniu, muszę przyznać... Wiesz, jeśli Fosca cię interesuje, powinnaś porozmawiać z Zoe. Ona zna go najlepiej.

– Zoe? – Marianę to zdziwiło. – Zna go? Dlaczego?

– Fosca jest przecież kierownikiem jej studiów.

– Rozumiem. – Mariana z zadumą pokiwała głową. – Oczywiście.

Mariana wzięła Zoe na lunch. Poszły do pobliskiej, niedawno otwartej francuskiej restauracyjki. Była popularna wśród umierających z głodu studentów, których odwiedziła rodzina.

Prezentowała się znacznie wykwintniej od restauracji, które Mariana pamiętała z czasu swoich studiów. W środku panował ruch, zewsząd dobiegały odgłosy rozmów i śmiechu oraz brzęk sztućców postukujących o talerze. Pachniało kusząco czosnkiem, winem i smażonym mięsem. Elegancki kelner w kamizelce i pod krawatem zaprowadził Marianę i Zoe do boks w rogu, do stołu z białym obrusem, przy którym stały krzesła obite czarną skórą.

Mariana zaczęła od zamówienia połówki butelki różowego szampana, co w jej przypadku zakrawało na ekstrawagancję. Było to tak do niej niepodobne, że Zoe uniosła brew.

– A czemu nie? – rzuciła Mariana ze wzruszeniem ramion. – Możemy się jakoś pocieszyć.

– Ja nie narzekam – odparła Zoe.

Różowe bąbelki, musujące i połyskujące w kieliszkach z grubego kryształu, znacznie poprawiły im nastrój. Nie zaczęły od rozmowy o Tarze i zabójstwie. Przeskakiwały z tematu na temat, nadrabiając zaległości. Rozmawiały o studiach Zoe i o samopoczuciu dziewczyny na początku trzeciego roku, a także o frustrującym ją braku rozeznania, co chce robić w życiu. Potem rozmowa zeszła na temat miłości. Mariana zapytała Zoe, czy się z kimś spotyka.

– Oczywiście, że nie. Tutejsi chłopcy to takie dzieciuchy. Jestem zadowolona z tego, że jestem sama. Nigdy się nie zakocham.

Mariana skwitowała wyznanie siostrzenicy uśmiechem. Brzmiało tak młodzieńczo. Cicha woda. Podejrzewała, że wbrew zapewnieniom Zoe, kiedy dziewczyna się zakocha, jej uczucie będzie mocne i głębokie.

– Zobaczysz – powiedziała. – To się pewnego dnia wydarzy.

– Nie. – Zoe pokręciła głową. – Dziękuję. Z tego, co widzę, miłość przynosi tylko smutek.

Mariana nie powstrzymała śmiechu.

– Dość pesymistyczna perspektywa.

– A nie realistyczna?

– Raczej nie.

– No a ty i Sebastian?

Mariana nie była przygotowana na ten cios, zdecydowanie poniżej pasa, do tego wymierzony tak mimochodem.

– Sebastian dał mi o wiele więcej niż smutek.

Zoe natychmiast zaczęła przeproszać.

– Nie chciałam sprawić ci przykrości...

– Nie sprawiłaś. Nic się nie stało.

To nie była prawda. Fakt, że znajdowały się w tej uroczej restauracyjce i piły szampana, pozwolił im przez chwilę udawać: uciec od morderstwa i wszystkich nieprzyjemności i egzystować w małej bańce tu i teraz. Zoe jednak przebiła tę bańkę i Mariana poczuła, jak znowu zalewa ją smutek, troska i lęk.

Przez jakiś czas jadły w milczeniu.

– Zoe? – odezwała się cicho Mariana. – Jak sobie radzisz...? W związku z Tarą?

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu. Wzruszyła ramionami. Nie podniosła wzroku znad talerza.

– Okej. Nie najlepiej. Nie mogę przestać o tym myśleć. O tym, jak zginęła. Nie mogę przegnać tych myśli z głowy.

Zoe patrzyła na Marianę, ona zaś poczuła ukłucie pełnej frustracji empatii; pragnęła, żeby wszystko było w porządku, chciała zabrać ten ból od Zoe, jak to robiła, kiedy dziewczyna była mała – owinać ranę bandażem i uleczyć ją pocałunkami – ale wiedziała, że nie może. Wyciągnęła rękę nad stołem i ścisnęła jej dłoń.

– Wiem, że w tej chwili trudno w to uwierzyć, ale z czasem będzie łatwiej.

– Tak? – Zoe wzruszyła ramionami. – Od śmierci Sebastiana minął już ponad rok i nie jest ani trochę łatwiej. Wciąż mnie to boli.

– Wiem. – Mariana nie potrafiła nie zgodzić się z Zoe, bo siostrzenica miała rację. Nie było sensu zaprzeczać. – Możemy tylko – dodała – starać się czcić ich pamięć najlepiej, jak potrafimy.

Zoe wytrzymała jej spojrzenie. Skinęła głową.

– Okej.

– A najlepszym sposobem na oddanie czci Tarze... – ciągnęła Mariana.

– Jest schwytać go?

– Tak. Uda się nam.

Zoe wydawała się pocieszona tą myślą. Pokiwała głową.

– Zrobiłaś jakieś postępy?

– Owszem. – Mariana się uśmiechnęła. – Rozmawiałam z pokojówką Tary, Elsie. Powiedziała mi...

– Boże. – Zoe wywróciła oczami. – W takim razie wiesz, że Elsie to socjopatka. I Tara jej *nienawidziła*.

– Doprawdy? Elsie twierdziła, że były sobie dość bliskie... Wspomniała też, że byłaś dla niej niegrzeczna.

– Bo jest psycholką. Ciarki mnie przechodzą na myśl o niej.

Może Mariana nie użyłaby słowa „psycholka”, niemniej nie mogła się do końca nie zgodzić z odczuciami Zoe.

– Mimo to brak uprzejmości nie jest w twoim stylu. – Zawahała się. – Elsie zasugerowała również, że wiesz o tym więcej, niż mi mówisz.

Uważnie przyglądała się siostrzenicy, ale ta zbyła to wzruszeniem ramion.

– Nieważne. A czy wspomniała ci także, że Tara zabroniła jej wchodzić do swojego pokoju? Bo Elsie wpadała tam bez pukania i próbowała ją zdybać, kiedy wychodziła spod prysznic. To był w zasadzie stalking.

– Rozumiem. – Mariana zadumała się na chwilę, po czym sięgnęła do kieszeni. – A co myślisz o tym? – Wyciągnęła pocztówkę znaną w pokoju Tary. Przetłumaczyła cytat i zapytała Zoe o zdanie. – Wydaje ci się możliwe, że Tara to przepisała?

Zoe pokręciła głową.

– Wątpię.

– Dlaczego?

– Tarę guzik obchodziła grecka tragedia, jeśli mam być szczerą.

Mariana nie umiała powstrzymać uśmiechu.

– Masz pomysł, kto mógł jej to przysłać?

– Raczej nie. To takie dziwne. Cytat jest straszny.

– A profesor Fosca?

– Co profesor Fosca?

– Mógł to zrobić?

Zoe znowu wzruszyła ramionami. Nie wydawała się przekonana.

– Może... Tylko po co wysyłać wiadomość napisaną starożytną greką? I to taką?

– Rzeczywiście. – Mariana skinęła głową. Przyjrzała się Zoe. – Opowiedz mi o nim. O profesorze.

– Ale co?

– No, jaki jest.

Zoe lekko ściągnęła brwi.

– Przecież wiesz, Mariano. Opowiadałam ci o nim, kiedy zaczął mnie uczyć. Tobie i Sebastianowi.

– Naprawdę? – Mariana zaczęła sobie przypominać. – A, tak... Profesor Amerykanin. Teraz pamiętam.

– Tak?

– Owszem. Z jakiegoś powodu utkwiło mi to w pamięci. Sebastian się zastanawiał, czy się w nim nie zakochałaś.

Zoe się skrzywiła.

– Mylił się. Nie zakochałam się.

Żarliwość i zaciętość, z jakimi Zoe zaprzeczyła, kazała się Marianie zastanowić, czy rzeczywiście tak było. A jeśli tak, to co? Studentka podkochująca się w profesorze to nic niezwykłego – zwłaszcza jeśli profesor jest tak charyzmatyczny i przystojny jak Edward Fosca.

Tyle że mogła się mylić... Mogła wyczuć coś zupełnie innego.

Postanowiła odpuścić. Na razie.

Po lunchu wracały do college'u dróżką nad rzeką.

Zoe kupiła lody czekoladowe i zajęła się nimi. Przez dłuższą chwilę szły w milczeniu.

Mariana przez cały czas miała w świadomości inny obraz, który nakładał się na ten – wspomnienie Zoe jako małej dziewczynki, która szła tą samą ścieżką ze spękanych kamieni i jadła lody. To podczas tamtej wizyty, gdy Mariana jeszcze studiowała, Zoe poznała Sebastiana. Mariana pamiętała jej nieśmiałość i to, jak Sebastian przełamał ją za pomocą magicznej sztuczki – wyjął zza ucha Zoe jednofuntową monetę. Ten trik zachwycał jej siostrzenicę jeszcze przez wiele lat.

Sebastian rzecz jasna szedł z nimi i teraz – kolejne widmo nakładające się na terażniejszość.

„Zabawne, jakie rzeczy się zapamiętuje”. Mariana zerknęła na starą, zniszczoną ławkę, którą właśnie mijały. Siedzieli na niej – ona i Sebastian – po egzaminach końcowych Mariany i świętowali prosecco zmieszonym z crème de cassis, pałac niebieskie gauloises'y zwędzone przez Sebastiana z imprezy wieczór wcześniej. Przypomniało się jej, jak się z nim całowała i jaki słodki wydawał się ten pocałunek, bo Sebastian miał na ustach posmak likieru i tytoniu.

Zoe zerknęła na nią.

– Zrobiłaś się bardzo milcząca. Dobrze się czujesz?

Mariana skinęła głową.

– Możemy usiąść na chwilę? Ale nie na tej ławce – dodała szybko. Wskazała inną, trochę dalszą. – Na tamtej.

Podeszły do niej i usiadły. Miejsce było zaciszne, w cętkowanym cieniu wierzby, tuż nad rzeką. Gałązki drzewa tańczyły na wietrze, a ich końcówki muskały wodę. Mariana patrzyła na łódź znoszoną prądem pod most.

Minął je łabędź. Odprowadziła go wzrokiem. Ptak miał pomarańczowy dziób i czarne plamki wokół oczu. Wyglądał marnie. Lśniące niegdyś pióra na szyi były brudne i przebarwione, zielonkawe od wody w rzece. Mimo to był imponującym zwierzęciem – umęczonym, ale spokojnym i bardzo władcym. Obrócił głowę i spojrział w stronę Mariany.

Wyobraziła to sobie czy rzeczywiście patrzył na nią?



Łabędź przez moment nie spuszczał z niej wzroku. Wydawało się, że jego czarne oczy mierzą ją z chłodną inteligencją. Oględziny skończyły się nagle. Ptak odwrócił głowę i Mariana została odprawiona. Zapomniana. Patrzyła za stworzeniem niknącym za mostem.

– Powiedz mi – odezwiała się, spoglądając na Zoe. – Nie lubisz go, prawda?

– Profesora Foski? Nigdy tego nie powiedziałam.

– Takie odniosłam wrażenie. To jak jest?

Zoe wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem... Profesor mnie... oszalał, jak sędzę.

Marianę to zaskoczyło. Nie była pewna, co to znaczy.

– Nie lubisz czuć się oszołomiona?

– Oczywiście, że nie. Lubię widzieć, dokąd zmierzam. I jest w nim coś takiego... nie wiem, jak to opisać... jakby grał, nie był tym, kogo udaje. Jakby nie chciał pokazać, jaki jest naprawdę. Ale może się mylę... Wszyscy poza mną uważają, że jest wspaniały.

– Tak. Clarissa mówiła, że cieszy się wielką popularnością.

– Nawet sobie nie wyobrażasz. To jest jak kult. Zwłaszcza wśród dziewczyn.

Marianie przypomniały się nagle ubrane na biało dziewczyny stłoczone wokół Foski podczas mszy za Tare.

– Mówisz o przyjaciółkach Tary? Tej grupie? Nie przyjaźnią się także z tobą?

Zoe zdecydowanie pokręciła głową.

– Coś ty! Unikam ich jak ognia.

– Rozumiem. Nie wydają się lubiane.

Zoe popatrzyła na nią znacząco.

– Zależy, kogo zapytasz.

– W sensie?

– To ulubienice profesora Foski. Jego fanklub.

– Jak to „fanklub”?

Zoe wzruszyła ramionami.

– Należą do jego prywatnej grupy studentek. Tajnego stowarzyszenia.

– Dlaczego tajnego?

– Bo jest tylko dla nich, jego wyjątkowych uczennic. – Zoe wywróciła oczami. – Nazywa je Boginiami. Słyszałaś kiedyś coś głupszego?

– Boginiami? – Mariana ściągnęła brwi. – To są same studentki?

- Mhm.
- Rozumiem.

I Mariana rzeczywiście rozumiała – albo przynajmniej zaczynała rozumieć, do czego to wszystko może prowadzić i dlaczego Zoe niechętnie o tym mówi.

- Tara należała do Bogiń?
- Zgadza się – przytaknęła Zoe.
- Rozumiem. A reszta? Mogę się z nimi spotkać?

Zoe się skrzywiła.

- A chcesz? Nie są zbyt przyjacielskie.

- Gdzie je znajdę?

- Teraz? – Zoe popatrzyła na zegarek. – Fosca za pół godziny ma wykład.

Wszystkie tam będą.

Mariana kiwnęła głową.

- My również.

Mariana i Zoe dotarły na wydział anglistyki na krótko przed rozpoczęciem wykładu.

Popatrzyły na tablicę przed budynkiem z salami wykładowymi i sprawdziły plan dnia. Popołudniowy wykład profesora Foski odbywał się w największej auli na piętrze. Poszły tam.

Aula była przestronna i dobrze oświetlona. Rzędy ław z ciemnego drewna schodziły ku scenie na dole, gdzie znajdowało się podium z mikrofonem.

Clarissa miała rację, mówiąc o popularności wykładów Foski – aula pękała w szwach. Mariana i Zoe wypatrzyły jeszcze parę wolnych miejsc wysoko, w głębi pomieszczenia. Wśród zebranych wyczuwało się atmosferę oczekiwania kojarzącą się raczej z koncertem lub przedstawieniem, a nie wykładem poświęconym greckiej tragedii.

Do sali wszedł profesor Fosca. Miał na sobie elegancki czarny garnitur, włosy zaczesał do tyłu i spiął w ciasny kok. Z teczką z notatkami w ręce podszedł do podium. Poprawił mikrofon, rozejrzał się po auli i uklonił się.

Przez zebranych przeszła fala ekscytacji. Rozmowy ścichły. Mariana nie potrafiła wyzbyć się sceptycyzmu – znajomość teorii dotyczących grup podpowiadała jej, że należy traktować podejrzliwie wszelkie grupy zakochane w nauczycielu; takie sytuacje rzadko kończą się dobrze. Odbierała Foscę raczej jak zamyślonego gwiazdora popu, a nie wykładowcę i nie zdziwiłaby się, gdyby zaśpiewał. On jednak, gdy podniósł wzrok, nie zaczął śpiewać. Ku swojemu zdumieniu Mariana ujrzała w jego oczach łzy.

– Chciałbym porozmawiać o Tarze – powiedział Fosca.

Mariana usłyszała szepty, zobaczyła obracające się głowy, wymianę spojrzeń; studenci właśnie na to mieli nadzieję. Zauważyła nawet, że kilka osób zaczęło płakać.

Łzy popłynęły z oczu Foski na policzki, a on ich nie otarł. Jego głos pozostawał spokojny i równy. Miał tak dobrą emisję głosu, że nie potrzebował mikrofonu.

Co powiedziała Zoe? Że on zawsze gra? Nawet jeśli, to jego występ był tak dobry, że Mariana – podobnie jak reszta słuchaczy – nie umiała obronić się przed wzruszeniem.

– Jak wielu z was wie – mówił Fosca – Tara była jedną z moich studentek. I oto stoję tu ze złamanym sercem. Prawie powiedziałem „w rozpacz”. Chciałem odwołać dzisiejszy wykład. Tym, co w Tarze lubiłem najbardziej, była jej siła, nieustraszonosc. Nie chciałaby, żebyśmy ulegli rozpacz, dali się pokonać nienawiści. Musimy działać dalej. To jest nasza jedyna broń przeciwko złu... i najlepszy sposób na oddanie czci przyjaciółce. Jestem tu dzisiaj dla Tary. I wy również.

Publiczność nagrodziła go burzą oklasków i wiewatami. W odpowiedzi skłonił głowę. Podniósł notatki i znowu powiódł wkoło wzrokiem.

– A teraz, panie i panowie, do roboty.

Profesor Fosca imponował jako mówca. Rzadko zaglądał do notatek i sprawiał wrażenie, jakby przez cały wykład improwizował. Był ożywiony, zaangażowany, dowcipny, pełen pasji, a co najważniejsze – obecny. Można by zaryzykować stwierdzenie, że komunikował się z każdym ze słuchaczy.

– Pomyślałem, że dzisiaj warto by pomówić między innymi o granicy w greckiej tragedii. Co to znaczy? Pomyślmy o Antygonie, która musiała wybierać między śmiercią i dyshonorem, o Ifigenii szyczącej się do śmierci za Grecję albo o Edypie, który postanowił się oślepić i wyruszyć w góry. Granica leży między dwoma światami, na samym skraju tego, co to znaczy być człowiekiem, gdzie zostajemy odarci ze wszystkiego, gdzie opuszczamy to życie i doświadczamy tego, co leży poza nim. I kiedy tragedie są dobre, pozwalają nam poczuć, jak to jest.

Fosca wyświetlił slajd na dużym ekranie znajdującym się za jego plecami. Zdjęcie ukazywało marmurowy posąg dwóch kobiet stojących u boków nagiego mężczyzny i wyciągających w jego stronę prawe ręce.

– Czy ktoś rozpoznaje te dwie panie?

Morze potakujących głów. Mariana domyślała się, kto to może być, i miała ogromną nadzieję, że się myli.

– Te dwie boginie szyczą się do wprowadzenia młodego mężczyzny do tajnego kultu eleuzyjskiego. Widzimy tu naturalnie Demeter i jej córkę Persefonę.

Mariana wstrzymała oddech. Starła się z całych sił skupić. Nie dekoncentrować.

– To jest kult eleuzyjski – ciągnął Fosca. – Tajny rytuał to właśnie przeżycie graniczne ze styku świata życia i śmierci, transcendencja śmierci. Czym był ten kult? Misteria eleuzyjskie mają związek z historią Persefony, dziewczęcia, jak ją zwano, bogini śmierci, królowej zaświatów...

Mówiąc to, Fosca przez sekundę patrzył Marianie w oczy. Uśmiechnął się delikatnie.

„Wie – pomyślała. – Wie, co spotkało Sebastiana, i dlatego to robi. Żeby mnie torturować”.

Ale jak? Skąd mógłby wiedzieć? To niemożliwe. Nie powiedziała nikomu, nawet Zoe. To tylko zbieg okoliczności – po prostu przypadek pozbawiony znaczenia. Postanowiła się uspokoić i skupić na jego słowach.

– Straciwszy córkę na polach eleuzyjskich, Demeter spowiła świat zimowym mrokiem i trwało to, dopóki nie zainterweniował Zeus. Pozwolił on Persefonie wracać ze świata zmarłych co roku na sześć miesięcy, czyli na wiosnę i lato. Pozostałe sześć miesięcy, jesień i zimą, spędza ona w świecie zmarłych. Światło i mrok, życie i śmierć. Podróż Persefony od życia do śmierci i z powrotem dała początek kultowi eleuzyjskiemu. W Eleusis, w przejściu do zaświatów, każdy mógł uczestniczyć w tym tajnym rytuale, by doświadczyć tego samego, co przeżyła bogini.

Fosca ściszył głos, a Mariana zobaczyła głowy pochylające się do przodu, szyje wyginające się, by usłyszeć każde słowo. Wykładowca trzymał wszystkich w garści.

– Dokładna natura misterii eleuzyjskich pozostała tajemnicą przez tysiące lat. O rytuałach i misteriach się nie mówiło, stanowiły bowiem próbę wprowadzenia nas w coś niedającego się wyrazić słowami. Ludzie, którzy je przeżyli, zmieniali się na zawsze. Krążyły opowieści o wizjach, nawiedzeniach przez duchy i podróżach w zaświaty. Rytuały były dostępne dla każdego – dla mężczyzn i kobiet, niewolników i dzieci; nawet nie trzeba było być Grekiem. Jedynym wymogiem było to, by znać grekę, aby rozumieć słowa. W ramach przygotowań trzeba było wypić *kykeon*, napój przygotowywany z jęczmienia. Na tym konkretnym jęczmieniu żyły czarne grzyby zwane sporyszem, który ma działanie halucynogenne. Tysiące lat później zaczęto wytwarzać z niego LSD. Nie wiadomo, czy Grecy zdawali sobie z tego sprawę, ale fundowali sobie lekki odlot. Co może odpowiadać za niektóre wizje. – Powiedziawszy to, Fosca puścił oko, co przyjęto ze śmiechem. Poczekał, aż śmiech ucichnie, i kontynuował poważniejszym tonem: – Wyobraźcie to sobie na sekundę. Wyobraźcie sobie tę ekscytację i niepokój. Ci wszyscy ludzie spotykali się o północy przy Wyroczni, a kapłani wprowadzali ich do jaskini. Jedynym źródłem światła były pochodnie niesione przez kapłanów. Jakże tam musiało być ciemno i duszno od dymu. Zimny, wilgotny kamienny korytarz prowadził coraz

głębiej, aż do ogromnej komnaty, przestrzeni granicznej u wejścia w zaświaty. Misteria odbywały się w Telesterionie, ogromnej sali wspartej na czterdziestu dwóch masywnych kolumnach tworzących las z kamienia. Pomieszczenie mogło pomieścić tysiące osób. Znajdował się tam też ołtarz zwany Anaktoronem, do którego dostęp mieli wyłącznie kapłani. To tam przechowywano relikwie Persefony. – Czarne oczy Foski błyszcząły. On to wszystko widział i ubierał w słowa, jakby rzucał zaklęcie. – Nigdy się nie dowiemy, co się tam działo. Misteria eleuzyjskie pozostają tajemnicą, ale o świcie wtajemniczeni wychodzili na światło dnia, mając za sobą doświadczenie śmierci i ponownych narodzin; wyłaniali się stamtąd z nowym rozumieniem tego, co to znaczy być człowiekiem i żyć. – Zamilkł i przyglądał się słuchaczom. Po chwili podjął innym tonem, cicho, z pasją, z uczuciem: – Coś wam powiem. Właśnie o tym są te greckie sztuki. O tym, co to znaczy być człowiekiem. Co to znaczy żyć. I jeżeli tego nie dostrzegacie, czytając je, jeżeli widzicie w nich tylko zbiór martwych słów, to wszystko tracicie. Tracicie nie tylko w kontekście lektury dramatów, ale i w życiu, tu i teraz. Jeżeli nie uzmysławiacie sobie transcendencji, jeżeli nie jesteście świadomi cudownej tajemnicy życia i śmierci, w której macie szczęście uczestniczyć, jeżeli nie napawa to was radością i zachwytem... to równie dobrze możecie nie żyć. Tak brzmi przesłanie tragedii. Uczestniczcie w cudzie. Dla siebie, dla Tary. Żyćcie nim.

Zapadła cisza, w której dałoby się usłyszeć odgłos szpilki upadającej na podłogę. A potem rozległ się nagły, głośny spontaniczny aplauz.

I trwał jakiś czas.

Stały w kolejce na schodach, by wyjść z budynku.

– No i? – zagaiła Zoe, zerkając na Marianę z zainteresowaniem. – Co ty na to?

Mariana się zaśmiała.

– Wiesz, „oszołomienie” to dobre słowo.

Zoe się uśmiechnęła.

– Mówiłam.

Wyszły na światło słoneczne. Mariana przyglądała się tłumowi studentów.

– Są tutaj? Boginie?

Zoe skinęła głową.

– Tam.

Wskazała sześć młodych kobiet pogrążonych w rozmowie przy ławce. Cztery stały, dwie siedziały; kilka z nich paliło. W przeciwieństwie do pozostałych studentów na wydziale te dziewczyny nie były ani niechlujne, ani ekscentrycznie ubrane. Stroje miały eleganckie i raczej drogie. Dbały o siebie, były umalowane i wypielęgnowane, miały pomalowane paznokcie. Najbardziej zaś wyróżniały się postawą: emanowały oczywistą pewnością siebie, a nawet poczuciem wyższości.

Mariana przyglądała się im przez chwilę.

– Masz rację, nie wyglądają przyjacielsko.

– Bo nie są przyjacielskie. To snobki. Wydaje im się, że są takie ważne. Pewnie tak, ale...

– Dlaczego tak mówisz? Dlaczego są ważne?

Zoe wzruszyła ramionami.

– Cóż... – Wskazała na wysoką blondynkę, która przycupnęła na podłokietniku ławki. – To jest na przykład Carla Clarke. Jej tata to Cassian Clarke.

– Kto?

– Och, Mariano. Jest aktorem. Bardzo sławnym.

Mariana się uśmiechnęła.

– Rozumiem. Okej. A reszta?

Zoe wskazywała dyskretnie pozostałe studentki z grupy.

– Ta z lewej, ta śliczna z krótkimi ciemnymi włosami, to Natasza. Rosjanka. Jej tata jest jakimś oligarchą... Połowa Rosji do niego należy. Diya to indyjska księżniczka. W ubiegłym roku miała najlepsze wyniki na uniwersytecie. Jest w zasadzie genialna. Rozmawia z Veronicą, której ojcem jest senator. Chyba startował na prezydenta. – Łypnęła na Marianę. – Już rozumiesz...?

– Tak. Chcesz powiedzieć, że są inteligentne i dobrze sytuowane.

Zoe przytaknęła.

– Wystarczy posłuchać, jak spędzają wakacje, żeby się człowiekowi zrobiło niedobrze. Zawsze opowiadają o jachtach, prywatnych wyspach, domkach w górach...

Mariana się uśmiechnęła.

– Wyobrażam sobie.

– Nic dziwnego, że wszyscy ich nienawidzą.

Mariana spojrzała na siostrzenicę.

– Wszyscy ich nienawidzą?

Zoe wzruszyła ramionami.

– Wszyscy im zazdroszczą.

Mariana się zamyśliła.

– No dobra. Spróbujmy.

– O czym ty mówisz?

– Porozmawiajmy z nimi. O Tarze i Fosce.

– Teraz? – Zoe pokręciła głową. – Nie ma mowy. To się nie uda.

– A czemu?

– Nie znają cię, więc zamkną się w sobie. Albo cię zaatakują, zwłaszcza jeśli wspomnisz o profesorze. Zaufaj mi i daj spokój.

– Mówisz, jakbyś się ich bała.

– Bo się boję. Panicznie.

Zanim Mariana zdążyła odpowiedzieć, zauważyła profesora Foscę wychodzącego z budynku. Podszedł do dziewcząt, które otoczyły go wianuszkami i zaczęły szeptać.

– Chodźmy – rzuciła Mariana.

– Słucham? Nie, Mariano, nie...

Mariana zignorowała Zoe i pomaszerowała w stronę Foski i studentek.

Profesor spojrzał na nią. Uśmiechnął się.

– Dobry wieczór, Mariano – odezwał się. – Tak mi się zdawało, że widziałem panią wśród słuchaczy.



- Zgadza się.
- Mam nadzieję, że wykład się podobał.
- Był bardzo... – szukała właściwych słów – pouczający. Imponujący.
- Dziękuję.

Mariana popatrzyła na młode kobiety stojące przy profesorze.

- To pańskie studentki?

Fosca zerknął na nie z lekkim uśmiechem.

- Niektóre. Należą do bardziej interesujących.

Mariana uśmiechnęła się do nich. Odpowiedziały jej lodowatymi spojrzeniami tworzącymi mur.

– Mam na imię Mariana – przedstawiła się. – Jestem ciotką Zoe. – Rozejrzała się, ale Zoe zniknęła bez śladu. Mariana odwróciła się z powrotem do dziewcząt, nadal się uśmiechając. – Trudno było nie zwrócić na was uwagi podczas mszy za Tarę. Wyróżniałyście się w tych białych strojach. Ciekawi mnie ten wybór.

Dziewczyny lekko się wahały. Jedna z nich łypnęła na Foscę i powiedziała:

– To był mój pomysł. W Indiach zawsze się ubieramy na biało na pogrzeb. Biel była ulubionym kolorem Tary, więc... – Wzruszyła ramionami.

– Ubrałyśmy się na biało, żeby oddać jej cześć – dokończyła inna studentka.

– Nienawidziła czerni – dodała kolejna.

– Rozumiem – powiedziała Mariana, kiwając głową. – To ciekawe.

Znowu się uśmiechnęła, ale one nie odwzajemniły uśmiechu. Zapadło milczenie. Mariana popatrzyła na Foscę.

– Profesorze, chcę pana prosić o przysługę.

– Śmiało.

– Dziekan poprosił mnie, abym jako psychoterapeutka porozmawiała nieformalnie ze studentami i zorientowała się, jak sobie radzą z wydarzeniami. – Skierowała wzrok na dziewczyny. – Czy mogę wypożyczyć kilka pańskich studentek?

Powiedziała to najbardziej niewinnym tonem, na jaki umiała się zdobyć, ale teraz, gdy patrzyła na studentki, czuła na sobie skupione jak laserowa wiązka spojrzenie Foski – wpatrywał się w nią, próbował ocenić. Wyobraziła sobie, jak się zastanawia, czy ona mówi szczerze, czy też stara się podstępnie go sprawdzić. Zerknął na zegarek.

– Niebawem zaczynamy zajęcia – odparł. – Ale ośmielę się stwierdzić, że ze dwie mogę poświęcić. Veronica? Serena? Co wy na to?

Młode kobiety popatrzyły na Marianę. Nie sposób było odgadnąć ich uczuć.

– Jasne – rzuciła Veronica ze wzruszeniem ramion. Mówiła z amerykańskim akcentem. – Mam już terapeutę... Ale się napiję, jeśli ona stawia.

– Ja też – dodała Serena.

– W porządku. Zatem idziemy się czegoś napić. – Mariana posłała Fosce uśmiech. – Dziękuję.

Profesor nie odrywał spojrzenia ciemnych oczu od jej twarzy. Odwzajemnił uśmiech.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że dostanie pani to, czego potrzebuje.

Wychodząc z wydziału anglistyki, Mariana znalazła siostrzenicę przy wejściu. Zaproponowała jej, by się do nich przyłączyła, ale Zoe z rezerwą przyjęła propozycję drinka. Ruszyły w stronę baru znajdującego się w rogu głównego dziedzińca.

Lokal urządzono w całości w drewnie – stare, wypaczone, sękaty deski na podłodze, dębowa boazeria na ścianach i duży drewniany bar. Mariana wraz z trzema młodymi kobietami usiadła przy dużym dębowym stole pod oknem z widokiem na porośniętą bluszczem ścianę. Obok siebie miała Zoe, Veronicę i Serenę naprzeciwko.

Rozpoznała w Veronice młodą kobietę, która z przejęciem czytała fragment Biblii podczas mszy za Tarę. Veronica Drake pochodziła z zamożnej amerykańskiej rodziny polityka; jej ojciec był senatorem w Waszyngtonie. Prezentowała się wspaniale i wiedziała o tym. Miała długie blond włosy, którymi zarzucała i bawiła się podczas rozmowy. Mocny makijaż podkreślał usta i duże niebieskie oczy, a obcisłe dzinsy – świetną sylwetkę. Veronica emanowała pewnością siebie i nieświadomym autorytetem kogoś, kto od urodzenia zna każdą swoją zaletę.

Zamówiła guinnessa i szybko opróżniła kufel. Dużo mówiła. W jej sposobie mówienia było coś nienaturalnego. Mariana zastanawiała się, czy dziewczyna bierze lekcje dykcji. Gdy Veronica wyjawiała, że po studiach chce zostać aktorką, Mariana się nie zdziwiła. Według niej za makijażem, postawą i krasomówstwem kryła się zupełnie inna osoba, ale nie miała pojęcia jaka i podejrzewała, że Veronica też tego nie wie.

Panna Drake za tydzień miała skończyć dwadzieścia lat. Próbowiła zorganizować imprezę pomimo ponurych okoliczności.

– Życie musi się toczyć dalej, prawda? Tara by tego chciała. Poza tym wynajmuję prywatną salę w Groucho Clubie w Londynie. Zoe, musisz przyjechać – dodała bez większego przekonania.

Zoe chrząknęła i skupiła się na drinku.

Mariana zerknęła na drugą dziewczynę – Serenę Lewis, która w milczeniu sączyła białe wino. Była szczuplej, drobnej budowy, a sposób, w jaki siedziała, skojarzył się Marianie z przycupniętym ptaszkiem; obserwowała wszystko, ale się nie odzywała. W przeciwieństwie do

Veroniki była nieumalowana. Jej jasna nieskazitelna cera nie potrzebowała makijażu. Długie ciemne włosy splotła w ciasny warkocz. Miała na sobie jasnoróżową bluzkę i spódnicę poniżej kolan. Pochodziła z Singapuru, ale wychowała się w angielskich szkołach z internatem. Mówiła cichym głosem z wyraźnym akcentem brytyjskiej klasy wyższej. I cechowała ją rezerwa równie wielka jak otwartość Veroniki. Co rusz spoglądała na telefon; przyciągał ją jak magnes.

– Opowiedzcie mi o profesorze Fosce – odezwała się Mariana.

– Ale co?

– Słyszałam, że on i Tara byli dość zżyci.

– Nie wiem, gdzie to pani słyszała. Nie byli ani trochę zżyci. Prawda? – Veronica zwróciła się do Sereny.

Serena oderwała się od pisania wiadomości. Pokręciła głową.

– Ależ skąd. Profesor był dla Tary miły, ale ona go tylko wykorzystwała.

– Wykorzystała? – upewniła się Mariana. – Ale w jaki sposób?

– Serenie nie o to chodziło – wtrąciła Veronica. – Miała na myśli to, że Tara marnowała jego czas i energię. Profesor Fosca każe nam dużo pracować. To najlepszy nauczyciel, jakiego można znaleźć.

Serena skinęła głową.

– Najwspanialszy na świecie. Genialny. I...

– Rozmyślałam sporo o wieczorze, w którym doszło do zabójstwa – przerwała te pochwały Mariana.

Veronica wzruszyła ramionami.

– Spędziłyśmy z profesorem cały wieczór. Udzielał nam prywatnej lekcji. Tara też miała tam być, ale się nie pojawiła.

– A która to była godzina?

Veronica zerknęła na Serenę.

– Spotkanie zaczęło się o dwudziestej, prawda? I ile czasu trwało? Do dwudziestej drugiej?

– Tak myślę. Skończyłyśmy o dwudziestej drugiej, może chwilę po.

– Profesor Fosca był z wami przez cały czas?

Dziewczęta odpowiedziały równocześnie.

– Tak – rzuciła Veronica.

– Nie – rzekła Serena.

W oczach Veroniki błysnęła irytacja. Posłała koleżance oskarżycielskie spojrzenie.

– O czym ty mówisz?

Serena się zarumieniła.

– O niczym. Wyszedł za ledwie na kilka minut. Żeby wypalić na dworze papierosa.

Veronica się wycofała.

– A tak, rzeczywiście. Zapomniałam. Nie było go chwilkę.

Serena przytaknęła.

– Nie pali w pomieszczeniu przy mnie, bo mam astmę. Jest bardzo troskliwy.

Jej telefon zabrzączał – dostała esemesa. Rzuciła się na aparat. Twarz jej pojaśniała, kiedy przeczytała wiadomość.

– Lecę – oznajmiła. – Muszę się z kimś zobaczyć.

– Co? – Veronica wywróciła oczami. – Z tym tajemniczym facetem?

Serena popatrzyła na nią gniewnie.

– Przestań.

Veronica się zaśmiała i zaintonowała śpiewnym głosem:

– Serena ma tajemniczego chłopaka.

– Nie jest moim chłopakiem.

– Ale jest tajemniczy. Ona nie chce nam powiedzieć, kto to. Nawet mnie.

– Puściła porozumiewawczo oko. – Tak się zastanawiam... że może jest żonaty?

– Nie jest żonaty – bąknęła Serena, czerwieniąc się. – I jest nikim. To tylko kolega. Muszę lecieć.

– Ja również – oznajmiła Veronica. – Mam próbę. – Uśmiechnęła się słodko do Zoe. – Jaka szkoda, że nie dostałaś roli w *Tragedii księżnej d'Amalfi*. To będzie świetna inscenizacja. Nicos, reżyser, jest genialny. Któregoś dnia zyska prawdziwą sławę. – Popatrzyła triumfalnie na Marianę. – Gram księżną.

– To oczywiste. Dziękuję za rozmowę, Veronica.

– Nie ma za co.

Veronica spojrzała chytrze na Marianę. A potem wyszła razem z Sereną.

– Fuj... – Zoe odsunęła pusty kieliszek i westchnęła przeciągle. – Mówiłam ci. Są toksyczne.

Mariana nie zaprzeczyła. Też się jej nie podobały. Co ważniejsze, wyczulona przez lata pracy z pacjentami, odniosła wrażenie, że Veronica i Serena ją okłamywały.

Tylko w jakiej kwestii? I dlaczego?

Przez lata trwogą napawała mnie myśl o otwarciu szafki, w której to się znajduje.

Dzisiaj jednak stanąłem na krześle, wyciągnąłem się i wyjąłem mały wiklinowy kuferek – kolekcję rzeczy, o których chciałem zapomnieć.

Usiadłem przy lampie i otworzyłem go. Przejrzałem jego zawartość: smutne listy miłosne napisane do kilku dziewcząt, ale nigdy niewysłane, kilka dziecinnych historyjek o życiu na farmie, jakieś kiepskie, zapomniane wiersze.

Ostatnią rzeczą w tej puszcze Pandory było coś, co zapamiętałem aż nazbyt dobrze. Dziennik oprawiony w brązową skórę, który prowadziłem tamtego lata, gdy miałem dwanaście lat – owego lata, w którym straciłem matkę.

Otworzyłem dziennik i przekartkowałem go – długie wpisy sporządzone niedojrzałym dziecięcym charakterem. Wydawały się takie trywialne. Lecz gdyby nie treść tych stron, moje życie potoczyłoby się inaczej.

Chwilami trudno było rozszyfrować to pismo. Gorączkowe bazgroły, zwłaszcza pod koniec, jakby nagryzmołone pospiesznie, w przypiływie obłądu – albo zdrowych zmysłów. I kiedy tak siedziałem, poczułem, jakby mgła się podnosiła.

Pojawiła się przede mną ścieżka prowadząca do tamtego lata. Do mojej młodości.

To znajoma podróż. Często wyruszam w nią w snach: skręcam w wijącą się gruntową drogę prowadzącą do domu na wsi.

Nie chcę wracać.

Nie chcę pamiętać...

A jednak muszę. Bo to coś więcej niż wyznanie. To jest poszukiwanie tego, co utraciłem, zniweczonych nadziei i zapomnianych pytań. Poszukiwanie wyjaśnienia potwornych sekretów zanotowanych w dziecięcym dzienniku, które teraz oglądam jak jasnowidz wpatrzony w kryształową kulę.

Tyle że nie wypatruję przyszłości.

Interesuje mnie przeszłość.

O dziewiątej wieczorem Mariana poszła na spotkanie z Fredem w Eagle.

Eagle to najstarszy pub w Cambridge, cieszący się dziś taką samą popularnością jak w siedemnastym wieku. Składa się z szeregu małych przechodnich sal wyłożonych drewnem. Oświetlają go świece, pachnie w nim pieczoną jagnięciną, rozmarynem i piwem.

Główna sala to tak zwany bar RAF-u. Kilka kolumn podtrzymuje tu nierówny sufit pokryty graffiti z czasów drugiej wojny światowej. Czeka ją przy barze Mariana czytała wiadomości od nieżyjących już mężczyzn. Brytyjscy i amerykańscy lotnicy długopisami, świecami i zapalniczkami zapisywali na suficie swoje nazwiska i numery dywizjonów, bazgrali też rysunki – na przykład komiksowe nagie dziewczyny rysowane szminką.

Marianą zainteresował się barman o dziecięcej twarzy ubrany w koszulę w zielono-czarną kratkę. Uśmiechnął się do niej, wyciągając ze zmywarki kosz z parującymi kieliszkami.

- Co mogę podać?
- Poproszę kieliszek sauvignon blanc.
- Już się robi.

Nalał Marianie białego wina, a ona, zapłaciwszy, rozejrzała się za jakimś miejscem. Wszędzie siedziały młode pary trzymające się za ręce i zatopione w romantycznych rozmowach. Nie chciała spoglądać w stronę narożnego stolika, przy którym siadywała z Sebastianem.

Sprawdziła godzinę. Dziesięć po dziewiątej.

Fred się spóźniał. Może w ogóle się nie pojawi. Na tę myśl poczuła nadzieję. Poczeka z dziesięć minut i sobie pójdzie.

Poddała się i zerknęła w kierunku narożnego stolika. Stał pusty. Podeszła do niego i usiadła. Zaczęła gładzić palcami pęknięcia w drewnianym blacie, jak niegdyś. I kiedy tak siedziała z zamkniętymi oczami, sącąc chłodne wino i wsłuchując się w ponadczasowe odgłosy rozmów i śmiechy, potrafiła wyobrazić sobie, że cofa się w czasie i (pod warunkiem że nie otwierała oczu) mogła się tu znaleźć jako dziewiętnastolatka, i czekać na Sebastiana, by pojawił się w białej koszulce i wyblakłych dżinsach z rozdarciami na kolanie.

- Cześć – usłyszała.



Głos się nie zgadzał – nie należał do Sebastiana – i Mariana przez ułamek sekundy, zanim otworzyła oczy, czuła się zdezorientowana. Czar prysł.

To był Fred. Trzymał w dłoni kufel guinnessa i się uśmiechał. Oczy mu błyszczały i chyba był zarumieniony.

– Przepraszam za spóźnienie. Moja konsultacja się przedłużyła, więc gnałem najszybciej, jak umiałem. I zderzyłem się z latarnią.

– Nic ci się nie stało?

– Nic. Za to latarnia nieźle ucierpiała. Mogę?

Mariana skinęła głową i chłopak usiadł – na krześle Sebastiana. Przez chwilę Mariana zastanawiała się, czy nie poprosić, żeby się przesiedli. Powstrzymała się jednak. Jak to ujęła Clarissa? Powinna przestać patrzeć za siebie. Musi się skupić na teraźniejszości.

Fred znów się uśmiechnął. Wyciągnął z kieszeni paczuszkę orzeszków. Podsunął ją Marianie, ale ona pokręciła głową. Wrzucił kilka nerkowców do ust i gryzł je, nie spuszczać wzroku z Mariany. Zapadła niezręczna cisza. Mariana czekała, aż on coś powie. Zirytowała się na siebie. Co ona tu robi z tym poważnym młodym człowiekiem? Co za głupi pomysł. Postanowiła zdobyć się na nietypową dla siebie bezpośredniość.

– Posłuchaj – powiedziała. – Między nami do niczego nie dojdzie. Rozumiesz? Nigdy.

Fred zakrztusił się nerkowcem i zaczął kasłać. Wypił trochę piwa i w końcu zdołał złapać oddech.

– Przepraszam – rzucił. Wyglądał na zażenowanego. – Nie... Nie spodziewałem się tego. Zrozumiałem. Najwyraźniej nie należymy do tej samej ligi.

– Nie bądź głupolem. – Mariana pokręciła głową. – Nie o to chodzi.

– Więc dlaczego?

Wzruszyła ramionami, skrępowana.

– Z miliona powodów.

– Podaj choć jeden.

– Jesteś dla mnie o wiele za młody.

– Słucham? – Fred się zaczerwienił. Wyglądał na obruszonego i zawstydzonego. – To śmieszne.

– Ile masz lat?

– Wcale nie tak mało. Prawie dwadzieścia dziewięć.

Mariana się zaśmiała.

– To jest śmieszne.

– Dlaczego? A ile ty masz?

– Dość dużo, żeby nie zawyżać swojego wieku. Trzydzieści sześć.

– To co z tego? – Fred wzruszył ramionami. – Wiek nie ma znaczenia. Nie, kiedy się czujesz... jak się czujesz. – Zerknął na nią. – Wiesz, kiedy cię zobaczyłem w pociągu, miałem silne przeczucie, że pewnego dnia poproszę cię o rękę. A ty się zgodzisz.

– No to się myliłeś.

– Dlaczego? Jesteś... mężatką?

– Tak... Nie... To znaczy...

– Tylko mi nie mów, że cię zostawił. Co za idiota.

– Też tak często myślę. – Mariana westchnęła. – Zginął – powiedziała szybko, żeby mieć to za sobą. – Mniej więcej rok temu. Trudno... mi o tym mówić.

– Przykro mi. – Fred wyglądał na przygnębionego. Przez chwilę się nie odzywał. – Teraz mi głupio.

– Niepotrzebnie. To nie twoja wina.

Mariana poczuła się nagle bardzo zmęczona i sfrustrowana sobą. Dopięła wino.

– Powinnam już iść.

– Nie, jeszcze nie. Nie powiedziałem ci, co myślę o zabójstwie. O Conradzie. Przecież po to tu przyszłaś, prawda?

– I?

Fred posłał jej z ukosa chytre spojrzenie.

– Uważam, że złapali niewłaściwego człowieka.

– Tak? A dlaczego tak twierdzisz?

– Poznałem Conrada. Znam go. Nie jest mordercą.

Mariana przytaknęła.

– Zoe też jest tego zdania. W przeciwieństwie do policji.

– Tak sobie myślałem, że mógłbym spróbować rozwiązać tę zagadkę. Lubię rozwiązywać zagadki. Mam mózg stworzony do tego. – Uśmiechnął się do niej. – Co ty na to?

– Na co?

– Ty i ja – rzucił Fred z szerokim uśmiechem. – Połączylibyśmy siły? I rozwikłali to razem?

Mariana rozważała to przez moment. Jego pomoc pewnie by się jej przydała, dlatego się wahała, wiedziała jednak, że potem by tego żałowała. Pokręciła głową.

– Nie sędzę. Dzięki.

– Daj znać, jeśli zmienisz zdanie. – Wyciągnął z kieszeni długopis i nabazgrał swój numer telefonu na podkładce pod kufel. Podał ją Marianie. – Proszę. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, czegokolwiek, zadzwoń.

– Dzięki. Ale nie zabawię tu długo.

– Ciągłe to powtarzasz, a jednak tu jesteś. – Uśmiechnął się szeroko. – Mam co do ciebie dobre przeczucia, Mariano. A ja mocno wierzę w intuicję.

Po wyjściu z pubu Fred wesoło zagadywał Marianę.

– Pochodzisz z Grecji, tak?

– Dorastałam w Atenach.

– W Atenach jest tak fajnie. Uwielbiam Grecję. Odwiedziłaś wiele wysp?

– Kilka.

– Byłaś na Naksos?

Mariana zamarła. Stanęła jak wryta na ulicy. Nie mogła na niego spojrzeć.

– Słucham? – szepnęła.

– Naksos? Byłem tam rok temu. Jestem świetnym pływakiem... Najlepiej mi idzie nurkowanie, a tam się doskonale nurkuje. Byłaś tam? Powinnaś...

– Muszę iść.

Odwróciła się, zanim Fred zobaczył łzy w jej oczach. Szła przed siebie, nie oglądając się.

– Och – usłyszała jego głos. Wydawał się trochę zszokowany. – Okej. W takim razie do zobaczenia...

Nie odpowiedziała. „To tylko zbieg okoliczności – tłumaczyła sobie. – To nic nie znaczy. Zapomnij. To nic nie znaczy. Nic”.

Usiłowała wypędzić z myśli wzmiankę o wyspie i szła dalej.

Zostawiwszy Freda, Mariana zmierzała spiesznie w stronę college'u. Wieczór zrobił się zimniejszy, znad rzeki snuła się chłodna mgła – koniec ulicy niknął w oparach, które wisiały nad ziemią jak gęsty dym.

Mariana szybko się zorientowała, że ktoś ją śledzi.

Te same kroki słyszała za sobą zaraz po wyjściu z Eagle. To był ciężki chód mężczyzny; mocne buty o twardych podeszwach uderzały rytmicznie w kocie łby i dźwięk niósł się echem po opustoszałej uliczce, w pewnej odległości za Marianą. Trudno było ocenić tę odległość bez odwracania się. Mariana zebrała się na odwagę i zerknęła przez ramię.

Nikogo nie zobaczyła – przynajmniej w zasięgu wzroku, czyli niedaleko. Kłęby mgły spowijały ulicę, pożerały ją.

Mariana szła dalej. Skreśliła za róg.

Po kilku sekundach kroki rozległy się za nią ponownie.

Przyspieszyła. Kroki również.

Znów zerknęła przez ramię... i tym razem kogoś zobaczyła. Cień mężczyzny, niedaleko za sobą. Unikał światła latarni, szedł pod ścianą, w ciemności.

Mariana poczuła, że serce jej przyspiesza. Rozejrzała się za drogą ucieczki. Dostrzegła mężczyznę i kobietę po drugiej stronie ulicy. Szli ramię w ramię. Zeszła szybko na jezdnię i ruszyła w ich kierunku.

Gdy dotarła do chodnika, tamci weszli na schodki prowadzące do drzwi, otworzyli je i zniknęli wewnątrz.

Mariana szła dalej, nasłuchując kroków. Obejrzała się za siebie i zobaczyła go – ubranego na ciemno mężczyznę skrywającego twarz w cieniu; przechodził we mgle na jej stronę ulicy.

Mariana rzuciła wzrokiem w wąską uliczkę odchodzącą w lewo. Podjęła nagłą decyzję – nie oglądając się za siebie, puściła się biegiem. Dobiegła do rzeki. Miała przed sobą drewniany most. Pospiesznie przeszła na drugi brzeg. Tutaj było ciemniej; nad wodą nie było latarni, które rozświetlałyby mrok. Mgła zgęstniała, zrobiła się jeszcze zimniejsza i bardziej mokra. Pachniała lodem, jak śnieg.

Mariana ostrożnie rozsunała gałęzie drzewa. Weszła pod nie i skryła się za pnem. Objęła go, czując jego gładką, mokrą korę. Starła się stać tak

nieruchomo i cicho, jak tylko mogła. Usiłowała spowolnić oddech, wyciszyć go.

Patrzyła i czekała.

I rzeczywiście, kilka sekund później ujrzała go – albo jego cień – jak przemyka po moście i schodzi na brzeg.

Straciła go z oczu, ale nadal słyszała jego kroki na miękkim podłożu, na ziemi – skradał się w odległości kilku metrów od niej.

A potem cisza. Zupełna. Wstrzymała oddech.

Gdzie on się podział? Dokąd poszedł?

Czekała, jak się jej zdawało, nieskończenie długo. Dla pewności. Poszedł sobie? Chyba tak.

Ostrożnie wyłoniła się zza drzewa. Potrzebowała kilku sekund, by się zorientować, gdzie jest. Uświadomiła sobie, że ma przed sobą rzekę połyskującą w mroku. Musiała się jej trzymać.

Ruszyła szybko wzdłuż brzegu i dotarła na wysokość tylnego wejścia na teren St. Christopher's College. Przeszła po kamiennym moście i zbliżyła się do dużej drewnianej bramy w ceglany murze. Wyciągnęła rękę, chwyciła zimne mosiężne kółko i pociągnęła. Brama ani drgnęła. Była zamknięta.

Mariana się zawahała, niepewna, co ma robić. Wtem... usłyszała kroki.

Te same spieszne kroki. Tego samego mężczyzny.

Zbliżał się.

Powiodła wkoło wzrokiem, lecz niczego nie widziała, tylko kłębiącą się mgłę, niknącą w mrocznych cieniach. Słyszała jednak, że on się zbliża, przechodzi przez most i zmierza ku niej.

Znowu szarpnęła bramę – i znowu bez skutku. Znalazła się w potrzasku. Zaczęła wpadać w panikę.

– Kto to?! – zawołała w ciemność. – Kto tu jest?

Nie dostała odpowiedzi. Kroki się zbliżały...

Mariana już miała zacząć krzyczeć, gdy wtem na lewo od siebie usłyszała skrzypnięcie. Niedaleko niej otworzyła się mała furtka, częściowo zasłonięta przez krzewy, dlatego Mariana jej wcześniej nie zauważyła. Furtka była znacznie mniejsza od bramy i wykonana z prostego, niepolakierowanego drewna. Padający zza niej snop światła latarki przeciął mrok. Padł na twarz Mariany, oślepiając ją.

– Wszystko w porządku, proszę pani?

Od razu rozpoznała głos Morrisa i poczuła ulgę. Przestał świecić jej w oczy. Zgarbił się, by przejść przez furtkę, a potem stanął przed nią

wyprostowany. Miał na sobie czarny płaszcz i czarne rękawiczki. Przyjrzał się jej.

– Wszystko w porządku? – powtórzył. – Robię obchód. Tylną bramę zamykamy o dwudziestej drugiej. Powinna to pani wiedzieć.

– Zapomniałam. Nic mi nie jest.

Mężczyzna oświetlił most. Mariana lękliwie powiodła wzrokiem za światłem latarki. Ani żywej duszy.

Nasłuchiwała.

Cisza. Żadnych kroków. Poszedł sobie.

– Może mnie pan wpuścić? – spytała, zerkając na Morrisa.

– Oczywiście. Proszę tędy. – Wskazał na furtkę za sobą. – Często korzystam z tego skrótu. Przejście doprowadzi panią do głównego dziedzińca.

– Dziękuję. Jestem panu bardzo wdzięczna.

– Nie ma za co.

Minęła Morrisa i podeszła do otwartej furtki. Pochyliła głowę i lekko się zgarbiła, by wejść do środka. W starym ceglanym korytarzu panowała ciemność i pachniało w nim wilgocią. Furtka się zamknęła. Mariana usłyszała, że Morris przekręca klucz.

Ostrożnie ruszyła przejściem, rozmyślając o tym, co się stało. Na moment zwątpiła, czy naprawdę ktoś ją śledził. Bo jeśli tak, to kto? A może miała paranoję?

W każdym razie cieszyła się, że wróciła do St. Christopher's College.

Przejście zawiodło ją do wyłożonego dębową boazerią korytarza w budynku mieszczącym stołówkę. Już miała wyjść głównymi drzwiami, ale się odwróciła. I zatrzymała.

W słabo oświetlonym korytarzu wisiały portrety. Jej wzrok przykuł wizerunek na samym końcu. Miał całą ścianę dla siebie. Mariana przyglądała mu się. Rozpoznała tę twarz. Zamrugowała kilka razy, niepewna, czy dobrze widzi – a potem powoli podeszła do obrazu, jakby była w transie. Stała przed nim. Jej twarz znajdowała się dokładnie na wysokości sportretowanego oblicza. Mariana patrzyła na tę osobę. Tak, to był on.

Tennyson.

Lecz nie starzec z białymi włosami i długą brodą, jak przedstawiano go na innych podobiznach. To był Alfred Tennyson w młodości. W zasadzie

chłopak. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia dziewięć lat. Wyglądał nawet młodziej. Niemniej to bez wątpienia był on.

Jedna z najprzystojniejszych twarzy, jakie Mariana widziała. Jej widok tutaj, z bliska, tak urodziwej, zaparł jej dech. Mężczyzna miał mocną, kanciastą szczękę, zmysłowe usta i ciemne zmierzwione włosy sięgające do ramion. Przelotnie skojarzył się jej z Edwardem Foską, ale szybko przegoniła tę myśl. Miał zdecydowanie inne oczy. Tęczówki Foski były ciemne, Tennysona zaś jasnoniebieskie jak woda.

Hallam prawdopodobnie nie żył już od siedmiu lat, gdy malowano ten obraz, co znaczyło, że Tennyson ukończy *In Memoriam* dekadę później. Czekąło go jeszcze dziesięć lat żałoby. Mimo to jego rysów nie trawiła rozpacz. Ta twarz wyrażała zaskakująco mało emocji. Nie malował się na niej smutek, cień melancholii. Była spokojna i lodowato piękna. I nic więcej.

Dlaczego?

Mariana pomyślała, mrużąc oczy i przyglądając się twarzy, że poeta na coś patrzy... na coś znajdującego się niedaleko. Tak, te jasnoniebieskie oczy wpatrywały się w coś, czego na obrazie nie widać, coś z boku, jakby za głową Mariany.

Na co Tennyson patrzył?

Mariana oddaliła się od portretu raczej rozczarowana – czuła się w pewien sposób zdradzona przez poetę. Nie wiedziała, co miała nadzieję znaleźć w jego oczach – może odrobinę pocieszenia, otuchę lub siłę? Zadowolilaby ją nawet rozpacz.

Ale nie *nic*.

Przestała myśleć o obrazie. Udała się pospiesznie do swojego pokoju.

Pod drzwiami coś na nią czekało. Czarna koperta na podłodze. Mariana podniosła ją i otworzyła. W środku znajdowała się kartka z notatnika złożona na pół. Rozłożyła ją i przeczytała treść. Napisano ją ręcznie czarnym atramentem, eleganckim pochyłym pismem.

*Droga Mariano!*

*Mam nadzieję, że miewa się Pani dobrze. Zastanawiam się, czy zechciałaby Pani odbyć ze mną jutro pogawędkę? Może o dziesiątej rano w Fellows' Garden?*

*Z pozdrowieniami*

*Edward Fosca*

Gdybym przyszedł na świat w starożytnej Grecji, tragedię moich narodzin zwiastowałby szereg złych omenów i horoskopów. Zaćmienia, gorejące komety, złowieszcze przepowiednie...

Tymczasem tak nie było - moje narodziny charakteryzował całkowity brak jakichkolwiek wydarzeń. Ojciec, człowiek, który wypaczy moje życie i uczyni mnie potworem, nie asystował przy porodzie. Grał w karty z robotnikami rolnymi, palił cygara i pił whiskey do późnej nocy.

Gdy usiłuję wyobrazić sobie matkę, mrużę mocno oczy i prawie ją widzę, choć za mgłą, niewyraźnie. Moją piękną matkę, dziewiętnastoletnią dziewczynę w prywatnej sali w szpitalu. Słyszy głosy pielęgniarek rozmawiających i śmiejących się w końcu korytarza. Jest sama, ale nie stanowi to dla niej problemu. W samotności może odnaleźć jakiś rodzaj spokoju - może myśleć bez obaw, że zostanie zaatakowana. Dociera do niej, że bardzo czeka na dziecko, bo dzieci nie mówią.

Wie, że jej mąż chce syna, lecz w skrytości modli się o dziewczynkę. Bowiem chłopiec wyrośnie na mężczyznę. A mężczyznom nie można ufać.

Z ulgą przyjmuje skurcze. Odwracają uwagę. Pozwalają się skupić na fizyczności: na oddechu, liczeniu, przeszywającym bólu, który usuwa z głowy wszelkie myśli jak gąbka kredę z tablicy. Angażuje się w to cierpienie całą sobą, zatracą się w nim...

O świecie przyszedłem na świat.

Ku przerażeniu matki nie byłem dziewczynką. Kiedy ojciec usłyszał, że ma syna, uradował się. Farmerzy, podobnie jak królowie, potrzebują wielu synów. Byłem pierwszy. Szykując się do świętowania moich narodzin, przyjechał do szpitala z butelką taniego musującego wina.

Czy to było świętowanie?

Czy katastrofa?

Mój los był przesądzony już wtedy? Było za późno? Należało zgładzić mnie zaraz po urodzeniu? Pozwolić mi umrzeć i gnić na



zboczu wzgórza?

Wiem, co by powiedziała matka, gdyby mogła to przeczytać, zapoznać się z tymi moimi poszukiwaniami winy. Straciłaby cierpliwość. „Nikt nie jest odpowiedzialny – oznajmiłaby. – Przestań gloryfikować wydarzenia ze swojego życia i nadawać im znaczenie. Nic nie ma znaczenia. Życie nie ma znaczenia. Śmierć nie ma znaczenia”.

Lecz nie zawsze tak myślała.

Istniało więcej jej wersji. Swego czasu żyła sobie inna osoba, która suszyła kwiaty i podkreślała wersy poezji – znalazłem tę jej przeszłość ukrytą w pudełku po butach w głębi szafki. Stare zdjęcia, spłaszczony kwiat, pełne błędów ortograficznych wiersze ojca do matki pisane w czasie długich zalotów. Potem ojciec zerwał z pisaniem poezji. A matka przestała ją czytać.

Poślubiła człowieka, który był jej w zasadzie obcy. A on zabrał ją od wszystkich, których znała. Zabrał ją do świata niewygód – zimnych wczesnych poranków i całodzienniej forsownej pracy fizycznej; musiała ważyć jagnięta, strzyc je i karmić. I tak w koło, bez ustanku.

Zdarzały się naturalnie chwile magiczne – na przykład czas wykotu owiec, kiedy to malutkie niewinne stworzenia pojawiały się jak białe grzyby. To było najlepsze.

Matka nie pozwalała sobie nigdy przywiązywać się do jagniąt. Nauczyła się, by tego nie robić.

Najgorsza była śmierć. Ciągła, niemająca końca śmierć – i wszystkie procesy z nią związane: znakowanie tych, które miały zginąć, bo przybierały na wadze za mało lub za dużo, bo nie zachodziły w ciążę. Potem pojawiał się rzeźnik w ohydny, splamionym krwią fartuchu. Ojciec wisiał nad nim, gotowy pomagać. Lubił rzeź. Zdawał się nią rozkoszować.

Kiedy to się działo, matka zawsze uciekała z przemyconą butelką wódki i chowała się w łazience, pod prysznicem, skąd jak sądziła, nikt nie mógł słyszeć jej płaczu. Ja zaszywałem się w najodleglejszej części farmy, najdalej, jak mogłem. Zatykałem uszy, ale i tak słyszałem krzyk.

Po powrocie do domu czułem wszędzie odór śmierci. Ciała ćwiartowano w otwartej stodole najbliższej kuchni, rynny spływały

krwią. Czuć było smród mięsa, które ważono i pakowano w kuchni. Strzępki zaschniętych włókien oblepiały stół, nad kałużami krwi kołowały tłuste muchy.

Nieprzydatne części ciała - wnętrzności i inne resztki - ojciec zakopywał. Wrzucał je do dołu w głębi farmy.

Zawsze unikałem tego dołu. Przerazał mnie. Ojciec groził mi, że mnie w nim pogrzebie żywcem, jeśli okażę mu nieposłuszeństwo albo źle się zachowam. Lub zdradzę jego sekrety.

„Nikt cię nigdy nie znajdzie - mówił. - Nikt się nie dowie”.

Wyobrażałem sobie, że zakopuje mnie żywcem w tym dole, gdzie otaczałyby mnie gnijące szczątki, w których wiłyby się czerwie, robaki i inne stworzenia żywiące się padliną, i drżałem ze strachu.

Nadal drzę, kiedy o tym myślę.

Następnego ranka Mariana poszła na spotkanie z profesorem Foscą.

Dotarła do Fellows' Garden, gdy zegar w kaplicy wybił dziesiątą. Profesor już tam był. Miał na sobie białą koszulę rozpiętą pod szyją i szarą sztruksową marynarkę. Rozpuszczone włosy opadały mu na ramiona.

– Dzień dobry – odezwał się. – Cieszę się, że panią widzę. Wcale nie miałem pewności, że pani przyjdzie.

– Przyszłam.

– Do tego punktualnie. Ciekawe, co nam to o pani mówi, Mariano?

Uśmiechał się. Mariana nie odwzajemniła uśmiechu. Postanowiła pokazywać po sobie jak najmniej.

Fosca otworzył drewnianą furtkę i wskazał na ogród.

– Wchodzimy?

Weszła za nim. Z tego ogrodu mogli korzystać wyłącznie nauczyciele i ich goście. Studenci nie mieli tu wstępu. Mariana nie przypominała sobie, by kiedykolwiek tu była.

Natychmiast uderzył ją spokój tego miejsca, jego uroda. Był to ogród na obniżonym terenie, typowy dla epoki Tudorów, otoczony starym nierównym murem z cegieł. Krwistoczerwone kwiaty kozłka lekarskiego rosły w jego szczelinach i powoli go rozsadały. Wszędzie kwitły kolorowe rośliny – różowe, niebieskie i ogniście czerwone.

– Pięknie tu – powiedziała.

Fosca przytaknął ruchem głowy.

– W rzeczy samej. Często tu przychodzę.

Ruszyli ścieżką, a profesor zachwycał się urodą ogrodu i całego Cambridge.

– To magiczne miejsce. Też to pani czuje, prawda? – Zerknął na nią. – Na pewno poczuła to pani od razu, tak jak ja. Wyobrażam sobie panią, młodą studentkę, która dopiero co opuściła pokład statku, przybyła do tego kraju, jak ja, nie znając tutejszego życia. Niewyrobiona, samotna... Zgadza się?

– Mówi pan o mnie czy o sobie?

Fosca się uśmiechnął.

– Podejrzewam, że mieliśmy bardzo podobne doświadczenia.

– Wątpię.

Zerknął na nią. Przyglądał się jej przez sekundę, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Szli w milczeniu.

– Jest pani bardzo małomówna – odezwał się w końcu. – Zupełnie nie tego się spodziewałem.

– A czego się pan spodziewał?

Wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Przesłuchania?

– Przesłuchania?

– No to wielu pytań.

Zaproponował jej papierosa.

Pokręciła głową.

– Nie palę.

– Już nikt nie pali. Z wyjątkiem mnie. Bezskutecznie próbowałem rzucić. Nie panuję nad tym.

Wsunął papierosa do ust. To była jakaś amerykańska marka z białym filtrem. Zapalił zapałkę, zaciągnął się i wypuścił długą smużkę dymu. Mariana patrzyła, jak dym tańczy w powietrzu i znika.

– Poprosiłem panią o spotkanie – powiedział Fosca – ponieważ uznałem, że powinniśmy porozmawiać. Słyszałem, że się pani mną zainteresowała. Zadawała pani moim studentkom rozmaite pytania... Tak na marginesie, skontaktowałem się z dziekanem. O ile mu wiadomo, nigdy pani nie prosił o rozmowę ze studentami, nawet nieformalną. Dlatego zastanawiam się, Mariano, co pani, do diaska, wyprawia?

Zerknęła na niego i zobaczyła, że wpatruje się w nią i stara się odgadnąć jej myśli, przesywając ją spojrzeniem. Uciekła wzrokiem i wzruszyła ramionami.

– Poczułam się zaintrygowana, to wszystko...

– Mną w szczególności?

– Boginiami.

– Boginiami? – Fosca wydawał się zaskoczony. – Dlaczego?

– Taka wybrana grupa studentek to coś dziwnego. Na pewno budzi w innych chęć rywalizacji i urazę.

Fosca z uśmiechem zaciągnął się dymem.

– Jest pani terapeutką grupową, prawda? Więc kto jak kto, ale pani powinna wiedzieć, że małe grupy tworzą doskonałe środowisko dla rozkwitu wyjątkowych umysłów... Właśnie to robię, tworzę taką przestrzeń.

- Kokon... dla wyjątkowych umysłów.
- Dobrze ujęte.
- Kobięcych umysłów.

Fosca zamrugał i spojrział na nią chłodno.

– Najbardziej inteligentne umysły często należą do kobiet... Czy tak trudno to zaakceptować? Nie dzieje się tu nic złego. Jestem łagodnym facetem, który może dużo wypić, to wszystko. Jeżeli ktoś jest tu wykorzystywany, to ja.

– A kto mówi o wykorzystywaniu?

– Niech pani nie udaje nieśmiałej, Mariano. Przecież widzę, że uznała mnie pani za złoczyńcę, łotra polującego na bezbronne studentki. Tyle że poznała pani te młode damy i zorientowała się, że absolutnie nie są bezbronne. Podczas naszych spotkań nie dzieje się nic niestosownego. To tylko grupka studentek dyskutujących o poezji, rozkoszujących się winem i intelektualną debatą.

– Jedna z nich nie żyje.

Profesor Fosca ściągnął brwi. W jego oczach błysnął gniew. Popatrzył na nią.

– Myśli pani, że zdoła wejrzeć w moją duszę?

Mariana odwróciła wzrok, zażenowana tym pytaniem.

– Nie. Oczywiście, że nie. Nie chciałam...

– Nieważne. – Zaciągnął się papierosem, wyzbywszy się całego gniewu. – Słowo „psychoterapeuta” pochodzi, jak pani wie, od greckiego *psyche*, czyli „dusza”, i *therapeia*, czyli „uzdrowienie”. Jest pani uzdrawiaczką dusz? Uleczy pani moją?

– Nie. Tylko pan może to zrobić.

Fosca rzucił niedopałek i wgniół go butem w ziemię.

– Postanowiła pani mnie nie lubić. Nie wiem dlaczego.

Marianę zirytowało to, że też nie znała powodu.

Ruszyli z powrotem w kierunku furtki. Profesor zerkał na Marianę.

– Intryguje mnie pani – oznajmił. – Zastanawiam się, co pani myśli.

– Nie myślę... Słucham.

To prawda. Mariana nie była detektywem, ale jako terapeutka umiała słuchać. Potrafiła usłyszeć nie tylko słowa, ale też wszystko, co nie zostało powiedziane – zauważała kłamstwa, uniki, projekcje, przeniesienia i inne wybiegi stosowane przez ludzi w relacji z drugim człowiekiem, a które wymagały specjalnego rodzaju słuchania. Mariana musiała się wsłuchać we

wszystkie *uczucia*, które Fosca komunikował jej nieświadomie. W terapii te przeniesione uczucia mówią jej to, co musi wiedzieć o człowieku, o tym, kim jest i co ukrywa. Rzecz jasna pod warunkiem, że ona sama zdoła powstrzymać własne emocje, co nie jest łatwe. Usiłowała wsłuchiwać się w swoje ciało i czuła nasilające się napięcie: zaciskała zęby jak przy gryzieniu. Czuła też ogień w żołądku i mrówki na całym ciele, które kojarzyła z gniewem.

Ale czym? Swoim?

Nie. To był jego gniew.

Jego gniew. Tak, czuła to. Kiedy tak szli, profesor milczał – lecz pod tym milczeniem gotowała się furia. Oczywiście nie przyznawał się do niej, niemniej była obecna, buzowała tuż pod powierzchnią, ponieważ Mariana czymś go zdenerwowała podczas tego spotkania. Była nieprzewidywalna, trudna do rozgryzienia, a to obudziło w nim złość. Nagle Marianie przyszła do głowy myśl: „Skoro on potrafi się błyskawicznie tak rozgniewać, to co się stanie, jeśli go naprawdę sprowokuję?”.

Nie była pewna, czy chce się tego dowiedzieć.

Gdy doszli do furtki, Fosca się zatrzymał. Zerknął na nią, coś rozważając. W końcu podjął decyzję.

– Tak się zastanawiam, czy chciałaby pani kontynuować tę rozmowę... przy kolacji? Może jutro wieczorem? – Patrzył na nią w oczekiwaniu na odpowiedź.

Mariana spojrzała mu w oczy i nawet nie mrugnęła.

– Dobrze – odparła.

Fosca się uśmiechnął.

– Świetnie... W moim apartamencie o dwudziestej? I jeszcze jedno...

Zanim zdążyła go powstrzymać, pochylił się.

I pocałował ją w usta.

Pocałunek trwał zaledwie sekundę. Mariana nie miała szansy zareagować, bo profesor już się odsunął.

Odwrócił się i wyszedł przez furtkę. Mariana słyszała, jak gwizdże, oddalając się.

Wytarła usta zaciśniętą pięścią.

„Jak on śmie?”.

Czuła się tak, jakby została napadnięta, zaatakowana. I jakby on wygrał, jakby mu się udało zastraszyć ją przez zaskoczenie.

Kiedy tak stała, jednocześnie rozgrzana i zmarznięta w porannym słońcu, gotując się ze złości, jedno wiedziała na pewno.

Tym razem przeżywała nie jego gniew, tylko własny.

To był jej gniew.

Tylko jej.

Po rozstaniu z Foską Mariana wyjęła z torebki podkładkę pod kufel, którą dał jej Fred. Zadzwoiła do niego i zapytała, czy mogą się spotkać.

Dwadzieścia minut później zobaczyli się przy głównej bramie St. Christopher's College. Przyglądała się, jak chłopak przypina rower do bariery. Sięgnął do torby i wyjął z niej dwa czerwone jabłka.

– To moje śniadanie. Chcesz? – Podsunął jej jedno.

Zamierzała odruchowo podziękować, ale uświadomiła sobie, że jest głodna. Potaknęła głową.

Fred wyglądał na zadowolonego. Wybrał ładniejszy owoc, wypolerował go rękawem i podał jej.

– Dzięki. – Mariana przyjęła jabłko i wgrzyła się w nie. Było chrupiące i słodkie.

Fred uśmiechał się do niej, mówiąc między kęsami:

– Ucieszyłem się, że zadzwoniłaś. Wczoraj... odeszłaś tak nagle. Pomyślałem, że cię czymś zdenerwowałem.

Wzruszyła ramionami.

– Nie chodziło o ciebie, tylko o... Naksos.

– Naksos? – Fred patrzył na nią skonsternowany.

– To tam... zginął mój mąż. Utopił się.

– Jezu. – Fred otworzył szeroko oczy. – Boże. Przepraszam...

– Nie wiedziałeś?

– Skąd miałbym wiedzieć? Oczywiście, że nie.

– A więc to był zbieg okoliczności? – Przyglądała mu się uważnie.

– No... mówiłem ci. Jestem trochę jasnowidzem. Może coś wyczułem i dlatego przyszło mi do głowy Naksos.

Mariana ściągnęła brwi.

– Przykro mi, ale nie wierzę w takie rzeczy.

– Ale to prawda. – Nastąpiło niezręczne milczenie, które Fred szybko przerwał. – Posłuchaj, przepraszam, jeśli zraniłem twoje uczucia...

– Nie zraniłeś, naprawdę. To nieważne. Zapomnij o tym.

– Dlatego zadzwoniłaś? Żeby mi o tym powiedzieć?

Mariana pokręciła głową.

– Nie.



Nie była pewna, dlaczego do niego zadzwoniła. Prawdopodobnie popełniła błąd. Powiedziała sobie, że potrzebuje pomocy Freda, podczas gdy w rzeczywistości to była wymówka – poczuła się samotna i zdenerwowała się rozmową z Foską. Zirykowała się na siebie, że tak postąpiła, tyle że za późno, bo on już tu był. Równie dobrze mogli to wykorzystać.

– Chodź – powiedziała. – Chcę ci coś pokazać.

Weszli na teren college'u, przeszli przez główny dziedziniec, a potem pod łukiem wyszli na Eros Court. Mariana zerknęła w stronę pokoju Zoe. Nie było jej tam; miała zajęcia z Clarissą. Mariana celowo nie mówiła jej o Fredzie, bo nie wiedziała, jak jej (i samej sobie również) wytłumaczyć tę znajomość.

Gdy zbliżyli się do klatki schodowej prowadzącej do pokoju Tary, Mariana ruchem głowy wskazała okno na parterze.

– To jest pokój Tary. W wieczór jej śmierci pokojówka widziała ją, jak wychodziła za kwadrans ósma.

Fred skinął w kierunku furtki w głębi dziedzińca prowadzącej nad rzekę.

– I poszła w tamtą stronę?

– Nie. – Wskazała przeciwny kierunek: drogę prowadzącą pod łukiem. – Wyszła przez główny dziedziniec.

– Hm... To dziwne. Tylna furтка prowadzi nad rzekę. To najkrótsza droga do rezerwatu Paradise.

– To by znaczyło... że szła gdzie indziej.

– Na spotkanie z Conradem, tak jak mówił?

– Możliwe. – Mariana się zamyśliła. – Jest coś jeszcze. Morris, portier, widział Tarę wychodzącą główną bramą o ósmej. Wyszła z pokoju za kwadrans ósma...

Nie dokończyła zdania. Fred zrobił to za nią.

– Dlaczego potrzebowała kwadransa na pokonanie odległości, której przebycie zajmuje najwyżej dwie minuty? Rozumiem... Powodów może być mnóstwo. Mogła pisać wiadomość do kogoś, spotkać koleżankę albo...

Gdy Fred mówił, Mariana patrzyła na rabatę z kwiatami pod oknem pokoju Tary – rosły tam fioletowe i różowe naparstnice. Wśród nich leżał na ziemi niedopałek. Schyliła się i go podniosła. Miał charakterystyczny biały filtr.

– Amerykańska marka – stwierdził Fred.

– Zgadza się... Profesor Fosca takie pali.

– Fosca? – zapytał Fred cicho. – Wiem o nim co nieco. Mam przyjaciół w tym college’u. Słyszałem różne historie.

– Jakie historie? O czym ty mówisz?

– Cambridge to mała miejscina. Wszyscy tu plotkują.

– I co mówią?

– O sławie... lub niesławie Foski. A przynajmniej o jego imprezach.

– Jakich imprezach? Co o nich wiesz?

Fred wzruszył ramionami.

– Niewiele. Wstęp mają tylko jego studentki. Słyszałem jednak, że są szalone. – Przyjrzał się Marianie uważniej, by odczytać wyraz jej twarzy. – Myślisz, że miał z tym coś wspólnego? Z zabójstwem Tary?

Mariana zastanawiała się przez chwilę i w końcu się poddała.

– Posłuchaj – odezwała się. – Powiem ci.

Podczas gdy szli obrzeżem dziedzińca, opowiadała mu o oskarżeniach Tary wobec Foski, o tym, że on zaprzeczył i miał potwierdzone alibi, a także o tym, że mimo wszystko Mariana nie potrafiła odpuścić.

Spodziewała się, że Fred ją wyśmieje, wykpi, a przynajmniej jej nie uwierzy. Tymczasem tego nie zrobił. Była mu za to wdzięczna. Poczuła, że zaczyna go lubić i po raz pierwszy czuje się mniej samotna.

– O ile Veronica, Serena i inne nie kłamią – powiedziała na koniec – Fosca był z nimi przez cały czas. Z wyjątkiem kilku minut, kiedy wyszedł na papierosa...

– To jest mnóstwo czasu – zauważył Fred. – Jeśli wypatrzył Tarę przez okno, mógł do niej podejść na dziedzińcu.

– I umówić się w Paradise na dziesiątą?

– Zgadza się. Czemu nie?

Mariana zatrzymała się w pół kroku.

– I tak nie mógłby tego zrobić. Jeżeli Tarę zamordowano o dziesiątej, nie dotarłby tam na czas. Pieszo droga tam zajmuje co najmniej dwadzieścia minut, samochodem pewnie jeszcze dłużej...

Fred myślał intensywnie.

– Chyba że dostał się tam wodą.

Mariana popatrzyła na niego w osłupieniu.

– Słucham?

– Może wziął łódź.

– Łódź? – Niemal parsknęła śmiechem, tak absurdalnie to brzmiało.

– A czemu nie? Nikt nie obserwuje rzeki, nikt by nie zauważył łodzi, zwłaszcza wieczorem. Mógł tam dopłynąć i wrócić niedostrzeżony... w kilka minut.

Mariana to przemyślała.

– Możesz mieć rację.

– Potrafisz pływać łodzią?

– Nie najlepiej.

– A ja potrafię. – Fred uśmiechnął się szeroko. – Tak się składa, że nawet dość dobrze... tak myślę. Co ty na to?

– Na co?

– Pójdziemy na przystań, pożyczymy łódź i sprawdzimy to. Czemu nie?

Mariana nie zdążyła odpowiedzieć, bo zadzwonił jej telefon. To była Zoe. Odebrała natychmiast.

– Zoe? Wszystko w porządku?

– Gdzie jesteś? – W głosie dziewczyny pobrzmiwała gorączkowa nuta, która podpowiedziała Marianie, że stało się coś złego.

– Jestem na terenie college'u. A ty?

– Z Clarissą. Policja właśnie tu była...

– Dlaczego? Co się stało?

Zapadło milczenie. Mariana słyszała, że jej siostrzenica stara się nie rozpłakać.

– To się znowu stało – wyszeptała cicho Zoe.

– O czym ty mówisz?

Mariana wiedziała. Niemniej chciała, żeby dziewczyna to powiedziała.

– Kolejna ofiara nożownika – wydusiła z siebie Zoe. – Znaleźli drugie ciało.

## Część trzecia

Pięknie ułożona fabuła dramatyczna musi raczej posiadać jedno rozwiązanie, a nie dwa, jak niektórzy sądzą. Zmiana losu nie powinna w niej przebiegać z nieszczęścia w szczęście, lecz przeciwnie, ze szczęścia w nieszczęście, i to nie z powodu nikczemności, ale ze względu na jakieś wielkie zbłądzenie bohatera<sup>5</sup>.

Arystoteles, *Poetyka*

Ciało znaleziono na polu na skraju rezerwatu Paradise. Był to ogólnie dostępny od czasów średniowiecza teren, na którym rolnicy mieli prawo wypasać bydło, i ten, który tego ranka wyprowadził tam krowy, dokonał potwornego odkrycia.

Mariana chciała się tam dostać jak najszybciej. Pomimo wściekłych protestów Zoe zmusiła ją, by została w domu. Była zdeterminowana, by chronić siostrzenicę przed nieprzyjemnościami, jak najlepiej mogła. A widok na pewno nie będzie przyjemny.

Udała się tam z Fredem. Posiłkując się mapą w telefonie, dotarli na pole.

W czasie wędrówki wzdłuż rzeki, gdy mijali college'e i łąki, Mariana wdychała zapach trawy, ziemi i drzew, by przenieść się w czasie do owej pierwszej jesieni, odległej o tyle lat, kiedy przyjechała do Anglii i zamieniła wilgotny upał Grecji na grafitowe niebo i mokrą trawę Wschodniej Anglii.

Od tamtej pory angielskie wsie nie przestały jej ekscytować – aż do tego dnia. Teraz nie czuła ekscytacji, tylko mdlący posmak strachu. Jej ukochane pola i łąki, ścieżki, po których spacerowała z Sebastianem, zostały na zawsze zbrukane. Już nie kojarzyły się z miłością i szczęściem – od tego momentu będą oznaczały tylko krew i śmierć.

Szli, głównie milcząc. Po jakichś dwudziestu minutach Fred wskazał przed siebie.

– To tam.

Przed nimi rozciągało się pole. Na jego skraju stał rząd samochodów – radiowozów i furgonetek stacji telewizyjnych – zaparkowanych jeden za drugim przy gruntowej drodze. Mariana i Fred szli wzdłuż nich, aż dotarli do policyjnej taśmy pilnowanej przez kilku mundurowych broniących dziennikarzom wstępu za jej obręb. Stał tam również tłumek gapiów.

Mariana zerknęła na nich i nagle przypomniało się jej makabryczne zgromadzenie na plaży, obserwujące, jak wyciągano z wody ciało Sebastiana. Przypomniały się jej tamte twarze z wyrazem troski maskującej chorobliwą ekscytację. Boże, jak ona znienawidziła tamtych ludzi. Teraz, na widok takich samych min, zrobiło się jej niedobrze.

– Chodźmy – odezwała się.

Fred ani drgnął. Wyglądał tak, jakby się wahał.

– Dokąd?

Mariana wskazała na policyjną taśmę.

– Tędy.

– Jak mamy się tam dostać? Zobaczą nas.

Mariana się rozejrzała.

– To może podszedłbyś do nich i odwrócił ich uwagę? Miałabym szansę się przemknąć.

– Jasne. Mogę to zrobić.

– Nie przeszkadza ci, że nie pójdziesz ze mną?

Fred pokręcił głową. Nie patrzył jej w oczy.

– Szczerze mówiąc, jestem trochę wrażliwy na widok krwi, zwłok i tak dalej. Wolę poczekać tutaj.

– Okej. Niedługo wrócę.

– Powodzenia.

– Wzajemnie – odparła.

Potrzebował chwili, żeby zebrać się na odwagę. Podeszedł do policjantów. Zaczął z nimi rozmawiać, zadawać pytania. Mariana dostrzegła okazję. Podeszła do taśmy, podniosła ją i przeszła pod spodem. Wyprostowała się i szła dalej, ale już po kilku krokach usłyszała głos:

– Hej! Co pani robi?

Odwróciła się. W jej stronę biegł policjant.

– Stop! Kim pani jest?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zainterweniował Julian. Wyłonił się z namiotu kryminalistycznego i pomachał do funkcjonariusza.

– Wszystko w porządku. Jest ze mną. To koleżanka.

Policjant posłał Marianie podejrzliwe spojrzenie, ale się wycofał. Mariana patrzyła za nim, gdy się oddalał. Odwróciła się do Juliana.

– Dziękuję.

Uśmiechnął się.

– Nie zniechęcaj się łatwo, co? Podoba mi się to. Obyśmy tylko nie wpadli na inspektora. – Puścił do niej oko. – Chcesz to zobaczyć? Patolog to mój stary kumpel.

Podeszli do namiotu. Patolog stał koło wejścia i pisał wiadomość w telefonie. Był mężczyzną po czterdziestce, wysokim, całkowicie łysym, z niebieskimi oczami o przeszywającym spojrzeniu.

– Kuba – odezwał się Julian. – Przyprowadziłem koleżankę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Ani trochę. – Kuba zerknął na Marianę. Mówił z lekkim polskim akcentem. – Ostrzegam, że to nie jest miły widok. Gorszy niż poprzednio. – Machnął ręką w rękawicze w głąb namiotu.

Mariana wzięła głęboki wdech i weszła do środka.

I zobaczyła.

Był to najgorszy widok, jaki kiedykolwiek miała przed oczami. Bała się spojrzeć ponownie. Wydawał się nierealny.

Ciało młodej kobiety, a w zasadzie jego szczątki, leżało na trawie. Tułów pocięto tak, że był nie do poznania – jego miejsce zajęła mieszanina krwi, trzewi, błota i ziemi. Głowy nie tknięto, oczy były otwarte i patrzyły niewidzącym spojrzeniem – ścieżka do niepamięci.

Mariana wpatrywała się w te oczy, niezdolna do odwrócenia wzroku; poraziło ją spojrzenie tej Meduzy, oczu, które posiadały moc przemiany wszystkiego w kamień nawet po śmierci...

Przemknął jej przez głowę wers z *Księżnej d'Amalfi*: „Twarz zasłoń. Ćmi się wzrok. Umarła młodo”<sup>6</sup>.

Zginęła młodo. Zbyt młodo. Miała niespełna dwadzieścia lat. Za tydzień obchodziłaby urodziny – organizowała imprezę.

Mariana wiedziała, bo natychmiast rozpoznała dziewczynę.

To była Veronica.

Mariana odeszła od ciała.

Było jej niedobrze. Musiała się zdystansować od tego, co widziała. Chciała uciec, ale wiedziała, że to niemożliwe – ten widok będzie ją nawiedzał do końca życia. Krew, głowa, szeroko otwarte oczy...

„Przestań – upomniała się. – Przestań myśleć”.

Szła, aż dotarła do rozchwianego drewnianego ogrodzenia oddzielającego to pole od sąsiedniego. Nie było stabilne i wyglądało tak, jakby miało się przewrócić, niemniej oparła się o nie – lepsza taka podpora niż żadna.

– Dobrze się czujesz?

Julian stanął obok niej. Patrzył na nią z troską.

Przytaknęła. Uświadomiła sobie, że ma łzy w oczach. Otarła je, zażenowana.

– Nic mi nie jest.

– Kiedy ktoś widział tyle scen zbrodni co ja, przyzwyczajają się. Nie wiem, czy to cokolwiek warte, ale uważam, że jesteś dzielna.

Mariana pokręciła głową.

– Nie jestem. Ani trochę.

– I miałas rację co do Conrada Ellisa. W chwili zabójstwa siedział w areszcie, więc to zdejmuję z niego podejrzenie... – Julian zerknął na zbliżającego się do nich Kubę i dodał: – Chyba że według ciebie obu morderstw nie popełniła ta sama osoba.

Kuba pokręcił głową i wyciągnął z kieszeni elektronicznego papierosa.

– To ten sam gość. Dokładnie takie samo działanie. Naliczyłem dwadzieścia dwa ciosy nożem. – Zaciągnął się i wypuścił kłęb pary z ust.

Mariana spojrzała na patologa.

– Trzymała coś w dłoni. Co to było?

– O, zwróciłaś na to uwagę? Sosnowa szyszka.

– Tak mi się wydawało. To dziwne.

Julian zerknął na nią.

– Dlaczego tak uważasz?

Wzruszyła ramionami.

– Bo w tej okolicy nie rosną sosny. – Zamyśliła się. – Tak się zastanawiam, czy sporządzono inwentaryzację wszystkiego, co znaleziono



przy ciele Tary.

– Zabawne, że to mówisz – stwierdził Kuba. – Przyszło mi do głowy to samo, więc sprawdziłem. Przy Tarze też znaleziono sosnową szyszka.

– Sosnowa szyszka? – upewnił się Julian. – Interesujące. Na pewno ma dla niego jakieś znaczenie. Ciekawe.

Kiedy mówił, Mariana przypomniała sobie nagle jeden ze slajdów, które profesor Fosca wyświetlał podczas wykładu o Eleusis. Slajd przedstawiał marmurowy relief sosnowej szyszki.

„Tak – pomyślała. – To na pewno coś znaczy”.

Julian rozglądał się, sfrustrowany. Pokręcił głową.

– Jak on to robi? Zabija je na otwartej przestrzeni i znika, cały we krwi? Nie ma świadków, narzędzia zbrodni, żadnych wyraźnych dowodów... nic.

– Witaj w piekle – rzucił Kuba. – Mylisz się co do krwi. Wcale nie musi być nią ubrudzony. Masakruje zwłoki po śmierci ofiary.

– Słucham? – Mariana popatrzyła na niego. – Jak to?

– Dokładnie tak. Najpierw podrzyna jej gardło.

– Na pewno?

– O tak. – Kuba pokiwał głową. – W obydwu przypadkach przyczyną śmierci było głębokie rozcięcie szyi, aż do kości. Śmierć musiała nastąpić natychmiast. Sądząc po głębokości rany... przypuszczam, że atakuje od tyłu. Mogę? – Podszedł do Juliana i elegancko zademonstrował, o czym mówi, posługując się papierosem jak nożem. Mariana się skrzywiła, kiedy udawał, że podcina gardło Julianowi. – Rozumiecie? Krew tryska do przodu. Zaś kiedy ciało leży już na ziemi, a on dźga je nożem, krew spływa w dół. Dlatego może w ogóle nie mieć jej na sobie.

Mariana pokręciła głową.

– Ale... to nie ma sensu.

– Dlaczego?

– Bo to nie jest... działanie w afekcie. Nie traci przy tym kontroli, nie jest wściekły...

Kuba potwierdził ruchem głowy.

– No właśnie. Jest bardzo spokojny, opanowany, jakby wykonywał swego rodzaju taniec. Bardzo precyzyjny. Taki... – szukał w głowie angielskiego słowa – rytualistyczny? Tak to się mówi?

– Rytualny?

Mariana wpatrywała się w niego, a w myślach oglądała serię obrazów: Edward Fosca na podium, wygłaszający wykład na temat rytuałów;

pocztówka z pokoju Tary ze słowami starożytnej wyroczni nakazującej złożyć ofiarę i wreszcie niezatarte wspomnienie jaskrawobłękitnego nieba, palącego słońca i zniszczonej świątyni poświęconej mściwej bogini.

Było w tym coś – coś, co musiała przemyśleć. Jednak zanim zdążyła zadać Kubie kolejne pytanie, zza jej pleców dobiegł głos:

– Co tu się dzieje?

Odwrócili się i zobaczyli inspektora Sanghę. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Co ona tutaj robi? – zapytał Sangha ze ściągniętymi brwiami.

Julian postąpił krok do przodu.

– Mariana jest ze mną. Pomyślałem, że może nas wesprzeć. Okazała się bardzo pomocna.

Sangha odkręcił termos, postawił ostrożnie kubek na słupku ogrodzenia i nalał sobie herbaty. Mariana stwierdziła, że musi być zmęczony – nie zazdrościła mu pracy. Śledztwo rozrosło się podwójnie, a on właśnie stracił jedyne podejrzanego. Nie chciała pogarszać jego sytuacji, ale nie miała wyboru.

– Inspektorze – zwróciła się do niego. – Czy pan wie, że ofiarą jest Veronica Drake? Studiowała w St. Christopher's College.

Inspektor spojrzał na nią z lekkim przerażeniem.

– Jest pani pewna?

Przytaknęła.

– I czy wie pan, że profesor Fosca uczył obie ofiary? Obydwie należały do jego specjalnej grupy.

– Jakiej specjalnej grupy?

– Naprawdę powinien pan go o to zapytać.

Inspektor wypił herbatę.

– Rozumiem. Ma pani jeszcze jakieś rady, Mariano?

Nie spodobał się jej jego ton, ale uśmiechnęła się uprzejmie.

– Na razie to wszystko.

Sangha wylał resztkę herbaty na ziemię, potrząsnął kubkiem i zakręcił go na termosie.

– Już raz panią prosiłem, żeby nie zakłócała pani śledztwa. Ujmę to zatem tak: jeśli jeszcze raz wtargnie pani na miejsce przestępstwa, osobiście panią aresztuję. Okej?

Mariana otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale wyręczył ją Julian.

– Przepraszam. To się więcej nie powtórzy. Chodź, Mariano.

Zabrał ociągającą się Marianę w kierunku taśmy policyjnej.

– Obawiam się, że Sangha za tobą nie przepada – powiedział. – Na twoim miejscu schodziłbym mu z drogi. On gryzie zdecydowanie dotkliwiej, niż warczy. – Puścił do niej oko. – Nie martw się. Będę cię informował o rozwoju sytuacji.

– Dzięki. Będę wdzięczna.

Julian się uśmiechnął.

– Gdzie się zatrzymałaś? Mnie zakwaterowali w hotelu przy dworcu.

– Mam pokój w college’u.

– To miło. Pójdziemy dziś na drinka? Moglibyśmy pogadać.

Mariana pokręciła głową.

– Przykro mi, ale nie mogę.

– Na pewno? – Julian posłał jej uśmiech, a potem powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i spostrzegł, że Mariana patrzy na Freda, który macha do niej zza taśmy policyjnej. – Ach. – Ściągnął brwi. – Widzę, że masz już plany.

– Słucham? A, nie. – Mariana pokręciła głową. – To tylko przyjaciel...  
Zoe.

– Jasne. – Julian uśmiechnął się z niedowierzaniem. – Spoko. Do zobaczenia, Mariano. – Był chyba lekko zirytowany. Odwrócił się i odszedł.

Mariana również się zirytowała – na siebie. Przeszła pod taśmą i zbliżyła się do Freda. Czuła coraz silniejszą złość. Dlaczego tak głupio skłamała, że Fred jest przyjacielem Zoe? Przecież nie miała nic na sumieniu, nie musiała niczego ukrywać. Po co to kłamstwo?

Chyba że nie była uczciwa wobec samej siebie w kwestii uczuć do Freda. Czy to możliwe? Jeśli tak, ta myśl bardzo ją zdenerwowała.

W jakich jeszcze sprawach się oszukiwała?

Gdy rozeszło się, że zamordowano drugą studentkę z St. Christopher's College, do tego córkę amerykańskiego senatora, wiadomość trafiła na pierwsze strony gazet na całym świecie.

Senator Drake wraz z żoną natychmiast przylecieli z Waszyngtonu. Za nimi ścigały amerykańskie media i prasa z całego świata. Wszyscy dotarli do college'u w ciągu kilku godzin.

Marianie skojarzyło się to ze średniowiecznym oblężeniem. Hordy dziennikarzy i operatorów kamer napierały na delikatne barierki, kilku policjantów w mundurach oraz uczelnianych portierów. Pan Morris stał na linii frontu z podkasanymi rękawami, gotów bronić college'u gołymi pięściami.

Na bruku przed główną bramą zaczynało się obozowisko dziennikarzy, które ciągnęło się wzdłuż King's Parade aż do linii furgonetek z nadajnikami satelitarnymi. Przy rzece rozstawiono namiot, gdzie senator Drake i jego żona udzielili wywiadu dla telewizji i ogłosili emocjonalny apel do każdego, kto ma jakiegokolwiek informacje, które mogłyby doprowadzić do ujęcia zabójcy ich córki.

Na życzenie senatora w śledztwo zaangażowano Scotland Yard. Z Londynu ściągnięto dodatkowych policjantów, którzy rozstawiali blokady, chodzili od domu do domu i patrolowali ulice. Całe miasto trwało w pogotowiu, stało się bowiem jasne, że grasuje w nim seryjny zabójca. Zwolniono Conrada Ellisa i wycofano postawione mu zarzuty.

Wszędzie wyczuwało się napięcie i podminowanie. Potwór z nożem przebywał wśród ludzi, niewidzialny, skradał się ulicami i potrafił zaatakować, aby potem rozpuścić się w ciemności... Ta niewidzialność czyniła go czymś więcej niż człowiekiem, czymś nadnaturalnym, stworzeniem zrodzonym z mitu, zjawą.

Mariana wiedziała jednak, że to nie zjawia ani potwór. To był zwykły mężczyzna, niewart mitologizacji; nie zasługiwał na nią. Ten ktoś zasługiwał tylko na litość i strach, o ile potrafiła wzbudzić je w swoim sercu. Według Arystotelesa to te uczucia składały się na katharsis w tragedii. Cóż, Mariana nie wiedziała o tym szaleńcu na tyle dużo, by się nad nim litować.

Czuła natomiast strach.

Matka często mi mówiła, że nie chciała tego dla mnie. Tego życia. Mówiła, że któregoś dnia odejdziemy, ona i ja. Ale że to nie będzie łatwe.

„Nie mam wykształcenia - powiadała. - Przerwałam naukę w wieku piętnastu lat. Obiecuj mi, że nie postąpisz tak samo. Musisz zdobyć wykształcenie, bo tylko tak da się zarobić pieniądze. Tylko tak można przeżyć i być bezpiecznym”.

Nigdy o tym nie zapomniałem. Nade wszystko pragnąłem być bezpieczny.

Nawet teraz nie czuję się bezpieczny.

To dlatego, że ojciec był niebezpiecznym człowiekiem. Wskutek nieustannego picia whiskey w jego oczach pojawiał się płomień. Ojciec stawał się coraz bardziej awanturniczy. Unikanie jego gniewu przypominało chodzenie po polu minowym.

Radziłem sobie z tym lepiej niż matka. Jakoś mi wychodziło utrzymywanie stabilnej sytuacji, wyprzedzanie go o kilka kroków, sprowadzanie rozmowy na bezpieczne tory, domyślanie się, dokąd zmierza, i w razie konieczności sterowanie nim - odciąganie go od tematów, które mogłyby obudzić jego gniew. Matka potykała się prędzej czy później. Robiła to przypadkiem lub celowo, z masochizmu: mówiła coś, robiła, sprzeciwiała się mu, krytykowała go, podawała do zjedzenia coś, czego nie lubił.

Wtedy oczy mu błyskały. Opadała dolna warga. Odstaniał zęby. A ona za późno się orientowała, że wpadł we wściekłość. Wywracał stół, rozbijał szklankę. Obserwowałem, nie mogąc jej bronić, jak biegła do sypialni w poszukiwaniu schronienia. Gorączkowo starała się zamknąć drzwi... za późno. Otwierał je gwałtownie, a potem, potem...

Nie rozumiem.

Dlaczego nie odeszła? Dlaczego nie spakowała dla nas toreb i nie zniknęła w nocy? Mogliśmy odejść razem. Nie zdecydowała się jednak. Dlaczego? Za bardzo się bała? A może nie chciała

przyznać, że jej rodzina miała rację, że popełniła straszliwy błąd i że wraca z podkulonym ogonem do ich domu?

A może to wypierała, trzymała się nadziei, że sytuacja ulegnie magicznej poprawie? Pewnie tak. Jakkolwiek było, miała wielki talent do ignorowania tego, czego nie chciała widzieć – a co gapiło się jej prosto w twarz.

Też nauczyłem się to robić. Wcześniej nauczyłem się również, by nie chodzić po ziemi, tylko stąpać po sieci niewidzialnych lin wiszących nad nią. Musiałem poruszać się po nich ostrożnie, by się nie zsunąć i nie spaść. Myślę, że pewne aspekty mojej osobowości były ohydne. Miałem do ukrycia potworne sekrety – i nawet ja ich nie znałem.

Znał je za to ojciec. Znał moje grzechy.

I odpowiednio mnie za nie karał.

Nióśł mnie na piętro. Zabierał do łazienki i zamykał drzwi...

Wtedy się zaczynało.

Kiedy teraz wyobrażam sobie tego przerażonego chłopczyka, czy czuję ból smutku? Ukłucie empatii? To tylko dzieciak nieponoszący winy za moje zbrodnie – przerażony, zbolaty. Czy choć przez sekundę jest mi go żal? Współczuję mu jego cierpienia, tego, przez co przechodził?

Nie. Ani trochę.

W moim sercu nie ma litości.

Nie zasługuję na nią.

Veronicę po raz ostatni widziano żywą o osiemnastej, gdy wychodziła z próby *Tragedii księżnej d'Amalfi* w teatrze amatorskiego klubu dramatycznego ADC Theatre. Potem zniknęła bez śladu, a jej ciało znaleziono następnego dnia.

Jak to możliwe?

Jakim cudem zabójca pojawił się znikąd i porwał ją w biały dzień, bez świadków, nie zostawiając żadnego tropu? Mariana mogła wyciągnąć tylko jeden wniosek: Veronica poszła z nim z własnej woli. Szła na śmierć spokojnie, niczego nie utrudniając, bo знаła człowieka, który ją tam prowadził, i ufała mu.

Następnego ranka Mariana postanowiła przyjrzeć się miejscu, w którym widziano Veronicę po raz ostatni. Udała się więc do ADC Theatre przy Park Street.

Budynek teatru był pierwotnie starą karczmą, którą przekształcono w teatr w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Logo wymalowano nad drzwiami czarnymi literami. Na dużej tablicy wisiał plakat zapowiadający najnowsze przedstawienie – *Tragedię księżnej d'Amalfi*. Mariana przypuszczała, że sztuka nie zostanie wystawiona, skoro Veronica miała grać księżną. Podeszła do głównego wejścia. Nacisnęła klamkę. Drzwi okazały się zamknięte. W foyer nie paliło się światło. Zastanawiała się przez chwilę, po czym odwróciła się i skręciła za róg. Za podwójną bramą z kutego żelaza, na dziedzińcu, znajdowały się niegdyś stajnie. Brama okazała się otwarta. Ustąpiła z łatwością i Mariana znalazła się na dziedzińcu. Zobaczyła wejście dla aktorów. Zbliżyła się do drzwi i spróbowała je otworzyć, ale były zamknięte. Rozczarowało ją to i już miała się poddać, lecz przyszła jej do głowy pewna myśl. Spojrzała w stronę wyjścia ewakuacyjnego. Spiralne schody prowadziły do baru na piętrze.

W czasach Mariany bar ADC słynął z tego, że był otwarty do późna. Zdarzało się, że w sobotni wieczór siedzieli tu z Sebastianem aż do zamknięcia, tańczyli i całowali się pijani przy barze.

Zacząła się wspinać po schodach, aż dotarła na sam szczyt i stanęła przed drzwiami ewakuacyjnymi. Bez większej nadziei wyciągnęła rękę i nacisnęła klamkę. Ku jej zdziwieniu drzwi ustąpiły.



Zawahała się. I weszła.

Bar ADC należał do staromodnych barów teatralnych z obitymi aksamitem stołkami barowymi, w których czuć było zapach piwa i woń starego dymu papierosowego.

Światło się nie paliło. Panował tu mrok i Mariana na chwilę się zdekoncentrowała – patrzyła na parę duchów całujących się przy barze.

Wtem aż podskoczyła na dźwięk głośnego uderzenia.

Po chwili usłyszała następne. Cały budynek zdawał się drżeć.

Postanowiła to sprawdzić. Dźwięki płynęły z dołu. Podeszła do wewnętrznych schodów i starając się zachowywać jak najciszej, zaczęła schodzić.

Kolejne łupnięcie.

Dobiegało chyba z widowni. Mariana zatrzymała się u podnóża schodów i nasłuchiwała. Wokół panowała cisza.

Ostrożnie uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

Widownia wydawała się pusta. Na scenie znajdowała się scenografia do *Tragedii księżnej d'Amalfi* – koszmarne wizerunki więzienia w stylu niemieckich ekspresjonistów, z krzywymi ścianami i powyginanymi prętami krat.

Stał tam młody mężczyzna. Po jego nagim torsie spływał pot. Wyglądało na to, że postanowił zniszczyć całą scenografię za pomocą młotka. Gwałtowność jego ruchów budziła niepokój.

Mariana ostrożnie ruszyła przejściem przez widownię i mijając kolejne rzędy pustych czerwonych foteli, dotarła pod scenę. Mężczyzna zauważył ją, dopiero gdy stanęła tuż pod nim. Miał z metr osiemdziesiąt wzrostu, krótkie czarne włosy i tygodniowy zarost. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia jeden lat, ale jego twarz nie sprawiała wrażenia młodej i nie była przyjacielska.

– Kim jesteś? – spytał, patrząc na nią gniewnie.

Mariana postanowiła skłamać.

– Jestem... psychoterapeutką. Pracuję dla policji.

– Aha. Właśnie tu byli.

– No tak. – Akcent chłopaka wydał się Marianie znajomy. – Jesteś Grekiem?

– Czemu pytasz? – Zerknął na nią z zainteresowaniem. – A ty?

Zabawne. Przez ułamek sekundy miała ochotę skłamać. Z jakiegoś powodu nie chciała, by cokolwiek o niej wiedział. Tyle że więcej się dowie, jeśli się okaże, że coś ich łączy.

– W połowie – odparła ze słabym uśmiechem. – Dorastałam w Atenach – dodała po grecku.

Wydawał się zadowolony, słysząc te słowa. Nieco się uspokoił, zapanował trochę nad złością.

– Ja pochodzę z Salonik. Miło mi cię poznać. – Odsłonił w uśmiechu zęby, ostre jak brzytwa. – Pomogę ci wejść. – Gwałtownym ruchem sięgnął po nią i bez trudu wciągnął ją na scenę.

Zachwiała się.

– Dzięki.

– Nazywam się Nikos. Nikos Kouris. A ty?

– Mariana. Studiujesz tu?

– Tak. I jestem za to odpowiedzialny. – Wskazał na zniszczoną scenografię. – Jestem reżyserem. Oglądasz właśnie zniszczenie moich teatralnych ambicji. – Zaśmiał się głucho. – Przedstawienie odwołano.

– Z powodu Veroniki?

Nikos zawył.

– Z Londynu miał przyjechać agent, żeby je obejrzeć. Planowałem to przez całe lato. Wszystko na nic...

Szarpnął wściekle za krawędź ściany. Upadła z łoskotem, aż podłoga zadrżała.

Mariana przyglądała mu się uważnie. Wszystko w nim zdawało się wibrować ze złości; trudno powstrzymywanej złości, jakby mężczyzna w każdej chwili mógł przestać nad nią panować i zaatakować Marianę zamiast scenografii. Raczej ją przerażał.

– Tak się zastanawiałam – odezwała się – czy mogłabym cię zapytać o Veronicę.

– O co?

– Jestem ciekawa, kiedy ją widziałeś po raz ostatni.

– Po próbie kostiumowej. Dałem jej notatki z uwagami. Nie spodobały się jej. Jeśli chcesz znać prawdę, była mierną aktorką. Na pewno nie tak utalentowaną, jak się jej zdawało.

– Rozumiem. A w jakim była nastroju?

– Po tym, jak dostała notatki ode mnie? Kiepskim. – Uśmiechnął się, obnażając zęby.

– O której wyszła? Pamiętasz może?  
– Około szóstej.  
– Powiedziała, dokąd idzie?  
– Nie. – Nikos pokręcił głową i zajął się ustawianiem krzesel jedno na drugim. – Zdaje się, że szła na spotkanie z profesorem.

Mariana przyglądała mu się z bijącym sercem.

– Z profesorem? – zapytała rwącym się głosem.

– Tak. – Nikos wzruszył ramionami. – Nie pamiętam jego nazwiska. Przeszedł obejrzeć próbę kostiumową.

– Jak wyglądał? Potrafisz go opisać?

Nikos myślał przez chwilę.

– Wysoki. Brodaty. Amerykanin. – Zerknął na zegarek. – Co jeszcze chcesz wiedzieć? Bo jestem zajęty.

– To wszystko, dzięki. Mogłabym zajrzeć do garderoby? Nie wiesz, czy Veronica coś tam zostawiła?

– Nie sędzę. Policja wszystko zabrała. Niewiele tego było.

– I tak chciałabym rzucić okiem. Jeśli mogę.

– Śmiało. – Wskazał za kulisy. – Po schodach w dół i na lewo.

– Dzięki.

Nikos przyglądał się jej przez chwilę, jakby coś rozważał. Nic jednak nie powiedział.

Mariana spiesznie weszła za kulisy. Panowały tam ciemności, więc potrzebowała kilku sekund, żeby wzrok się oswoił. Coś kazało jej zerknąć za siebie przez ramię, spojrzeć na scenę. Zobaczyła twarz Nikosa wykrzywioną ze złości. Dalej niszczył scenografię. „Nie lubi, kiedy coś się nie układa po jego myśli” – skonstatowała. Od tego młodego człowieka była prawdziwa wściekłość. Mariana cieszyła się, że mogła się od niego oddalić.

Zeszła szybko po wąskich schodach do garderoby. Było to dość ciasne pomieszczenie, wspólne dla wszystkich aktorów. Wieszaki z kostiumami rywalizowały tu o przestrzeń z perukami, kosmetykami do makijażu, rekwizytami, książkami i toaletkami. Mariana wodziła wzrokiem po tym chaosie – nie sposób było stwierdzić, co należało do Veroniki.

Wątpiła, by dało się tu znaleźć coś przydatnego. A jednak...

Popatrzyła na toaletki. Lustra były ozdobione serduszkami, całuskami i życzeniami powodzenia nabazgranymi szminką. Za ramki powtykano kartki i zdjęcia. Jedna z pocztówek natychmiast przykuła uwagę Mariany. Wyróżniała się na tle innych.

Przyjrzała się jej. Był to obrazek świętej. Przepięknej dziewczyny o długich blond włosach... podobnej do Veroniki. Z jej szyi wystawał srebrny sztylet. Jeszcze większy niepokój budziła taca z dwiema gałkami ocznymi.

Marianie zrobiło się niedobrze. Wyciągnęła drżącą rękę po kartkę. Wyjęła ją z ramki i obróciła.

Jak na poprzedniej kartce, tak i na tej widniał przepisany ręcznie cytat w starożytnej grece:

„ἴδεσθε τὰν Ἰλίου  
καὶ Φρυγῶν ἐλέπτολιν  
στείχουσαν, ἐπὶ κάρᾳ στέφη  
βαλουμένην χερνίβων τε παγᾶς,  
βωμόν γε δαίμονος θεᾶς  
ῥανίσιν αἱματορρύτοις  
χρανοῦσαν εὐφυῆ τε σώματος δέρην  
σφαγεῖσαν”.

Po drugim zabójstwie St. Christopher's College zawładnęła atmosfera szoku i martwoty.

Zupełnie jakby na terenie uczelni panowała zaraza, plaga – choroba rodem z greckiego mitu, która zniszczyła Teby, niewidzialna, przenosząca się w powietrzu trucizna dryfująca po dziedzińcach. Pradawne mury, które niegdyś chroniły przed światem zewnętrznym, już nie zapewniały bezpieczeństwa.

Pomimo protestów dziekana i zapewnień, że nie ma zagrożenia, coraz liczniejsi rodzice zabierali swoje dzieci z college'u. Mariana nie dziwiła się im, podobnie jak nie dziwiła się studentom, którzy chcieli wyjechać. Sama też czuła pokusę, żeby zabrać Zoe do Londynu. Wiedziała jednak, że nie powinna tego sugerować: przyjęto za pewnik, że Zoe zostaje, podobnie jak Mariana.

Śmierć Veroniki dotknęła Zoe szczególnie mocno. Samą ją to zdumiewało. Twierdziła, że czuje się jak hipokrytka.

– Przecież ja jej nawet nie lubiłam – stwierdziła. – Nie wiem, dlaczego nie mogę przestać płakać.

Mariana podejrzewała, że Zoe wykorzystywała śmierć Veroniki jako sposób na wyrażenie żałoby po Tarze, smutku tak przygnębiającego i przerażającego, że nie potrafiła się z nim zmierzyć. Dlatego te łzy były dobre, zdrowe i Mariana powtarzała to szlochającej Zoe, gdy ją tuliła, siedząc na łóżku i kołysząc się z nią w przód i w tył.

– Wszystko dobrze, kochanie. Już dobrze. Poczujesz się lepiej. Wyrzuć to z siebie.

I wreszcie Zoe przestała płakać. Mariana uparła się, że zabierze ją na lunch; przecież dziewczyna od dwudziestu czterech godzin prawie nic nie jadła. Zoe przystała na to, zmęczona, z zaczerwienionymi oczami. W drodze do Hall wpadły na Clarisnę, która zaproponowała, żeby dołączyły do niej przy stole dla kadry.

Stół dla kadry był zarezerwowany wyłącznie dla nauczycieli akademickich i ich gości. Stał w końcu dużej sali, na podwyższeniu pod portretami starych mistrzów wiszącymi na pokrytych dębową boazerią ścianach. W drugim końcu sali znajdował się bufet dla studentów,

obsługiwany przez kelnerów w eleganckich kamizelkach i muszkach. Studenci siedzieli przy długich stołach ustawionych wzdłuż pomieszczenia.

Nie było ich tu wielu. Mariana nie umiała się powstrzymać i patrzyła na tych, którzy wybierając jedzenie, rozmawiali ściszymi głosami i mieli zaleknione twarze. Wszyscy wydawali się równie przybici jak Zoe.

Usiadły z Clarissą przy końcu stołu, daleko od pozostałych nauczycieli. Clarissa z zainteresowaniem studiowała menu. Nie straciła apetytu mimo okropnych wydarzeń.

– Chyba wybiorę bażanta – oznajmiła. – Do tego... może gruszki w winie. Albo pudding toffi.

Mariana spojrzała na siostrzenicę.

– A ty, Zoe?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie jestem głodna.

Clarissa popatrzyła na nią z troską.

– Musisz coś jeść, kochana... Kiepsko wyglądasz. Potrzebujesz jedzenia, żeby dodać sobie sił.

– Co byś powiedziała na gotowanego łososia z warzywami? – zaproponowała Mariana. – Może być?

Zoe wzruszyła ramionami.

– Może.

Kelner przyjął zamówienie. Gdy odszedł, Mariana pokazała im pocztówkę znaną w ADC Theatre.

Clarissa wzięła kartkę i przyjrzała się obrazkowi.

– O ile się nie mylę, to jest święta Łucja.

– Święta Łucja?

– Nie słyszałaś o niej? Chyba rzeczywiście jest mniej znaną świętą. To męczennica z okresu dioklecjańskich prześladowań chrześcijan z przełomu trzeciego i czwartego wieku. Podobno wyłupiła sobie oczy, a potem wbito jej miecz w szyję.

– Biedna Łucja.

– W rzeczy samej. Dlatego jest patronką niewidomych. Często przedstawia się ją w ten sposób, z oczami na tacy. – Clarissa obróciła kartkę i poruszając ustami, bezgłośnie przeczytała wersy napisane greką. – Cóż, tym razem tekst pochodzi z *Ifigenii w Aulidzie* Eurypidesa.

– Co znaczy?

– Fragment opisuje, jak prowadzono Ifigenię na śmierć. – Clarissa pociągnęła łyk wina i zacytowała: – „Jej czoło zdobi już wieniec wkoło. / Warto ci ono, / Iżby je uwieńczono, / Iżby święconą je wodą / Skropiono! / Tę szyję swą młodą / Niebawem pono / Skrwawioną złoży / W świątyni bożej”<sup>7</sup>.

Marianie zrobiło się niedobrze.

– Chryste Panie.

– No, nie było to apetyczne, bez dwóch zdań.

Clarissa oddała pocztówkę Marianie, która zerknęła na Zoe.

– Jak myślisz? Mógł to przysłać profesor Fosca?

– Profesor Fosca? – upewniła się Clarissa i patrzyła zaskoczona, jak Zoe studiuje kartkę. – Chyba nie sugerujesz... Nie myślisz chyba, że profesor...

– Fosca ma grupę swoich ulubionych studentek. Wiedziałaś o tym, Clarisso? – Mariana kątem oka obserwowowała Zoe. – Spotykają się... potajemnie. Nazywa je Boginiami.

– Boginiami? – powtórzyła Clarissa. – Nie słyszałam. Może to jakieś nawiązanie do Apostołów?

– Czyli?

– Tajnego stowarzyszenia literackiego Tennysona. To tam Tennyson poznał Hallama.

Mariana wpatrywała się w profesorkę. Dopiero po sekundzie odzyskała głos.

– Może – zgodziła się.

– Oczywiście wszyscy Apostołowie byli mężczyznami. Przypuszczam, że do Bogiń mogą należeć wyłącznie kobiety?

– Zgadza się. Należały do nich Tara i Veronica. Nie sądzisz, że to dziwny zbieg okoliczności? Zoe? Co ty o tym myślisz?

Zoe wyglądała na zakłopotaną. Niemniej przytaknęła, zerkając na Clarissę.

– Szczerze mówiąc, uważam, że on zrobiłby właśnie coś takiego. Wysłałby taką kartkę.

– Dlaczego tak mówisz?

– Profesor jest staromodny. To znaczy wysyła kartki. Często przesyła ręcznie napisane liściki. W ubiegłym semestrze miał wykład na temat wagi listów jako formy sztuki... Wiem, że to niczego nie dowodzi.

– Nie? – odezwała się Mariana. – Nie byłabym taka pewna.

Clarissa postukała w pocztówkę.



– A co to twoim zdaniem znaczy? Nie... Nie rozumiem, czemu by to miało służyć.

– To jest gra. On oznajmia swoje zamiary, rzuca wyzwanie... podoba mu się to. – Mariana uważnie dobierała słowa. – I jest coś jeszcze... czego może sobie nawet nie uświadamiać. Nie bez powodu wybrał właśnie te cytaty. One coś dla niego znaczą.

– W jakim sensie?

– Nie wiem. Nie rozumiem... Ale musimy to rozgryźć. Tylko w ten sposób go powstrzymamy.

– Mówiąc o nim, masz na myśli Edwarda Fosce?

– Możliwe.

Clarissa wyglądała na mocno zaniepokojoną. Pokręciła głową, ale nie powiedziała nic więcej. Mariana w milczeniu przyglądała się pocztówce.

Podano jedzenie. Clarissa zajęła się lunchem, a Mariana poświęciła uwagę Zoe, aby mieć pewność, że dziewczyna zje cokolwiek.

Do końca posiłku nie wspomniały już o Edwardzie Fosce. Niemniej Mariana wciąż o nim myślała – tkwił w ciemnym zakątku jej umysłu niczym nietoperz w jaskini.

Po lunchu Mariana i Zoe wybrały się na drinka.

W barze było o połowę studentów mniej niż zwykle i zdecydowanie ciszej. Mariana spostrzegła siedzącą samotnie Serenę. Dziewczyna ich nie zauważyła.

Zoe zamówiła dwa kieliszki wina, Mariana zaś podeszła do końca baru, przy którym przycupnęła Serena. Dziewczyna dopijała dżin z tonikiem i pisała esemesa.

– Cześć – odezwała się Mariana.

Serena podniosła wzrok i zaraz wróciła do telefonu, nie odpowiedziałyszy.

– Jak się masz, Sereno?

Żadnego odzewu. Mariana zerknęła na Zoe, żeby ta jej pomogła. Siostrzenica wykonała gest, jakby coś piła. Mariana potaknęła.

– Mogę ci postawić drinka?

Serena pokręciła głową.

– Nie. Niedługo muszę wyjść.

Mariana się uśmiechnęła.

– Tajemniczy wielbiciel?

Nie powinna była tego mówić. Serena zaatakowała ją zaskakująco żywiołowo.

– Z czym ty masz problem, do cholery?

– Słucham?

– Co ty masz do profesora Foski? To jakaś obsesja czy co? Co nagadałaś o nim policji?

– Nie wiem, o czym mówisz.

W duchu poczuła ulgę, że inspektor Sangha potraktował ją dość poważnie, by przesłuchać Foskę.

– O nic go nie oskarżyłam – dodała. – Zasugerowałam tylko, żeby zadali mu kilka pytań.

– No to zadali. Całkiem sporo. I mnie też. Zadowolona?

– Co im powiedziałaś?

– Prawdę. Że w chwili śmierci Veroniki w środę wieczorem byłam z profesorem. Miałam z nim zajęcia. Okej?

– I nie wychodził? Nawet na papierosa?

– Nawet na papierosa.

Serena popatrzyła na Marianę lodowato. Zdekoncentrował ją esemes, którego dostała. Przeczytała go i się podniosła.

– Muszę iść.

– Poczekaj. Sereno. – Mariana ściszyła głos. – Proszę, żebyś bardzo uważała. Okej?

– Pierdol się. – Serena chwyciła torbę i wyszła.

Mariana westchnęła. Zoe usiadła na stołku zwolnionym przez koleżankę.

– Nie poszło ci najlepiej.

– Nie. – Mariana pokręciła głową. – Nie poszło.

– Co teraz?

– Nie wiem.

– Skoro profesor Fosca był z Sereną, kiedy zamordowano Veronicę, to nie mógł tego zrobić.

– Chyba że Serena kłamie – zauważyła Mariana.

– Naprawdę myślisz, że skłamałaby dla niego? Dwukrotnie? – Zoe popatrzyła na nią z powątpiewaniem i wzruszyła ramionami. – No nie wiem. Mariano...

– Słucham?

Zoe uciekała wzrokiem. Przez chwilę się nie odzywała.

– Twój stosunek do niego jest... dziwny.

– Co przez to rozumiesz?

– Profesor ma alibi w przypadku obydwu zabójstw, a ty mimo to nie odpuszczasz. Chodzi o niego czy o ciebie?

– O mnie? – Mariana nie wierzyła własnym uszom. Czuła, że policzki czerwienieją jej z oburzenia. – O czym ty mówisz?

Zoe pokręciła głową.

– Nieważne.

– Jeżeli chcesz mi coś powiedzieć, to po prostu powiedz.

– To nie ma sensu. Widzę, że im bardziej chcę cię odwieść od zajmowania się Foską, tym bardziej się opierasz. Jesteś uparta.

– Nie jestem.

Zoe się zaśmiała.

– Sebastian twierdził, że jesteś najbardziej upartą osobą, jaką znał.

– Nigdy mi tego nie powiedział.

– A mnie tak.

– Nie rozumiem, co się tutaj dzieje, Zoe. Nie rozumiem, co próbujesz mi powiedzieć. O co chodzi z Foską?

– Ty mi powiedz.

– Słucham? On mi się nie podoba, jeśli to sugerujesz!

Zdawała sobie sprawę, że podniosła głos; kilkoro studentów w barze usłyszało ją i spojrzano w jej stronę. Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, ona i Zoe balansowały na krawędzi kłótni. Mariana poczuła irracjonalny gniew. Dlaczego?

Przez chwilę na siebie patrzyły. Zoe wycofała się pierwsza.

– Zapomnij – rzuciła, kręcąc głową. – Przepraszam, bzdury wygaduję.

– Ja też cię przepraszam.

Zoe zerknęła na zegarek.

– Muszę iść. Mam zajęcia z *Raju utraconego*.

– No to leć.

– Spotkamy się przy kolacji?

– Och... – Mariana się zawahała. – Nie mogę. Jestem umówiona...

Nie chciała mówić Zoe o kolacji z profesorem Foską – nie teraz. Zoe dopatrywałaby się w tym mnóstwa rzeczy, które nie istniały.

– ...ze znajomym.

– Z kim?

– Nie znasz. Dawny kolega ze studiów. Powinnaś zmykać, bo się spóźnisz.

Zoe cmoknęła Marianę w policzek, a Mariana ścisnęła ją za ramię.

– Ty też uważaj. Dobrze?

– Mam nie wsiadać do samochodu nieznajomego mężczyzny?

– Nie wygłupiaj się. Nie żartuję.

– Umiem się o siebie zatroszczyć, Mariano. Nie boję się.

I właśnie ta nuta brawury zmartwiła Marianę najbardziej.

Po wyjściu Zoe Mariana siedziała jeszcze jakiś czas przy barze, bawiąc się winem w kieliszku. Odtwarzała w myślach ich rozmowę.

A jeśli Zoe miała rację? Jeśli Fosca był niewinny?

Miał alibi w przypadku obydwu zabójstw, a mimo to Mariana utkała wokół niego sieć podejrzeń, chwytając tylko kilka nici... w zasadzie czego? Nawet nie faktów. Nie miała nic konkretnego. Uczepiła się drobiazgów: strachu malującego się w oczach Zoe, tego, że Fosca prowadził zajęcia poświęcone greckiej tragedii, w których uczestniczyły Tara i Veronica, jak również podejrzenia, że to on był nadawcą pocztówek.

Intuicja podpowiadała jej też, że ten, kto wysłał studentkom te kartki, jest mordercą. I chociaż komuś takiemu jak inspektor Sangha mogło się to wydawać irracjonalnym skrótem myślowym czy nawet urojeniem, Mariana jako terapeutka często musiała się opierać wyłącznie na intuicji. Wydawało się jednak nieprawdopodobne, by profesor uniwersytecki mordował swoje studentki w tak potworny, niemal publiczny sposób i liczył, że ujdzie mu to na sucho.

Mimo to... jeśli miała rację... Fosce uszło to na sucho.

A jeśli się myliła?

Musiała to przemyśleć, lecz nie była w stanie. W głowie miała mętlik, bynajmniej nie z powodu wina. Czowała się przytłoczona, coraz mniej pewna siebie. Nie miała pojęcia, jak powinien wyglądać jej kolejny ruch.

Nakazała sobie spokój. „Gdybym pracowała z pacjentem i tak bym się czuła, tak całkowicie zagubiona, co bym zrobiła?”.

Odpowiedź przyszła natychmiast. Poprosiłaby oczywiście o pomoc. O superwizję. To nie był zły pomysł. Spotkanie z superwizorką mogło tylko pomóc. Wyrwanie się stąd, wyjazd do Londynu, ucieczka z college'u i jego trującej atmosfery, choćby na kilka godzin, mogły przynieść natychmiastową ulgę. „Tak – postanowiła. – Tak właśnie zrobię. Zadzwonię do Ruth i zobaczę się z nią jutro w Londynie”.

Najpierw jednak czekało ją spotkanie w Cambridge.

O ósmej miała zjeść kolację z Edwardem Foską.

O dwudziestej Mariana stanęła przed mieszkaniem Foski.

Wpatrywała się w imponujące masywne drzwi. Na czarnej tabliczce wykaligrafowano białymi literami „Profesor Edward Fosca”.

Usłyszała muzykę klasyczną płynącą z wnętrza. Zapukała.

Nic.

Zapukała ponownie, głośniej. Przez chwilę nikt nie odpowiadał, a potem...

– Otwarte – rzucił głos z oddali. – Zapraszam na górę.

Mariana wciągnęła powietrze, uspokoiła się i otworzyła drzwi. Zobaczyła schody z wiązu: stare, strome i nierówne tam, gdzie drewno się wypaczyło. Musiała uważać, wchodząc po nich.

Muzyka stała się głośniejsza. Była to śpiewana po łacinie kantata lub psalm z podkładem muzycznym. Już kiedyś gdzieś to słyszała, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Utwór piękny, ale złowieszczy, o rytmie pulsującym jak serce, ironicznie naśladującym tętno przestraszonej Mariany wspinającej się po schodach.

Drzwi na górze stały otworem. Przekroczyła próg. Pierwszą rzeczą, która rzuciła się jej w oczy, był duży ozdobny krzyż wiszący w przedpokoju. Wspaniałe – wykonane z ciemnego drewna, gotycki, misternie rzeźbiony – ale jego rozmiar podziałał na Marianę onieśmielająco, więc szybko go minęła.

Weszła do salonu. Trudno było tu cokolwiek zobaczyć, bo jedynym źródłem światła były do połowy wypalone pokrzywione świece ustawione tu i ówdzie. Potrzebowała kilku sekund, żeby jej wzrok przystosował się do tego posępnego mroku, gęstego od dymu kadzideł, który dodatkowo mącił światło świec i utrudniał widzenie.

Pokój był duży, z widokiem na dziedziniec. Kilkoro drzwi prowadziło stąd do innych pomieszczeń. Na ścianach wisiały obrazy i półki wypełnione książkami. Wzór liści, powtarzający się na tapecie w kolorach ciemnej zieleni i czerni, wywoływał niepokój – Mariana poczuła się jak w dżungli.

Na półce nad kominkiem i na stolikach stały rzeźby i ozdobne drobiazgi: ludzka czaszka połyskująca w mroku i mały posążek Pana ze zmierzwionymi włosami, kopytami, rogami i kozim ogonem, ściskającego bukłak z winem. Obok niego leżała sosnowa szyszka.

Nagle Mariana nabrała pewności, że ktoś ją obserwuje – poczuła na plecach czyjeś spojrzenie. Odwróciła się.

Stał przed nią Edward Fosca. Nie słyszała, jak wchodził. Przez cały czas obserwował ją z cienia?

– Dobry wieczór – powiedział.

Jego ciemne oczy i białe zęby lśniły w świetle świec, a włosy opadały w nieładzie na ramiona. Miał na sobie czarną wieczorową marynarkę, białą koszulę i czarną muszkę. Mariana pomyślała, że prezentuje się nadzwyczaj przystojnie – i natychmiast się na siebie rozżłościła z powodu tej myśli.

– Nie wiedziałam, że będziemy jedli przy stole dla kadry.

– Nie będziemy.

– Ale ubrał się pan elegancko...

– Ach. – Fosca zerknął na swoje ubranie i się uśmiechnął. – Nieczęsto mam okazję jeść posiłek z tak piękną kobietą. Uznałem, że się wystroję z tej okazji. Podam pani coś do picia.

Nie czekając na odpowiedź, wyjął ze srebrnego wiaderka z lodem otwartą butelkę szampana. Uzupełnił swój kieliszek, po czym nalał kieliszek dla Mariany.

– Dziękuję – powiedziała, przyjmując trunek.

Edward Fosca przez chwilę się jej przyglądał; jego ciemne oczy ją oceniały.

– Za nas – wzniósł toast.

Mariana go nie powtórzyła. Przytknęła kieliszek do ust i pociągnęła łyk szampana. Musował i był wytrawny, orzeźwiający. Smakował jej i miała nadzieję, że ją uspokoi. Wypiła kolejny łyk.

Ktoś zapukał do drzwi na dole. Fosca się uśmiechnął.

– Ach. To Greg.

– Greg?

– Ze stołówki.

Rozległy się szybkie kroki i Gregory, poruszający się zręcznie gibki kelner w kamizelce i muszce, pojawił się w drzwiach z pudłem termicznym w jednej i przenośną lodówką w drugiej ręce. Uśmiechnął się do Mariany.

– Dobry wieczór. – Zerknął na profesora. – Mam podawać?

– Jak najbardziej. – Fosca potaknął. – Śmiało. Proszę wystawiać potrawy. Obsłużę nas.

– Doskonale, proszę pana – powiedział mężczyzna i zniknął w jadalni.

Mariana spojrzała na Foscę pytająco, a on się uśmiechnął.

– Zależało mi na większej prywatności niż w sali jadalnej. Kiepski jednak ze mnie kucharz, więc przekonałem stołówkę, żeby przyszła do nas.

– Jak pan tego dokonał?

– Za sprawą bardzo okazałego napiwku. Nie przypochlebię się pani, wyjawiając jego wysokość.

– Zadał pan sobie sporo trudu, profesorze.

– Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Cała przyjemność po mojej stronie, Mariano.

Patrzył na nią w milczeniu, uśmiechając się. Mariana poczuła się skrępowana i odwróciła wzrok. Przeniosła go na stolik kawowy i... sosnową szyszkę.

– Co to jest?

Fosca podążył za jej spojrzeniem.

– Masz na myśli szyszkę? Nic takiego. Przypomina mi o domu. Dlaczego pytasz?

– Chyba zapamiętałam z wykładu o Eleusis slajd przedstawiający sosnową szyszkę.

– W rzeczy samej. Każdy wtajemniczony dostawał taką przy wejściu.

– Rozumiem. A dlaczego sosnową?

– Nie chodzi o szyszkę sosnową jako taką, ale o to, co symbolizuje.

– Czyli?

Uśmiechnął się i znowu przyglądał się jej przez moment.

– Chodzi o nasiona znajdujące się w środku. I nasiono w nas, ducha w ciele. O otwarciu umysłu. Skupione wejrzenie w głąb i znalezienie własnej duszy. – Fosca sięgnął po szyszkę. Podał ją Marianie. – Daję ci ją w prezencie. Jest twoja.

– Nie, dziękuję. – Pokręciła głową. – Nie chcę jej – powiedziała ostrzej, niż zamierzała.

– Rozumiem.

Fosca posłał jej rozbawiony uśmiech. Odłożył szyszkę na stolik. Milczeli. Po chwili pojawił się Greg.

– Wszystko gotowe, proszę pana. Pudding wstawiłem do lodówki.

– Dziękuję.

– Dobranoc. – Kelner ukłonił się Marianie i wyszedł.

Słyszała, jak schodzi po schodach i zamyka drzwi.

Zostali sami.



W milczeniu i napięciu przyglądali się sobie nawzajem. Przynajmniej Mariana czuła napięcie; nie umiała odczytać emocji Foski, tego, co kryło się pod spokojną, czarującą powierzchownością. Mężczyzna nie dawał się rozszyfrować.

Wskazał w stronę sąsiedniego pokoju.

– Idziemy?

W ciemnej jadalni wyłożonej boazerią stał długi stół przykryty białym lnianym obrusem, płonęły długie świece w srebrnych świecznikach. Czerwone wino zostało przelane z butelki do karafki i czekało na kredensie.

Za stołem znajdowało się okno. Widać było przez nie rosnący na środku dziedzińca dąb na tle ciemniejszego nieba; pomiędzy gałęziami migotały gwiazdy. Mariana pomyślała, że w każdej innej sytuacji kolacja w tym pięknym pokoju byłaby nadzwyczaj romantyczna. Lecz nie teraz.

– Usiądźmy – zaproponował Fosca.

Mariana podeszła do stołu. Dwa nakrycia ułożono naprzeciwko siebie. Usiadła, a Fosca podszedł do kredensu, na którym umieszczono potrawy: udziec jagnięcy, pieczone ziemniaki i sałatę.

– Ładne zapachy – stwierdził gospodarz. – Wierz mi, że jedzenie będzie o wiele lepsze, niż gdybym próbował przyrządzić je sam. Mam dość wyrafinowane podniebienie, ale w kuchni radzę sobie na poziomie podstawowym. Znam tylko zwyczajne przepisy na makarony, które matka przekazała synowi.

Uśmiechnął się do Mariany i sięgnął po duży nóż. Stał błysnęła w świetle świecy. Mariana patrzyła, jak Fosca szybko i wprawnie kroi jagnięcinę.

– Jesteś Włochem? – zapytała.

Przytaknął.

– Amerykaninem w drugim pokoleniu. Dziadkowie przyплыnęli do Ameryki z Sycylii.

– Dorastałeś w Nowym Jorku?

– Niezupełnie. W stanie Nowy Jork. Na farmie w zapadłej wsi.

Fosca nałożył Marianie kilka plastrów jagnięciny, ziemniaki i sałatę. Przygotował podobną porcję dla siebie.

– A ty dorastałaś w Atenach?

– Tak. Na obrzeżach.

– Jakie to egzotyczne. Zazdroszczę.

Mariana się uśmiechnęła.

– Mogłabym powiedzieć to samo o farmie w stanie Nowy Jork.

– Nie gdybyś tam mieszkała. Nie mogłem się doczekać, kiedy się wyrwę.

– Uśmiech Foski zbladł przy tych słowach i jego twarz się zmieniła. Wyglądał surowiej. I starzej. Postawił talerz przed Marianą, przeszedł ze

swoim na drugą stronę stołu i usiadł. – Lubię krwistą jagnięcinę. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.

– Nie.

– Smacznego.

Mariana popatrzyła na jedzenie przed sobą. Cieniuteńkie plastry jagnięciny były tak krwiste, że tworzyła się wokół nich lśniąca czerwona kałuża, która rozlewała się na białej porcelanie. Marianie zrobiło się niedobrze na ten widok.

– Dziękuję, że zgodziłaś się zjeść ze mną kolację, Mariano. Jak już wspomniałem w ogrodzie, intrygujesz mnie. Zawsze intryguje mnie ktoś, kto się mną interesuje. A ty robisz to ponad wszelką wątpliwość. – Zachichotał. – Tego wieczoru mam okazję się odwzajemnić.

Mariana wzięła do ręki widelec. Nie mogła się jednak zmusić do zjedzenia mięsa. Jadła więc ziemniaki i sałatę, odsuwając zielone liście od rozrastającej się kałuży krwi. Czowała na sobie spojrzenie Foski. Patrzył na nią chłodno, jak bazyli szek.

– Nie skosztowałaś jagnięciny. Nie zjesz jej?

Skinęła głową. Odkroiła kawałek czerwonego mięsa i wsunęła do ust. Było mokre i miało metaliczny smak. Z wysiłkiem je pogryzła i połknęła.

Fosca się uśmiechnęła.

– Dobrze.

Mariana sięgnęła po kieliszek. Zmyła posmak krwi resztką szampana.

Fosca, spostrzegłszy, że kieliszek jest pusty, wstał.

– Napijemy się wina?

Podszedł do kredensu i nalał im rubinowego bordeaux. Podał trunek Marianie. Przysunęła kieliszek do ust i napiła się. Wino miało ziemisty aromat, chropawy i pełny. Odczuwała już działanie szampana wypitego na pusty żołądek; powinna przestać pić, bo się upije. Nie przestała jednak.

Fosca znowu usiadł i przyglądał się jej z uśmiechem.

– Opowiedz mi o swoim mężu.

Mariana pokręciła głową.

– Nie.

Wydawał się zaskoczony.

– Nie? Dlaczego?

– Nie chcę.

– Nie powiesz nawet, jak miał na imię?

– Sebastian – odparła cicho.

I jakimś cudem samo wypowiedzenie jego imienia sprowadziło go do niej na sekundę – jej anioła stróża – a ona poczuła się bezpieczniej, uspokoiła się. Sebastian szepnął jej do ucha: „Nie bój się, kochanie. Broń się. Nie bój się...”.

Postanowiła pójść za jego radą. Podniosła wzrok i spojrzała Fosce prosto w oczy, nie mrugając.

– Niech pan opowie o sobie, profesorze.

– Edwardzie. A co chciałabyś wiedzieć?

– Opowiedz o swoim dzieciństwie.

– O dzieciństwie?

– Jaka była twoja matka? Kochałeś ją?

Parsknął śmiechem.

– Matka? Co to, psychoanaliza podczas kolacji?

– Ciekawi mnie to – odparła Mariana. – Zastanawiam się, czego jeszcze cię nauczyła oprócz przyrządzania makaronu.

Fosca pokręcił głową.

– Niestety, nie nauczyła mnie prawie niczego. A twoja? Jaka była twoja matka?

– Nie znałam jej.

– Rozumiem. Ja swojej chyba też tak naprawdę nie znałem. – Przez chwilę przyglądał się Marianie w zadumie.

Widziała, że intensywnie myśli. Miał naprawdę błyskotliwy umysł. Ostry jak brzytwa. Będzie musiała mieć się na baczności. Przybrała swobodny ton.

– Czym jest szczęśliwe dzieciństwo?

– Widzę, że postanowiłaś przekształcić to spotkanie w sesję terapeutyczną.

– To nie terapia, tylko rozmowa.

– Rozmowa to wymiana dwustronna, Mariano. – Uśmiechnął się i czekał.

Dostrzegła, że nie ma wyboru, i podniosła rękawicę.

– Nie miałam zbyt szczęśliwego dzieciństwa – powiedziała. – Możliwe, że zdarzały się chwile szczęścia. Kochałam ojca bardzo, ale...

– Ale co?

Mariana wzruszyła ramionami.

– Było za dużo śmierci.

Przez moment patrzyli sobie w oczy. Fosca powoli pokiwał głową.

– Widzę to w twoim spojrzeniu. Jest w nim wielki smutek. Kojarzysz mi się z bohaterką Tennysona z wiersza *Mariana*. „Nie przyszedł on, daleki! O, gdybyż spokój snu ogarnął mnie na wieki”<sup>8</sup>. – Uśmiechnął się.

Mariana odwróciła wzrok, bo poczuła się obnażona. I zła. Sięgnęła po wino. Wypiła zawartość kieliszka. Potem spojrzała na gospodarza.

– Twoja kolej, profesorze.

– Dobrze. – Fosca pociągnął łyk trunku. – Czy byłem szczęśliwym dzieckiem? – Pokręcił głową. – Nie byłem.

– Dlaczego?

Nie od razu odpowiedział. Wstał i poszedł po wino. Uzupełnił kieliszek Mariany.

– Mam być szczery? Ojciec był bardzo brutalnym człowiekiem. Żyłem w strachu o życie swoje i matki. Wiele razy widziałem, jak źle ją traktował.

Mariana nie spodziewała się tak otwartego wyznania. I chociaż w tych słowach pobrzmiewała prawda, nie było w nich cienia emocji. Zupełnie jakby profesor nic nie czuł.

– Przykro mi – rzekła. – To straszne.

Wzruszył ramionami. Przez chwilę milczał, stojąc, po czym znowu usiadł.

– Masz swoje sposoby na to, by coś z człowieka wyciągnąć, Mariano. Widzę, że jesteś dobrą terapeutką. Mimo że nie miałem zamiaru się przed tobą odsłaniać, zdołałaś ściągnąć mnie na kozetkę. Terapeutyczną – dodał z uśmiechem.

Mariana się zawahała.

– Czy byłeś kiedyś żonaty?

Zaśmiał się.

– Niezły tok rozumowania. Przenosimy się z kozetki do łóżka? – Z uśmiechem pociągnął kolejny łyk wina. – Nie, nie byłem żonaty. Nie spotkałem nigdy właściwej kobiety. – Wpatrywał się w nią. – Jeszcze nie.

Nie odpowiedziała. A on patrzył dalej. Natarczywie, intensywnie, przeciągle. Czuła się jak zając w świetle reflektorów. Przypomniało jej się słowo, którego użyła Zoe: „oszołomiona”. W końcu nie mogła tego dłużej znieść i spuściła wzrok, czym chyba go rozbawiła.

– Jesteś piękną kobietą – dotarł do niej jego głos – ale masz w sobie coś więcej niż urodę. Masz pewną cechę, którą można by nazwać bezruchem. Jak w głębi oceanu, głęboko pod falami, gdzie nic się nie porusza. Panuje tam wielki spokój... i ogromny smutek.

Mariana milczała. Nie podobało się jej, dokąd zmierza ta rozmowa; czuła, że traci przewagę, jeśli w ogóle ją miała. Była też lekko wstawiona i nieprzygotowana na nagłą zmianę tematu z romantycznego na zabójstwo.

– Dzisiaj rano – powiedział Fosca – odwiedził mnie inspektor Sangha. Chciał wiedzieć, gdzie byłem w chwili śmierci Veroniki. – Popatrzył na Marianę, być może chcąc poznać jej reakcję.

Nic po sobie nie pokazała.

– I co powiedziałaś?

– Prawdę. Że miałem lekcję z Sereną w moim mieszkaniu. Zasugerowałem, żeby inspektor porozmawiał z nią, jeśli mi nie wierzy.

– Rozumiem.

– Zadawał mi mnóstwo pytań. Ostatnie dotyczyło ciebie. Wiesz, o co spytał?

Mariana pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia.

– Zastanawiał się, skąd takie uprzedzenie wobec mnie. Czym sobie na nie zasłużyłem.

– I co powiedziałaś?

– Że nie mam pojęcia, ale cię zapytam. – Uśmiechnął się. – I właśnie pytam. O co chodzi, Mariano? Prowadzisz kampanię przeciwko mnie od chwili śmierci Tary. A gdybym ci powiedział, że jestem niewinnym człowiekiem? Chętnie bym ci służył i został twoim kozłem ofiarnym, ale...

– Nie jesteś moim kozłem ofiarnym.

– Nie? Outsider, Amerykanin z klasy robotniczej w elitarnym świecie angielskich akademików? Wyróżniam się.

– Raczej nie. Powiedziałabym, że wpasowujesz się nadzwyczaj dobrze.

– Staram się naturalnie z całych sił, ale chodzi o to, że choć Anglicy mogą być o wiele subtelniejsi od Amerykanów, jeśli chodzi o ksenofobię, zawsze będę cudzoziemcem, a przez to będę budził podejrzliwość. – Przeszywał Marianę intensywnym wzrokiem. – Podobnie jak ty. Też nie jesteś tutaj u siebie.

– Nie rozmawiamy o mnie.

– Ależ rozmawiamy. Jesteśmy jednym i tym samym.

Ściągnęła brwi.

– Nie jesteśmy. Ani trochę.

– Och, Mariano. – Zaśmiał się. – Chyba nie wierzysz, że morduję swoje studentki? To absurd. Co nie znaczy, że kilka by na to nie zasługiwało. –

Znowu się zaśmiał, i to tak, że Marianie dreszcz przebiegł po plecach.

Patrzyła na niego z poczuciem, że oto ujrzała, kim on naprawdę jest: człowiekiem bezdusznym, sadystycznym, całkowicie nieczułym. Wiedziała, że wkracza na niebezpieczne terytorium, ale wino dodało jej śmiałości i uczyniło nierozważną, a taka szansa może się więcej nie powtórzyć. Ostrożnie dobierała słowa.

– Więc chciałabym się dowiedzieć, jaki twoim zdaniem jest ten ktoś, kto je zabił.

Fosca popatrzył na nią, jakby zaskoczyła go tym pytaniem. Pokiwał jednak głową.

– Tak się składa, że się nad tym zastanawiałem.

– Nie wątpię.

– Pierwszą rzeczą, która mnie uderza, jest religijna natura tych zabójstw. To jasne. Sprawcą jest człowiek uduchowiony. A przynajmniej tak siebie widzący.

Mariana przypomniała sobie krzyż w przedpokoju. „Jak ty” – pomyślała.

Fosca napił się wina i mówił dalej:

– Te morderstwa nie są przypadkowymi atakami. Policja chyba jeszcze na to nie wpadła. Są to akty składania ofiary.

Mariana spojrzała na niego ostro.

– Składania ofiary?

– Zgadza się. To jest rytuał ponownych narodzin i zmartwychwstania.

– Nie widzę w nich elementu zmartwychwstania. Tylko śmierć.

– To zależy od tego, jak na to spojrzeć. – Uśmiechnął się. – I powiem ci coś jeszcze. To jest showman. Uwielbia występować.

„Jak ty” – przyszło jej znowu do głowy.

– Te zabójstwa kojarzą mi się z tragedią zemsty – dodał. – Brutalność i zgroza mają szokować i bawić.

– Bawić?

– W ujęciu teatralnym.

Uśmiechał się. Mariana zaś nagle zapragnęła znaleźć się jak najdalej od niego. Odsunęła talerz.

– Dziękuję, skończyłam.

– Na pewno nie chcesz więcej?

– Na pewno.

Profesor Fosca zaproponował, żeby na kawę i deser przeszli do salonu, więc Mariana niechętnie ruszyła za nim do sąsiedniego pokoju. Gospodarz wskazał na dużą ciemną kanapę przed kominkiem.

– Zechcesz usiąść?

Mariana nie miała ochoty siadać tak blisko niego – nie czuła się przy nim bezpiecznie. Przyszła jej do głowy pewna myśl. Skoro ona była tak skrzępowana w jego towarzystwie sam na sam, jak mogła się czuć osiemnastolatka? Pokręciła głową.

– Jestem zmęczona. Chyba zrezygnuję z deseru.

– Nie wychodź. Jeszcze nie. Pozwól mi zrobić kawę. – I zanim Mariana zdążyła zaproponować, Fosca wyszedł z pokoju i zniknął w kuchni.

Miała ochotę uciec, wynieść się stąd do diabła. Czuła się zamroczone i sfrustrowana – i była zła na siebie. Nic nie osiągnęła. Nie odkryła nic nowego, nic, o czym już by nie wiedziała. Powinna wyjść, zanim Fosca wróci, żeby nie musieć znosić jego zalotów albo i czegoś gorszego.

Rozważając, co ma zrobić, wodziła wzrokiem po pokoju. Zatrzymała go na stosie książek na stoliku kawowym. Przyjrzała się tomowi leżącemu na wierzchu. Przekrzywiła głowę, by przeczytać tytuł.

Eurypides, *Tragedie*.

Zerknęła przez ramię w stronę kuchni. Ani śladu Foski. Podeszła szybko do stolika i podniosła książkę. Otworzyła ją w miejscu, z którego wystawała skórzana zakładka. Była to scena z *Ifigenii w Aulidzie*. Na jednej stronie znajdował się przekład angielski, na drugiej tekst oryginalny w grece. Kilka wersów podkreślono. Mariana natychmiast je rozpoznała. To były te same słowa, które wysłano Veronice:

ἴδεσθε τὰν Ἰλίου  
καὶ Φρυγῶν ἑλέπτολιν  
στείχουσαν, ἐπὶ κάρᾳ στέφῃ  
βαλουμένην χερνίβων τε παγᾶς,  
βωμόν γε δαίμονος θεᾶς  
ῥανίσιν αἱματορρύτοις  
χρονοῦσαν εὐφυῆ τε σώματος δέρην



σφαγεῖσσαν .

– Co oglądasz?

Mariana podskoczyła – jego głos dobiegł tuż zza jej pleców. Zamknęła głośno książkę i odwróciła się do niego z wymuszonym uśmiechem.

– Nic takiego. Po prostu się rozglądam.

Fosca podał jej filiżankę espresso.

– Proszę.

– Dziękuję.

Zerknął na książkę.

– Eurypides, jak mogłaś się już domyślić, jest moim ulubionym autorem. Myślę o nim jak o starym przyjacielu.

– Tak?

– Tak. To jedyny tragediopisarz mówiący prawdę.

– Prawdę? O czym?

– O wszystkim. O życiu, o śmierci. O niewiarygodnym okrucieństwie człowieka. Opowiada o tym bez ogródek.

Fosca sączył kawę, wpatrując się w Marianę. A kiedy ona spojrzała w jego czarne oczy, wyzbyła się wszelkich wątpliwości.

Była absolutnie pewna, że patrzy w oczy zabójcy.

## Część czwarta

Kiedy zatem pojawia się człowiek, który podobnie mówi i podobnie się zachowuje jak ojciec, wtedy nawet dorosły zapomina o swoich demokratycznych prawach lub nie chce robić z nich użytku, pozwoli mu sobą manipulować, będzie mu wiwatować, obdarzy go zaufaniem, a w końcu całkowicie mu się powierzy, nie dostrzegając swojego zniewolenia, tak jak nie dostrzega się niczego, co oznacza jedynie przedłużenie własnego dzieciństwa<sup>9</sup>.

Alice Miller, *Zniewolone dzieciństwo: ukryte źródła tyranii*

Bo Męza oznaczała dziecina maleńka,  
Tak jak nam Dzień oznacza śmiechliwa Jutrzenka<sup>10</sup>.

John Milton, *Raj odzyskany*

Śmierć i to, co po niej następuje, zawsze bardzo mnie interesowało.

Przypuszczam, że od czasu Rexa.

Rex to moje najwcześniejsze wspomnienie. Był przepięknym stworzeniem, czarno-białym psem pasterskim. Najlepszym zwierzęciem na świecie. Znosił to, że ciągnąłem go za uszy i próbowałem na nim siadać, znosił wszystkie tortury, jakie może zadawać psu raczkujący dzieciak, i merdał ogonem, kiedy się do niego zbliżałem; zawsze witał mnie z miłością. Dawał mi lekcję przebaczenia - nie jedną, ale raz za razem.

I nauczył mnie czegoś nie tylko o przebaczeniu, ale i o śmierci.

Gdy miałem prawie dwanaście lat, Rex zaczął się starzeć i trudno mu było nadążyć za owcami. Matka zasugerowała, żeby przeszedł na emeryturę i żeby jego miejsce zajął młodszy pies.

Wiedziałem, że ojciec nie lubił Rexa - czasem podejrzewałem, że go nienawidził. A może nienawidził matki. Bo ona Rexa kochała - jeszcze bardziej niż ja. Uwielbiała go za jego bezwarunkową czułość i za to, że nie mówił. Był jej stałym kompanem, pracował z nią całymi dniami, a ona gotowała dla niego i troszczyła się o niego z oddaniem, jakiego nigdy nie okazywała swojemu mężowi - pamiętam, że ojciec powiedział tak podczas jakiejś awantury. Pamiętam też, co oznajmił, kiedy matka zaproponowała kupienie kolejnego psa. Byliśmy w kuchni. Siedziałem na podłodze i głaskałem Rexa. Matka gotowała. Ojciec nalewał sobie whiskey. Nie pierwszą szklaneczkę.

- Nie będę płacił za żarcie dla dwóch psów - powiedział. - Najpierw zastrzelę tego.

Trzeba było kilku sekund, żeby dotarło do nas znaczenie jego słów, żebym zrozumiał, co konkretnie miał na myśli. Matka pokręciła głową.

- Nie - oznajmiła. I tym razem mówiła serio. - Jeśli tkniesz tego psa, ja...

- No, co? - zapytał ojciec. - Grozisz mi?

Wiedziałem, co zaraz nastąpi. Trzeba prawdziwej odwagi, żeby zasłonić kogoś swoim ciałem. A matka wykazała się taką właśnie odwagą, kiedy tamtego dnia stanęła w obronie Rexa.

Ojciec rzecz jasna się wściekł. Brzęk tłuczonego szkła powiedział mi, że się spóźniłem - powinienem szukać bezpiecznego schronienia, jak Rex, który wyrwał się z moich objęć i był już w połowie drogi do drzwi. Nie miałem wyjścia i musiałem siedzieć na podłodze, uwięziony, bo ojciec zdążył przewrócić stół, który upadł kilka centymetrów ode mnie. Matka zaczęła ciskać w ojca talerzami.

Rzucił się w jej stronę przez potłuczone skorupy. Trzymał pięści wysoko. Matka stała przyparta plecami do blatu. W pułapce. I nagle...

Podniosła nóż. Duży, używany do ćwiartowania mięsa. Wymierzyła jego czubek w klatkę piersiową ojca. Na wysokości serca.

- Zabiję cię - wycedziła. - Nie żartuję, do cholery.

Na moment zapadła cisza.

Dotarło do mnie, że ona rzeczywiście mogłaby go zadźgać. Ku mojemu rozczarowaniu nie zrobiła tego.

Ojciec nie odezwał się słowem. Odwrócił się i wyszedł. Drzwi do kuchni trzasnęły.

Matka przez sekundę się nie ruszała. A potem zaczęła płakać. Widok płaczącej matki jest okropny. Czujesz się taki bezsilny, bezradny.

- Zabiję go dla ciebie - powiedziałem.

Rozpłakała się tylko jeszcze bardziej.

I wtedy... usłyszeliśmy strzał.

A potem drugi.

Nie pamiętam, jak wyszedłem z domu... Ani jak wypadłem, potykając się, na podwórko. Pamiętam tylko, że zobaczyłem bezwładne, krwawiące ciało Rexa na ziemi i ojca, który oddalał się ze strzelbą w ręce.

Patrzyłem, jak z psa uchodzi życie. Jego oczy stały się szkliste i niewidzące. Język mu zsiniał. Kończyny powoli sztywniały. Nie mogłem przestać się na niego gapić. Przeczuwałem - nawet

wtedy, w tak młodym wieku – że widok tego martwego zwierzęcia zbrukał moje życie na zawsze.

Miękka, mokra sierść. Bezwładne ciało. Krew. Zamknąłem oczy, ale i tak to widziałem.

Krew.

Później, gdy wraz z matką zanieśliśmy Rexa do dołu i wrzuciliśmy go w jego otchłań, żeby zgnił razem z innymi niepotrzebnymi zwłokami, wiedziałem, że wrzuciliśmy tam także część mnie. Tę dobrą.

Usiłowałem zmusić się do płaczu nad nim, ale nie umiałem. To biedne zwierzę nigdy nie zrobiło mi krzywdy, okazywało mi wyłącznie miłość, dobroć. A ja nie potrafiłem nad nim zapłakać.

Zamiast tego uczyłem się nienawidzić.

W moim sercu tworzyło się zimne, twarde jądro nienawiści, jak diament w ciemnym kawałku węgla. Przysięgłem sobie, że nigdy nie wybaczę ojcu. I pewnego dnia się zemszczę. Na razie jednak, zanim dorosnę, znajdowałem się w potrzasku.

Dlatego wycofałem się w świat wyobraźni. W moich fantazjach ojciec cierpiał.

Ja też.

W łazience za zamkniętymi drzwiami, na strychu na siano lub w głębi stodoły, nieobserwowany, uciekałem ze swego ciała... i z umysłu.

Odtwarzałem okrutne, potwornie agresywne sceny zabójstw: pełne cierpienia otrucia, brutalne sztyletowanie, rzeź i patroszenie. Topiono mnie i ćwiartowano, torturowano na śmierć. Wykrwawiałem się.

Stawałem na łóżku i przygotowywałem się do tego, by pogańscy kapłani złożyli mnie w ofierze. Chwyтали mnie i spychali z urwiska do morza, w jego otchłań, gdzie krążyły już morskie potwory czekające, by mnie pożreć.

Zamykałem oczy i zeskakiwałem z łóżka.

Rozrywano mnie na strzępy.

Mariana wyszła z mieszkania profesora Foski, słaniając się na nogach.

Przyczyną nie były wino i szampan, mimo że wypła więcej, niż powinna. Powodem był szok związany z tym, co właśnie widziała – zakreślony w książce cytat. Pomyślała, że to dziwne, że chwile skrajnej jasności w pewnym sensie przypominają upojenie.

Nie mogła zachować tego dla siebie. Musiała z kimś porozmawiać. Ale z kim?

Zatrzymała się na dziedzińcu, żeby się zastanowić. Nie było sensu szukać Zoe – nie teraz, nie po ich ostatniej rozmowie. Siostrzenica po prostu nie potraktowałaby jej poważnie. Mariana potrzebowała przychylnie nastawionego słuchacza. Przyszła jej na myśl Clarissa, tylko czy ona by Marianie uwierzyła?

Została więc tylko jedna osoba.

Mariana wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Freda. Odparł, że porozmawia z nią z największą przyjemnością, i zaproponował, żeby się spotkali w Gardies mniej więcej za dziesięć minut.

Gardenia, uwielbiana przez pokolenia studentów i nazywana przez nich Gardies, była grecką knajpką fast food w sercu Cambridge, czynną do późnych godzin wieczornych. Mariana poszła tam krzywą uliczką zamkniętą dla ruchu kołowego i poczuła zapach Gardies, jeszcze zanim ją zobaczyła – powitała ją woń frytek i ryb smażonych na gorącym oleju.

Lokal był malutki – mógł pomieścić zaledwie garstkę klientów – dlatego ludzie zbierali się na zewnątrz i jedli na ulicy. Fred czekał przy wejściu pod zieloną markizą i szyldem z napisem: „Zrób sobie przerwę po grecku”. Uśmiechnął się szeroko na widok Mariany.

– Cześć. Masz ochotę na frytki? Ja stawiam.

Aromat smażonego jedzenia przypomniał Marianie, że jest głodna – przecież prawie nie tknęła kolacji u Foski. Zgodziła się z wdzięcznością.

– Bardzo chętnie.

– Już się robi, proszę pani.

Fred rzucił się w stronę wejścia, potknął o stopień i zderzył z innym klientem, który go skłął. Mariana nie umiała powstrzymać uśmiechu – nie spotkała jeszcze tak niezdarnej osoby. Po chwili wyłonił się z lokalu, niosąc dwie papierowe torebki pełne parujących frytek.

– Proszę – powiedział. – Ketchup? Majonez?

– Nie, dziękuję.

Podmuchała na frytki, żeby je schłodzić. Spróbowała jedną. Była słona i ostra, trochę za ostra, za mocno skropiona octem.

Mariana zakasłała, a Fred spojrział na nią z przestachem.

– Za dużo octu? Przepraszam. Za bardzo mi się chlupnęło.

– Nie szkodzi. – Mariana się uśmiechnęła i pokręciła głową. – Są świetne.

– To dobrze.

Stali tak przez chwilę i jedli w milczeniu. Mariana zerknęła na Freda. W miękkim świetle latarni jego chłopięca twarz wydawała się jeszcze młodsza. Mariana pomyślała, że to przecież dzieciak. Entuzjastyczny skaut. Zalała ją fala czułości do niego.

Fred przyłapał ją na tym spojrzeniu i uśmiechnął się do niej nieśmiało. Odezwał się między kęsami:

– Na pewno tego pożałuję, ale ci powiem, że bardzo się cieszę, że do mnie zadzwoniłaś. To znaczy, że troszeczkę za mną tęskniłaś, choćby odrobinę. – Zauważył jej minę i jego uśmiech zgasł. – Ach, widzę, że się myślę. Nie dlatego zadzwoniłaś.

– Coś się wydarzyło... i chcę z tobą o tym porozmawiać.

Fred znowu nabrał nadziei.

– A więc *chciałaś* ze mną pogadać?

– Och, Fred. – Mariana wywróciła oczami. – Po prostu posłuchaj.

– Mów.

Fred jadł frytki, a Mariana opowiadała mu, co się stało – o znalezionych pocztówkach i odkryciu, że Fosca podkreślił w książce ten sam cytat.

Chłopak milczał przez jakiś czas.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał w końcu.

– Nie wiem.

Fred otarł usta, zmiął torebkę i wrzucił ją do śmietnika. Mariana przyglądała się mu, usiłując rozszyfrować jego minę.

– Nie wydaje ci się... że to sobie wymyśliłam?

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie wydaje mi się.

– Mimo że ma alibi w przypadku obydwu zabójstw?

Wzruszył ramionami.

– Jedna z dziewczyn, która dała mu alibi, nie żyje.

– Tak.

– A Serena mogła kłamać.

- Tak.
- Istnieje naturalnie jeszcze jedna możliwość...
- To znaczy?
- Współpracuje z kimś. Ma wspólnika.

Mariana spojrzała na niego.

- O tym nie pomyślałam.
- Dlaczego? To wyjaśnia, jakim cudem znajduje się w dwóch miejscach równocześnie.

- Niewykluczone.
- Nie wydajesz się przekonana.

Mariana wzruszyła ramionami.

- On mi nie wygląda na kogoś, kto mógłby mieć partnera. Jest typem samotnika.

– Możliwe. – Fred coś rozważał. – W każdym razie potrzebujemy dowodu, czegoś konkretnego, bo nikt nam nie uwierzy.

- Tylko jak go zdobyć?
- Coś wymyślimy. Spotkajmy się jutro rano i opracujmy plan.
- Nie mogę. Muszę jechać do Londynu. Ale zadzwonię po powrocie.
- Okej. Tyle że... – Ściszył głos. – Posłuchaj. Fosca na pewno wie, że go namierzyłaś, więc...

Nie dokończył zdania. Mariana potaknęła.

- Nie martw się. Jestem ostrożna.
- To dobrze. – Fred się zawahał. – Zostało do powiedzenia tylko jedno. – Uśmiechnął się szeroko. – Wyglądasz dzisiaj niesamowicie, olśniewająco pięknie... Czy uczynisz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

- Nie. – Mariana pokręciła głową. – Nie zostanę. Dziękuję za frytki.
- Nie ma za co.
- Dobranoc.

Uśmiechnęli się do siebie. Mariana odwróciła się i odeszła. Przy końcu ulicy, wciąż uśmiechnięta, zerknęła za siebie, ale Freda nie było.

Zabawne. Jakby się rozwiął w powietrzu.

Kiedy szła do college'u, zadzwonił jej telefon. Wyciągnęła go z kieszeni. Zerknęła na wyświetlacz – numer zastrzeżony.

Odebrała po chwili wahania.

– Halo?

Cisza.

– Halo?



Chwila milczenia.

– Witaj, Mariano – szepnął głos.

Zamarła.

– Kto mówi?

– Widzę cię, Mariano. Obserwuję.

– Henry? – Nie miała wątpliwości, że to on. Rozpoznała jego głos. – Henry, to ty?

Rozmówca się rozłączył. Mariana stała i wpatrywała się w telefon. Poczowała głęboki dyskomfort. Rozejrzała się, ale ulica była pusta.

Następnego ranka Mariana wstała wcześniej, by pojechać do Londynu. Po wyjściu z pokoju, gdy przecinała główny dziedziniec, zerknęła pod łukiem w stronę dziedzińca Angel Court.

Zobaczyła go – Edwarda Foscę – jak stał przed swoją klatką schodową i palił.

Nie był sam. Rozmawiał z kimś – z portierem zwróconym do Mariany plecami. Rozmiary i wzrost mężczyzny zdradzały, że to Morris.

Mariana wbiegła w sklepione przejście. Schowała się, po czym ostrożnie wyjrzała zza rogu. Coś jej podpowiadało, że warto się temu przyjrzeć, a tym czymś był wyraz twarzy Foski. Powstrzymywana irytacja, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziała. Przyszły jej do głowy słowa Freda, że Fosca może z kimś współpracować.

Czy to mógł być Morris?

Zobaczyła, że profesor podaje coś ukradkiem portierowi. Wyglądało to na grubą kopertę. Wypchaną czym? Pieniędzmi? Mariana poczuła, że ponosi ją wyobraźnia. Pozwoliła na to. Morris szantażował Foscę? O to chodziło? I dostawał pieniądze za milczenie?

Czy to mógł być ten jakże jej potrzebny konkretny dowód?

Portier odwrócił się gwałtownie. Oddalał się od Foski, idąc w kierunku Mariany. Cofnęła się i przywarła do muru. Morris wszedł w przejście, nie zauważwszy jej. Mariana patrzyła za nim, jak przeciął główny dziedziniec i wyszedł za bramę.

Szybko ruszyła jego śladem.

Mariana szła za Morrisem, zachowując bezpieczną odległość. Mężczyzna zdawał się nie dostrzegać, że ktoś go śledzi. Szedł wolnym krokiem, pogwizdując i rozkoszując się spacerem. Minał Emmanuel College, szeregowce ciągnące się wzdłuż ulicy i rowery przypięte do barierek. Skręcił w uliczkę odchodzącą w lewo i zniknął jej z oczu.

Mariana podbiegła do rogu. Zajrzała w uliczkę. Była wąska, po obu jej stronach stały rzędy domów. Kończyła się ślepo starym, porośniętym bluszczem murem z czerwonej cegły.

Ku zaskoczeniu Mariany Morris zmierzał prosto do muru. Kiedy doń doszedł, uniósł ręce, wbił palce w miejsce po luźnej cegle, zacisnął dłonie i podciągnął się. Bez trudu wspiął się na mur, pokonał go i zniknął z drugiej strony.

„Cholera” – pomyślała Mariana. Zastanawiała się przez moment, a potem podbiegła do ściany. Zlustrowała ją. Nie była pewna, czy da radę. Wypatrzyła miejsce, które da jej oparcie. Wyciągnęła ręce i chwyciła cegłę, ta jednak odpadła od muru i została jej w dłoni. Mariana się przewróciła.

Odrzuciła cegłę, wstała i podjęła kolejną próbę. Tym razem zdołała się podciągnąć. Z trudem wdrapała się na mur, a potem spadła z drugiej strony...

Wylądowała w innym świecie.

Za murem nie było ulicy. Nie było domów. Tylko wybujała trawa, iglaste drzewa i dzikie krzewy jeżyn. Mariana dopiero po kilku sekundach zorientowała się, gdzie jest.

To był opuszczony cmentarz przy Mill Road.

Mariana odwiedziła go tylko raz, przed blisko dwudziestoma laty, kiedy zwiedzała go z Sebastianem w duszne letnie popołudnie. Cmentarz się jej nie spodobał; wydał się złowrogi, opuszczony.

Teraz też się jej nie podobał.

Podniosła się i rozejrzała wkoło. Ani śladu Morrisa. Nasłuchiwała: nic, żadnych kroków, nawet śpiewu ptaków. Martwa cisza.

Spojrzała na przecinające się ścieżki biegnące pośród morza grobów porośniętych mchem i ogromnymi ostrokrzewami. Wiele kamieni nagrobnych się przekrzywiło lub pękło i rzucało ciemne poszarpane cienie na zdziczałą trawę. Nazwiska i daty na kamieniach dawno już wymazał czas i erozja. Wszyscy ci niepamiętani ludzie, zapomniane życia... Panowała tu atmosfera straty, daremności. Mariana zapragnęła wydostać się stąd jak najprędzej.

Ruszyła ścieżką najbliższej muru. Nie zamierzała się zgubić, nie teraz.

Zatrzymała się i nasłuchiwała – i znowu nie usłyszała kroków.

Nic. Żadnego dźwięku.

Zgubiła go.

Może zobaczył ją i uciekł? Szukanie go byłoby daremne.

Już miała się odwrócić, kiedy jej wzrok przykuł duży posąg. Przedstawiał anioła przymocowanego do krzyża, z wyciągniętymi przed siebie rękami i dużymi wyszczerbionymi skrzydłami. Mariana przyglądała mu się przez moment urzeczona. Posąg był zniszczony, ale nadal piękny; anioł trochę przypominał jej Sebastiana.

Wtem coś spostrzegła – za pomnikiem, za gąszczem roślin, szła młoda kobieta. Mariana natychmiast ją rozpoznała.

Serena.

Dziewczyna nie zauważyła Mariany i podeszła do przykrytej płaskim dachem krypty na planie prostokąta, wzniesionej z marmuru, niegdyś białego, teraz pokrytego szarymi i zielonymi jak mech plamami. Wokół rosły dzikie kwiaty.

Serena usiadła, wyciągnęła telefon i zapatrzyła się na ekran.

Mariana ukryła się za pobliskim drzewem. Wyglądała zza gałęzi.

Dziewczyna podniosła wzrok na mężczyznę, który wyłonił się z zarośli.

Morris.

Portier zbliżył się do Sereny. Oboje milczeli. Morris zdjął melonik i zawiesił go na kamieniu nagrobnym. Nagle chwycił głowę Sereny i agresywnym ruchem przyciągnął do siebie, by ją pocałować.

Mariana patrzyła, jak Morris kładzie dziewczynę na marmurowej płycie, nie przestając jej całować. Wspiął się na nią. Uprawiali seks – ostry, zwierzęcy. Mariana czuła odrazę, ale znieruchomiła i nie mogła odwrócić wzroku. I nagle, tak gwałtownie, jak zaczęli, osiągnęli orgazm, a potem zapadła cisza.

Przez chwilę leżeli bez ruchu. Potem Morris się podniósł. Poprawił na sobie ubranie. Sięgnął po melonik i go otrzepał.

Mariana uznała, że powinna się stąd wynosić. Zrobiła krok do tyłu – i nadepnęła na gałązkę, która pękła pod jej stopą. Rozległ się głośny trzask. Zobaczyła zza gałęzi, że Morris się rozgląda. Dał Serenie znak, żeby milczała. Wszedł za drzewo i Mariana straciła go z oczu.

Odwróciła się i wypadła na ścieżkę. Gdzie jest wyjście? Postanowiła wrócić tak, jak przyszła, przez mur. Obejrzała się i...

Ujrzała stojącego tuż za sobą Morrisa.

Wpatrywał się w nią i ciężko dyszał. Przez kilka sekund milczeli.

– Co pani wyprawia, do cholery? – zapytał cicho portier.

– Słucham? Przepraszam. – Próbowała go wyminąć, ale on z uśmiechem zablokował jej drogę.

– Podobało się?

Mariana poczuła, że pieką ją policzki. Odwróciła wzrok.

Morris się zaśmiał.

– Przejrzałem panią. Mnie pani nie oszuka nawet na sekundę. Mam panią na oku od samego początku.

– Co to ma znaczyć?

– Żeby nie wtykała pani nosa w nie swoje sprawy, jak zwykł mawiać dziadek. Bo ktoś może go pani utrzyć. Jasne?

– Grozi mi pan? – spytała odważnie, chociaż się tak nie czuła.

Morris znowu się zaśmiał. Spojrzał na nią raz jeszcze, następnie odwrócił się i odszedł.

Mariana stała rozdygotana, przestraszona, zła i bliska łez. Była jak sparaliżowana, przyrośnięta do ziemi. Podniosła wzrok i ujrzała posąg – anioł przyglądał się jej z wyciągniętymi ramionami, jakby chciał ją przytulić.

W tym momencie poczuła dojmującą tęsknotę za Sebastianem – zapragnęła, by wziął ją w objęcia, przygarnął do siebie i bronił jej. Tyle że jego już nie było.

Mariana będzie musiała bronić się sama.

Mariana wsiadła do pociągu pospiesznego do Londynu.

Skład nie zatrzymywał się na żadnych stacjach po drodze i pędził do celu. Mariana odnosiła wrażenie, że pociąg jedzie za szybko – wściekle podskakiwał na torach, kołysał się i chwiał w sposób niekontrolowany. Tory piszczały, jakby ktoś krzyczał – Mariana odbierała ten dźwięk jak wysokie zawrozczenie. Drzwi wagonu nie zamknięto jak należy, przez co otwierały się i trzaskały, a każde ich uderzenie zaskakiwało Marianę i zaburzało jej tok rozumowania.

A miała sporo do przemyślenia. Czuła głęboki niepokój po konfrontacji z Morrisem. Próbowwała to rozgryźć. A więc to on był mężczyzną, z którym Serena potajemnie się spotykała? Nic dziwnego, że trzymali to w tajemnicy – Morris straciłby pracę, gdyby ktoś odkrył jego romans ze studentką.

Mariana miała nadzieję, że nie kryje się za tym nic więcej. Niemniej z jakiegoś powodu w to wątpiła.

Morrisa łączyło coś z Foską. Ale co? I jaki to miało związek z Sereną? Czy razem szantażowali Foskę? Jeśli tak, to uprawiali niebezpieczną grę, bo robili sobie wroga z psychopaty – takiego, który zabił już dwukrotnie.

Mariana myliła się co do Morrisa. Teraz to widziała. Dała się zwieść staromodnym manierom portiera, ale on nie był dżentelmenem. Przypomniała sobie wściekłość malującą się w oczach Morrisa, kiedy jej groził. Chciał ją przerazić – i udało mu się to.

Łup – trzasnęły drzwi wagonu. Mariana podskoczyła.

„Przezań – pomyślała. – Doprowadzasz się do obłądu”.

Musiała zająć umysł czymś innym. Wyciągnęła z torby „British Journal of Psychiatry”, który wciąż tam trzymała. Przekartkowała czasopismo i próbowała coś przeczytać, lecz nie była w stanie się skupić. Trapiło ją coś jeszcze: nie mogła pozbyć się wrażenia, że jest obserwowana.

Zerknęła przez ramię, rozejrzała się po wagonie – jechało nim kilka osób, ale żadnej z nich nie znała, a przynajmniej nie rozpoznawała. I nikt się jej nie przyglądał. Mimo to nie mogła się od tego uwolnić – od odczucia, że ktoś ją śledzi.

Gdy pociąg zbliżał się do Londynu, przysła jej do głowy niepokojąca myśl. A jeśli się myliła co do Foski? Jeśli zabójcą był ktoś nieznamy,

niewidzialny dla niej, kto siedział obok, w tym wagonie i właśnie się jej przyglądał? Wzdrygnęła się.

Łup – uderzyły drzwi.

Łup.

Łup.



Pociąg wjechał na dworzec King's Cross. Wychodząc na peron, Mariana wciąż była przekonana, że ktoś ją obserwuje. Czuła na karku czyjeś nieprzyjemne, budzące strach spojrzenie. Nagle, pewna, że ktoś jest tuż za nią, odwróciła się. Spodziewała się ujrzeć Morrisa.

Tymczasem nie zobaczyła nikogo.

A jednak wrażenie jej nie opuszczało. Do domu Ruth dotarła niespokojna, podenerwowana. „Może oszalałam – pomyślała. – Możliwe, że tak właśnie jest”.

Oszalała czy nie, z nikim nie pragnęła się spotkać tak bardzo jak ze starszą panią czekającą na nią przy Redfern Mews 5. Poczowała ulgę już w chwili, gdy wcisnęła przycisk dzwonka.

Ruth uczyła Marianę na studiach prowadzenia terapii, a gdy Mariana została terapeutką, Ruth wzięła na siebie rolę jej superwizorki. Taka osoba jest ogromnie ważna w życiu terapeuty – Mariana rozmawiała z nią o swoich pacjentach i grupach, a Ruth pomagała Marianie zanalizować jej uczucia, oddzielić je od emocji pacjentów, co nie zawsze było łatwe. Bez superwizji terapeuta łatwo może ulec przytłoczeniu ogromem cierpienia, nad którym musi zapanować. Może też stracić bezstronność, tak istotną dla efektywnej pracy.

Po śmierci Sebastiana Mariana spotykała się z Ruth częściej, bo nigdy wcześniej nie potrzebowała jej wsparcia w takim stopniu. W zasadzie była to terapia, chociaż jej tak nie nazywały; Ruth sugerowała, żeby Mariana w pełni się zaangażowała, wróciła na terapię i pozwoliła jej się prowadzić. Mariana jednak odmówiła. Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, twierdziła tylko, że nie potrzebuje terapii. Potrzebowała Sebastiana. I żadne rozmowy nie mogły go zastąpić.

– Mariano, kochana – odezwała się Ruth, otworzywszy drzwi. Uśmiechnęła się do niej serdecznie. – Wejdz.

– Witaj, Ruth.

Tak dobrze było wejść do środka, do salonu, który zawsze pachniał lawendą, i usłyszeć srebrny zegar tykający pokrępowanie na półce nad kominkiem.

Mariana zajęła swoje zwykłe miejsce na skraju wyblakłej błękitnej kanapy. Ruth usiadła w fotelu naprzeciwko niej.

– Przez telefon wydawałaś się zdenerwowana – zaczęła Ruth. – Może mi o tym opowiesz?

– Nie wiem, od czego zacząć. Chyba od tego wieczoru, kiedy Zoe zadzwoniła do mnie z Cambridge.

Mariana opowiedziała całą historię, na tyle jasno i obszernie, na ile umiała. Ruth jej słuchała, od czasu do czasu potakując, ale prawie nic nie mówiąc. Gdy Mariana skończyła, Ruth przez chwilę milczała. Westchnęła niemal bezgłośnie – było to smutne, znużone westchnienie, które odzwierciedlało cierpienie Mariany znacznie trafniej, niż zrobiłyby to słowa.

– Czuję napięcie, jakie to w tobie budzi – powiedziała. – Musisz być silna dla Zoe, dla college’u, dla siebie...

Mariana pokręciła głową.

– Ja się nie liczę. Ale Zoe, te dziewczyny... Tak bardzo się boję. – Do oczu napłynęły jej łzy.

Ruth się pochyliła i podsunęła jej pudełko chusteczek. Mariana wyjęła jedną i otarła oczy.

– Dzięki. Przepraszam. Nawet nie wiem, dlaczego płaczę.

– Płaczesz, ponieważ czujesz się bezradna.

– Zgadza się.

– Tyle że to nieprawda. Przecież to wiesz. Mam rację? – Ruth zachęcająco kiwnęła głową. – Możesz znacznie więcej, niż przypuszczasz. College to tylko kolejna grupa trawiona chorobą. Gdyby coś tej natury, coś toksycznego, wrogiego, zabójczego, działało w obrębie jednej z twoich grup... – Ruth nie dokończyła zdania.

Mariana popadła w zadumę.

– Co bym zrobiła? Dobre pytanie. – Potaknęła. – Przypuszczam, że... porozmawiałabym z nimi... z grupą.

– Właśnie o tym myślałam – powiedziała Ruth z błyskiem w oku. – Porozmawiaj z tymi dziewczętami, ale nie indywidualnie, tylko z grupą...

– Jak podczas terapii?

– A czemu nie? Zorganizuj sesję i sprawdź, do czego doprowadzi.

Mariana uśmiechnęła się mimowolnie.

– Intrygujący pomysł. Nie mam pojęcia, jak by na to zareagowały.

– Wyobraź to sobie. Jak wiesz, najlepszym lekarstwem dla grupy...

– ...jest grupa. – Mariana pokiwała głową. – Tak, rozumiem.

Przez chwilę milczała. To była dobra rada – niełatwo będzie się do niej zastosować, ale nawiązywała do czegoś, na czym się znała i w co wierzyła; już czuła się odrobinę pewniej. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję.

Ruth się zawahała.

– Jest coś jeszcze. Coś, co trochę trudniej mi powiedzieć... coś, co mnie uderza w związku z tym Edwardem Foską. Chcę, żebyś bardzo uważała.

– Uważam.

– Na siebie?

– Jak to rozumiesz?

– Niewykluczone, że budzi przeróżne uczucia i skojarzenia... Dziwi mnie, że nie wspomniałaś o ojcu.

Mariana popatrzyła na Ruth zaskoczona.

– A co mój ojciec ma wspólnego z Foską?

– Obaj to charyzmatyczni mężczyźni o silnej pozycji w swojej społeczności. I z tego, co słyszę, narcystyczni. Zastanawiam się, czy z Edwardem Foską chcesz wygrać tak samo mocno, jak chciałaś wygrać z ojcem.

– Nie. – Mariana zirytowała się na Ruth za tę sugestię. – Nie – powtórzyła. – A poza tym w przypadku Edwarda Foski odczuwam bardzo negatywne przeniesione emocje.

Ruth się zawahała.

– Twoje uczucia do ojca nie do końca były łagodne.

– To co innego.

– Doprawdy? To nadal jest dla ciebie trudne, prawda? Nawet teraz. Skrytykowanie go lub uznanie, że zawiódł cię w bardzo realnych, fundamentalnych kwestiach. Nigdy nie okazał ci miłości, której potrzebowałaś. Minęło dużo czasu, nim to dostrzegłaś i nazwałaś.

Mariana pokręciła głową.

– Naprawdę, Ruth, nie uważam, by mój ojciec miał z tym cokolwiek wspólnego.

Ruth popatrzyła na nią ze smutkiem.

– A ja mam poczucie, że twój ojciec odgrywa tu kluczową rolę w odniesieniu do ciebie. W tej chwili może się wydawać, że to nie ma sensu. Ale pewnego dnia może nabrać ogromnego znaczenia.

Mariana nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wzruszyła ramionami.

– A Sebastian? – zapytała po chwili Ruth. – Jak się czujesz w tej kwestii?

Mariana pokręciła głową.

– Nie chcę rozmawiać o Sebastianie. Nie dzisiaj.

Nie zabawiła u Ruth dużo dłużej. Uwaga o ojcu rzuciła na całą sesję cień, który zniknął dopiero wtedy, gdy kobiety były już w przedpokoju.

Na odchodne Mariana przytuliła starszą panią. Poczowała ciepło i czułość w tym uścisku i łzy napłynęły jej do oczu.

– Bardzo ci dziękuję, Ruth. Za wszystko.

– Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebowała. O każdej porze. Nie chcę, abyś myślała, że jesteś sama.

– Dziękuję.

– Wiesz – odezwała się Ruth po krótkim wahaniu. – Mogłaby ci pomóc rozmowa z Theo.

– Theo?

– A czemu nie? Przecież psychopatia to jego dziedzina. Jest bystry. Jego uwagi na pewno okażą się przydatne.

Mariana rozważyła tę sugestię. Theo był psychoterapeutą sądowym, który uczył się z nią w Londynie. Mimo że Ruth była ich terapeutką, nie znali się dobrze.

– Nie jestem pewna – odparła. – To znaczy dawno nie widziałam Theo... Myślisz, że nie będzie miał nic przeciwko?

– Na pewno nie. Możesz spróbować się z nim spotkać przed powrotem do Cambridge. Zadzwoń do niego.

Ruth tak zrobiła, a Theo się zgodził. Oczywiście, że pamiętał Marianę i z przyjemnością się z nią spotka. Umówili się w pubie w Camden.

Tego popołudnia o osiemnastej Mariana wybrała się na spotkanie z Theo Faberem.

Mariana dotarła do Oxford Arms pierwsza. Kupiła sobie kieliszek białego wina i czekała.

Była ciekawa spotkania z Theo, ale też odczuwała nieufność. Ruth jako terapeutka uczyniła ich niejako rodzeństwem, bo każdemu z nich poświęcała uwagę, jakby była ich matką. Mariana była trochę zazdrosna o Theo, a nawet żywiła do niego urazę – wiedziała, że Ruth ma do niego słabość. W jej głosie pobrzmiwała opiekuńcza nuta, ilekroć o nim wspominała, co kazało Marianie, dość irracjonalnie, snuć fantazję, że Theo jest sierotą. Przeżyła szok, kiedy oboje jego rodzice pojawili się na uroczystości rozdania dyplomów, żywi i w dobrej formie.

Prawdę powiedziawszy, Theo miał w sobie coś z sieroty, co Mariana wyczuwała, jakąś swoistą odmienność. Nie miało to związku z jego wyglądem, lecz wynikało wyłącznie ze sposobu bycia, swego rodzaju powściągliwości, dystansu wobec innych – skrepowania, jakie Mariana dostrzegą także u siebie.

Theo spóźnił się kilka minut. Przywitał się z Marianą ciepło. Zamówił przy barze dietetyczną colę i usiadł przy stoliku.

Wyglądał tak samo, w ogóle się nie zmienił. Miał około czterdziestki i był szczupłej budowy. Ubrany był w zniszczoną sztruksową marynarkę i pogniecioną białą koszulę. Pachniał lekko dymem papierosowym. Mariana pomyślała, że ma ładną twarz, pełną troski, ale w jego oczach było coś – jak to nazwać? – przeleknionego, wręcz udręczonego. Uświadomiła sobie, że chociaż go lubiła, nie czuła się w jego towarzystwie w pełni swobodnie. Nie wiedziała dlaczego.

– Dziękuję, że się ze mną spotkałeś – powiedziała. – I to tak bez uprzedzenia.

– Nie ma sprawy. Jestem zaintrygowany. Jak wszyscy śledzę tę historię. Jest fascynująca. To znaczy okropna – poprawił się szybko. – Ale też fascynująca. – Uśmiechnął się. – Chciałbym się dowiedzieć, co o niej sądzisz.

Mariana odwzajemniła uśmiech.

– W zasadzie to... liczyłam na twoją opinię.

– Ach. – Theo wydawał się zaskoczony. – Lecz przecież to ty tam jesteś, Mariano. W Cambridge. Nie ja. Twoje spostrzeżenia są o wiele cenniejsze

od wszystkiego, co mogę powiedzieć.

– Nie mam dużego doświadczenia w tej sferze... w psychologii sądowej.

– To nie ma znaczenia, bo każdy przypadek jest inny. Tak wynika z moich doświadczeń.

– Zabawne, bo Julian utrzymuje coś dokładnie przeciwnego. Według niego każdy przypadek jest taki sam.

– Julian? Mówisz o Ashcrofcie?

– Tak. Pracuje dla policji.

Theo uniósł brew.

– Pamiętam go z instytutu. Było w nim coś... dziwnego. Jakby żądza krwi. W każdym razie myli się. Każdy przypadek jest inny. Przecież dzieciństwo każdego człowieka jest inne.

– Tak, zgadzam się – przytaknęła Mariana. – Ale może jest coś, czego moglibyśmy szukać?

Theo wziął łyk coli i wzruszył ramionami.

– Posłuchaj. Powiedzmy, że jestem facetem, którego szukasz. Jestem bardzo chory i wysoce niebezpieczny. Możliwe, że potrafię to wszystko przed tobą ukrywać. Możliwe, że nie przez dłuższy czas i nie w środowisku terapeutycznym, ale tak powierzchownie bardzo łatwo jest prezentować światu fałszywe ja. Nawet ludziom, których widzimy codziennie. – Bawił się obrączką i przez moment obracał ją na palcu. – Chcesz mojej rady? Zapomnij o tym „kto”. Zaczynij od „dlaczego”.

– Dlaczego zabija?

– Tak – potwierdził Theo. – Coś mi tu nie pasuje. Ofiary... Czy wykorzystano je seksualnie?

Mariana pokręciła głową.

– Nic z tych rzeczy.

– A więc co nam to mówi?

– Że zabijanie i masakrowanie zwłok jest gratyfikacją samą w sobie? Możliwe. Nie sądzę, żeby to było takie proste.

– Ja również – zgodził się Theo.

– Patolog powiedział, że przyczyną śmierci było poderżnięcie gardła. Pchnięcia nożem zadano później.

– Rozumiem. – Theo wydawał się zaintrygowany. – To znaczy, że jest w tym element występu. Reżyserii. Dla publiczności.

– A publicznością jesteśmy my?

– Zgadza się. Jak myślisz, dlaczego? Dlaczego on chce, żebyśmy oglądali tak potworną brutalność?

Mariana zastanawiała się przez chwilę.

– Chyba... chce, byśmy uwierzyli, że zabijał w gorączce, że jest seryjnym zabójcą, szaleńcem z nożem. W rzeczywistości jest całkowicie spokojny i opanowany. Zabójstwa zostały starannie i uważnie zaplanowane.

– Właśnie. A to znaczy, że mamy do czynienia z kimś inteligentniejszym i groźniejszym.

Mariana pomyślała o Edwardzie Fosce i pokiwała głową.

– Tak myślę.

– Pozwól, że cię o coś zapytam. – Theo przypatrywał się jej. – Gdy zobaczyłaś zwłoki z bliska, jaka była twoja pierwsza myśl?

Mariana zamrugła i na sekundę ujrzała oczy Veroniki. Przepędziła ten obraz.

– No... nie wiem... Że to straszne.

Theo pokręcił głową.

– Nie. Wcale tak nie pomyślałaś. Powiedz prawdę. Jaka była twoja pierwsza myśl?

Mariana wzruszyła ramionami, trochę zażenowana.

– Zabawne, bo... to był wers z dramatu.

– Ciekawe. Mów dalej.

– *Tragedia księżnej d'Amalfi*. „Twarz zasłoń. Ćmi się wzrok...”.

– Tak. – Spojrzenie Theo nagle rozbłysło. Pochylił się do przodu podekscytowany. – Tak. Właśnie tak.

– Chyba... nie rozumiem.

– „Ćmi się wzrok”. Ciało tak wyglądają, żeby nas oszalać. Oślepić potwornością. Dlaczego?

– Nie wiem.

– Przemyśl to. Dlaczego on stara się nas oślepić? Czego mamy nie zauważyć? Od czego chce odciągnąć naszą uwagę? Odpowiedz na te pytania, a go złapiesz.

Mariana przytaknęła, kiedy to do niej dotarło. Przez moment siedzieli w pełnym zadumy milczeniu i patrzyli na siebie. W końcu Theo się uśmiechnął.

– Masz rzadki dar empatii. Czuję to. Już rozumiem, dlaczego Ruth tak cię ceni.

– Nie zasługuję na to, ale dziękuję. Miło to słyszeć.

– Nie bądź taka skromna. Otwartość i receptywność w relacjach z drugim człowiekiem nie są proste. Przecież czujesz czyjeś emocje... Pod wieloma względami jest to jak trucizna. Zawsze tak uważałem. – Zamilkł, a potem dodał cicho: – Wybacz. Nie powinienem tego mówić, ale... wyczuwam w tobie coś jeszcze... – Znowu zawiesił głos. – Jakby... strach. Boisz się czegoś. I myślisz, że to pochodzi stąd... – Zatoczył dłonią krąg. – A tymczasem to jest... tutaj... – Dotknął klatki piersiowej. – W głębi ciebie.

Mariana zamrugała. Poczowała się obnażona i zażenowana. Pokręciła głową.

– Nie wiem... o czym mówisz.

– Cóż, radzę ci, żebyś poświęciła temu uwagę. Zaprzyjajnij się z tym. Zawsze powinniśmy być uważni, jeśli ciało nam coś mówi. Tak twierdzi Ruth. – Nagle jakby się poczuł zakłopotany. Być może uznał, że posunął się za daleko. Zerknął na zegarek. – Powinienem już iść. Muszę się spotkać z żoną.

– Oczywiście. Wielkie dzięki za rozmowę, Theo.

– Nie ma za co. Miło było cię spotkać, Mariano... Ruth mówiła, że prowadzisz prywatną praktykę?

– Zgadza się. A ty pracujesz w Broadmoor?

– Kara za grzechy. – Uśmiechnął się. – Szczerze mówiąc, nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Nie jestem tam specjalnie szczęśliwy. Chętnie bym poszukał innej pracy, no ale wiesz... nie mam czasu.

Gdy to powiedział, Marianie nagle coś się przypomniało.

– Czekał – rzuciła. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła „British Journal of Psychiatry”. Przekartkowała tytuł i znalazła to, czego szukała. Podsunęła Theo czasopismo, wskazując na ogłoszenie. – Spójrz.

The Grove – oddział o wzmocnionym rygorze w Edgware – szukał kogoś na stanowisko psychologa sądowego.

Mariana zerknęła na koleżkę.

– Co ty na to? Znam profesora Diomedesa. Jest szefem kliniki. Specjalizuje się w pracy z grupami. Przez jakiś czas mnie uczył.

– Tak. – Theo kiwnął głową. – Wiem, kto to jest. – Patrzył na ogłoszenie z wyraźnym zainteresowaniem. – The Grove? Czy to nie tam umieścili Alicję Berenson? Tę, która zabiła męża.

– Alicję Berenson?

– Malarzkę... która nie mówi.



– Och... pamiętam. – Mariana uśmiechnęła się zachęcająco. – Może powinieneś postarać się o tę pracę? Nakłoniłbyś ją do mówienia?

– Może. – Theo też się uśmiechnął i rozważał przez chwilę tę myśl. Pokiwał głową. – Może to zrobię.

Podróż powrotna do Cambridge minęła błyskawicznie.

Mariana przez cały czas trwała pogrążona w zadumie i wracała myślą do rozmowy z Ruth oraz spotkania z Theo. Jego pomysł, że zabójstwa były celowo przerażające po to, by odciągnąć uwagę od czegoś innego, zaintrygował ją i zdawał się emocjonalnie uzasadniony w sposób, którego nie umiała wyjaśnić.

Co do sugestii Ruth, by zorganizowała sesję grupową dla Bogiń – cóż, to nie będzie łatwe, o ile w ogóle okaże się możliwe, niemniej warto spróbować.

O wiele bardziej problematyczne było to, co Ruth powiedziała o jej ojcu. Mariana nie pojmowała, dlaczego starsza kobieta o nim wspomniała. I co takiego powiedziała? „W tej chwili może się wydawać, że to nie ma sensu. Ale pewnego dnia może nabrać ogromnego znaczenia”. Nie dałoby się mówić bardziej tajemniczo. Ruth ewidentnie do czegoś nawiązywała, ale do czego?

Mariana zastanawiała się nad tym, wpatrzona w pola migające za oknem. Myślała o dzieciństwie w Atenach i o ojcu. Jako dziecko go uwielbiała, tego przystojnego, bystrego, charyzmatycznego mężczyznę – podziwiała go i idealizowała. Potrzebowała sporo czasu, by sobie uświadomić, że nie był tym, za kogo go uważała. Objawienie przyszło, gdy była tuż po dwudziestce i skończyła studia w Cambridge. Mieszkała w Londynie i szkolila się, by zostać nauczycielką. Zaczęła terapię z Ruth z zamiarem przepracowania straty matki, ale okazało się, że mówiła głównie o ojcu. Chciała przekonać Ruth, jakim był wspaniałym człowiekiem – błyskotliwym, ciężko pracującym, gotowym do wielkich poświęceń, wychowującym samodzielnie dwójkę dzieci – i jak bardzo ją kochał.

Ruth przez wiele miesięcy słuchała Mariany, z rzadka się odzywając... aż pewnego dnia jej przerwała. Jej słowa były proste, bezpośrednie i druzgocące. Ruth zasugerowała, najłagodniej, jak umiała, że Mariana wypiera treści związane z ojcem. Wysłuchawszy wszystkiego na jego temat, musiała prosić Marianę, by zakwestionowała swoją opinię o ojcu jako kochającym rodzicu. Człowiek, którego Mariana opisywała, wydał się Ruth autorytarny, zimny, emocjonalnie niedostępny, często krytyczny i wysoce

nieuprzejmy, a nawet okrutny. Żadna z tych cech nie miała nic wspólnego z miłością.

– Miłość nie jest warunkowa – oznajmiła Ruth. – Nie może polegać na ciągłym dążeniu do zadowolenia osoby, której zadowolić się nie da. Nie możesz kochać kogoś, kogo się boisz, Mariano. Wiem, że trudno to przyjąć. Jesteś niejako zaślepiona, ale dopóki się nie przebudzisz i nie zobaczysz tego wyraźnie, będziesz trwała w tym zaślepieniu przez całe życie, a ono będzie wpływało na twoje postrzeganie siebie i innych.

Mariana pokręciła głową.

– Mylisz się co do mojego ojca – oznajmiła. – Wiem, że jest trudny, ale mnie kocha. A ja kocham jego.

– Nie – odparła Ruth stanowczo. – W najlepszym razie nazwijmy to pragnieniem miłości. A w najgorszym: patologicznym przywiązaniem do narcystycznego mężczyzny, mieszanką wdzięczności, strachu, oczekiwań i posłuszeństwa, która nie ma nic wspólnego z miłością w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Nie kochasz go. Podobnie jak nie znasz i nie kochasz siebie.

Ruth miała rację. Trudno było tego słuchać, a tym bardziej to zaakceptować. Mariana wstała i wyszła, a po policzkach płynęły jej łzy wściekłości. Przysięgła nigdy tam nie wracać.

A potem, na ulicy przed domem Ruth, coś ją zatrzymało. Pomyślała o Sebastianie i o tym, jak niekomfortowo się zawsze czuła, kiedy ją komplementował.

„Nie masz pojęcia, jaka jesteś piękna” – mawiał. „Przestań” – odpowiadała zarumieniona z zażenowania, zbywając komplementy machnięciem ręki. Sebastian się mylił – ona nie była ani mądra, ani piękna, nie postrzegała siebie w ten sposób.

Dlaczego?

Czyimi oczami na siebie patrzyła? Swoimi?

A może ojca?

Sebastian nie patrzył na nią oczami jej ojca ani nikogo innego; patrzył na nią swoimi własnymi. A gdyby i ona tak robiła? Co by było, gdyby podobnie jak pani z Shalott przestała oglądać życie w lustrze, odwróciła się i spróbowała patrzeć na nie wprost?

Od tego się zaczęło – od pęknięcia w murze iluzji i wyparcia, przez które wpadło trochę światła; niewiele, ale dość, żeby dało się coś zobaczyć. Ten moment okazał się dla Mariany objawieniem; postawił ją na drodze ku

odkrywaniu siebie, z której wolałaby zrezygnować. W rezultacie porzuciła przygotowania do pracy nauczycielki i zaczęła szkolić się na terapeutkę. I mimo że od tamtej chwili upłynęło wiele lat, nigdy w pełni nie przepracowała swoich uczuć do ojca. Teraz, gdy nie żył, pewnie nigdy tego nie zrobi.

Mariana wysiadła z pociągu na dworcu w Cambridge zatopiona w melancholijnych myślach i ruszyła w stronę St. Christopher's College, prawie nie zwracając uwagi na otoczenie. Po dotarciu na miejsce pierwszą osobą, którą zobaczyła, był Morris. Stał przy portierni w towarzystwie policjantów. Na jego widok wróciły do niej niemiłe wspomnienia związane z ich spotkaniem. Zrobiło się jej niedobrze.

Nie chciała na niego patrzeć – przeszła, całkowicie go ignorując. Kątem oka dostrzegła, że zaszalutował jej do melonika, jakby nic się nie stało. Zdecydowanie uważał, że ma przewagę.

„Dobrze – stwierdziła. – Niech sobie tak myśli”.

Postanowiła przez jakiś czas nie wspominać policji o tym, co się wydarzyło – po części dlatego, że potrafiła sobie wyobrazić reakcję inspektora Sanghi: jej sugestia, że Morris należy do tej samej ligi co Fosca, wzbudziłaby tylko niedowierzenie i kpiny. Jak zauważył Fred, potrzebowała dowodu. Dlatego będzie lepiej, jeśli zachowa milczenie. Niech Morris żyje w przekonaniu, że ujdzie mu to na sucho – rzuci mu linę, na której potem będzie mógł się powiesić.

Nagle poczuła ochotę, by zadzwonić do Freda i z nim porozmawiać. Natychmiast jednak się powstrzymała. Co ona sobie wyobraża? Czy to możliwe, że zaczęła coś do niego czuć? Do tego chłopca? Nie, nawet nie pozwoli sobie czegoś takiego rozważyć. To było nielojalne – i przerażające. Lepiej będzie już nigdy więcej do Freda nie dzwonić.

Gdy dotarła do swojego pokoju, okazało się, że drzwi są uchylone.

Zamarła. Nasłuchiwała, ale nie dotarł do niej żaden dźwięk. Bardzo wolno wysunęła rękę i pchnęła drzwi. Skrzypnęły, otwierając się.

Zajrzała do środka i wydała stłumiony okrzyk. Wnętrze wyglądało tak, jakby ktoś je przewrócił do góry nogami: wszystkie szuflady i szafki otwarto, by przejrzeć ich zawartość, rzeczy Mariany leżały rozrzucone, ubrania zostały porwane na strzępy.

Zadzwoniła szybko po Morrisa i poprosiła, żeby przyszedł z policjantem.

Po chwili portier w towarzystwie kilku funkcjonariuszy zjawili się w jej pokoju i zaczęli oglądać szkody.

– Na pewno nic nie zginęło? – zapytał policjant.

Mariana skinęła głową.

– Raczej nie.

– Nie widzieliśmy, żeby ktoś podejrzany wychodził z college’u. To raczej robota kogoś stąd.

– Wygląda mi to na dzieło mściwej studentki – stwierdził Morris. Uśmiechnął się do Mariany. – Zdenerwowała pani kogoś?

Zignorowała go. Podziękowała policjantom i zgodziła się z nimi, że prawdopodobnie nie była to kradzież z włamaniem. Funkcjonariusze zaproponowali, że zdejną odciski palców, i Mariana już chciała na to przystać, ale dostrzegła coś, co kazało jej zmienić zdanie.

Nożem albo jakimś innym ostrym narzędziem zrobiono głębokie nacięcie w mahoniowym biurku.

– To nie jest konieczne – oznajmiła. – Nie będę kontynuowała tej sprawy.

– Jeśli jest pani pewna.

Gdy mężczyźni wyszli z pokoju, Mariana musnęła opuszkami wycięty znak krzyża.

Stała i myślała o Henrym.

Po raz pierwszy naprawdę się go bała.

Rozmyślałem właśnie o czasie.

O tym, że być może nic nigdy nie odchodzi tak naprawdę. Jest tu przez cały czas – moja przeszłość – i dopada mnie dlatego, że nigdy nigdzie nie odeszła.

Pod pewnym względem zawsze tam będę, na wieki dwunastoletni – uwięziony w czasie, w owym potwornym dniu dzień po moich urodzinach, kiedy wszystko się zmieniło.

Nawet teraz, kiedy piszę te słowa, czuję się tak, jakby to się działo.

Matka prosi, żebym usiadł, bo chce mi przekazać wiadomość. Wiem, że coś jest nie tak, ponieważ przyprowadziła mnie do frontowego salonu, z którego nigdy nie korzystamy, i posadziła na niewygodnym drewnianym krześle. Myślałem, że chce mi powiedzieć, że umiera, że jest śmiertelnie chora – taką myśl nasunął mi wyraz jej twarzy.

Tymczasem chodziło o coś gorszego.

Powiedziała, że odchodzi. Sytuacja z ojcem zrobiła się wyjątkowo zła, czego dowodem były jej podbite oko i pęknięta warga. Wreszcie zdobyła się na odwagę, by od niego odejść.

Poczułem ogromny przyptyw szczęścia – słowo „radość” oddaje ten stan najlepiej. Jednak mój uśmiech szybko zbladł, gdy słuchałem, jak matka paple o swoich planach – będzie spała na kanapie u kuzynki, a potem zamieszka u rodziców do czasu, aż stanie na nogi. To, że unikała mojego spojrzenia, podpowiedziało mi jasno, co mi oznajmi – że nie zabierze mnie ze sobą.

Gapiałem się na nią w szoku.

Nie mogłem czuć ani myśleć – nie zapamiętałem wiele więcej z jej słów. Zakończyła obietnicą, że przyśle po mnie, gdy już się urządzi w nowym domu. Równie dobrze mogłaby mówić o innej planecie – wydawałoby mi się to tak samo realne. Zostawiała mnie. Zostawiała mnie tam. Z nim.

Złożyła mnie w ofierze. Skazała na piekło.

A potem, z tą swoją dziwną, beznadziejną niedorzecznością, jaką czasami przejawiała, wspomniała, że jeszcze nie poinformowała ojca. Chciała najpierw powiedzieć mnie.

Nie wierzę, że zamierzała z nim rozmawiać. To było jej jedyne pożegnanie - ze mną, tu i teraz. A potem, jeśli miała choć odrobinę rozsądku, powinna spakować torbę i uciec nocą.

Ja bym tak zrobił.

Poprosiła mnie, żebym zachował to w tajemnicy i obiecał, że nic nie powiem. Moja piękna, lekkomyślna, ufna matka... Pod wieloma względami byłem od niej o wiele starszy i mądrzejszy. A na pewno przebieglejszy. Wystarczyło mu powiedzieć. Powiedzieć temu dzikiemu szaleńcowi o jej planie porzucenia naszego okrętu. Nie pozwoliłby na to. Nie straciłbym jej. Nie chciałem jej tracić.

Chciałem?

Kochałem ją - prawda?

Coś się ze mną działo - z moim myśleniem. Zaczęło się podczas tej rozmowy z matką i trwało przez kolejne godziny; to była skradająca się do mnie powoli świadomość, dziwne objawienie.

Wydawało mi się, że ona mnie kocha.

Okazuje się, że istniało więcej wersji mojej matki.

I oto zacząłem dostrzegać tę inną osobę - nagle ujrzałem tę, która stała w cieniu i patrzyła, jak ojciec mnie torturuje. Dlaczego go nie powstrzymała? Dlaczego mnie nie broniła? Dlaczego nie wpoila we mnie przekonania, że warto mnie chronić?

Stała w obronie Rexa - wymierzyła nóż w tors ojca i zagroziła, że go zabije. Dla mnie nigdy czegoś takiego nie zrobiła.

Czułem, że bucha we mnie ogień - narastający gniew, wściekłość, która sama nie zgaśnie. Wiedziałem, że jest zła, że powinienem ją okiełznać, zanim mną zawładnie. Zamiast tego jednak rozdmuchiwałem ten ogień. I płonąłem.

Wszystkie te potworności, których doświadczyłem, znosiłem dla niej, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Ona zaś nigdy nie stawiała mnie na pierwszym miejscu. Wyglądało na to, że każdy musi się troszczyć o siebie. Ojciec miał rację - matka była samolubna, zepsuta i bezmyślna. Okrutna.

Należało ją ukarać.



Wtedy nie potrafiłbym jej tego powiedzieć. Nie dysponowałem odpowiednim słownictwem. Po latach mógłbym doprowadzić do konfrontacji z nią – może krótko po dwudziestce – kiedy byłbym już bardziej elokwentny. Po kolacji, wypiwszy o jednego drinka za dużo, zaatakowałbym tę starszą kobietę i spróbował ją skrzywdzić tak, jak ona niegdyś skrzywdziła mnie. Wyliczyłbym listę swoich żalów, a ona, w mojej fantazji, załamałaby się, rzuciła na ziemię i błagała mnie o wybaczenie. Wspaniałomyślnie bym jej przebaczył.

Jakim by to było luksusem – wybaczyć. Lecz nigdy nie dostałem tej szansy.

Tego wieczoru położyłem się do łóżka, płonąc, nienawidząc... Czułem się tak, jakby wzbierała we mnie rozgrzana do czerwoności lawa. Zasnąłem... Śniło mi się, że poszedłem na dół, wyciągnąłem z szuflady duży nóż i odciąłem matce głowę. Rąbałem i ciąłem jej szyję tak długo, aż osiągnąłem cel. Potem ukryłem tę głowę we włóczkowej torbie w biało-czerwone paski i schowałem pod łóżkiem, gdzie wiedziałem, że będzie bezpieczna. Ciało wrzuciłem do dołu z innymi zwłokami, bo tam nikt go nigdy nie znajdzie.

Po przebudzeniu się w potwornym żółtym świetle świtu byłem półprzytomny i zdezorientowany; bałem się, bo nie wiedziałem, co się wydarzyło. Wątpliwości kazały mi zejść do kuchni, by to sprawdzić. Otworzyłem szufladę z nożami. Wyciągnąłem największy. Obejrzałem go, szukając śladów krwi. Był czysty. Ostrze błyszczało w promieniach słońca.

Wtedy usłyszałem kroki. Szybko ukryłem nóż za plecami. Do kuchni weszła matka, cała i zdrowa.

O dziwo, widok nietkniętej matki bynajmniej nie podniósł mnie na duchu. Poczulem rozczarowanie.

Następnego ranka Mariana spotkała się z Zoe i Clarissą przy śniadaniu.

Bufet dla kadry znajdował się we wnęce obok głównego stołu. Był tam szeroki wybór pieczywa i ciast, stały naczynka z masłem, dżemem i marmoladą, duże srebrne półmiski z gorącymi daniami: jajecznicą, bekonem i kiełbaskami.

Stojąc w kolejce do bufetu, Clarissa wychwalała zalety pożywnego śniadania.

– Ustawia cię na cały dzień – mówiła. – Moim zdaniem nie ma nic ważniejszego. Gdy to tylko możliwe, jadam wędzone śledzie. – Przyjrzała się wystawionym różnakościom. – Ale nie dzisiaj. Dzisiaj proponuję kedgeree, zgodzicie się? Sprawdzoną potrawę poprawiającą nastrój. Wędzona ryba, jajka i ryż. Jest niezawodna.

Szybko okazało się, że to była pomyłka. Kiedy usiadły i Clarissa wzięła pierwszy kęs, poczerwieniała na twarzy, zakrztusiła się i wyciągnęła z ust dużą ość. Popatrzyła na nią z niepokojem.

– Wielkie nieba. Wygląda na to, że szef kuchni chce nas zabić. Zachowajcie ostrożność, kochane.

Uważnie przejrzała resztę swojej porcji, pomagając sobie widelcem. Mariana tymczasem składała im raport z wyprawy do Londynu. Podzieliła się z nimi sugestią Ruth, by zorganizowała sesję grupową z Boginiami. Spozregła, że Zoe uniosła brew.

– Zoe? Co o tym myślisz?

Siostrzenica popatrzyła na nią czujnie.

– Nie muszę w tym uczestniczyć?

Mariana ukryła rozbawienie.

– Nie, nie musisz. Nie martw się.

Zoe chyba ulżyło. Wzruszyła ramionami.

– W takim razie śmiało. Ale jeśli mam być szczerą, nie wydaje mi się, żeby się zgodziły. Chyba że on im każe.

Mariana potaknęła.

– Sądzę, że masz rację.

Clarissa szturchnęła ją w ramię.

– O wilku mowa.

Mariana i Zoe podniosły wzrok w chwili, gdy Edward Fosca podeszedł do stołu.

Usiadł przy drugim końcu, z dala od trzech kobiet. Wyczuł spojrzenie Mariany i przez kilka sekund patrzył jej w oczy. Potem się odwrócił.

Mariana wstała gwałtownie. Zoe zerknęła na nią z niepokojem.

– Co robisz?

– Jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć.

– Mariano...

Zignorowała Zoe i podeszła do drugiego końca stołu, gdzie siedział profesor. Trzymał w dłoni filiżankę z czarną kawą i czytał cienki tomik poezji.

Uświadomił sobie obecność Mariany. Popatrzył na nią.

– Dzień dobry.

– Profesorze – odezwała się. – Mam do pana prośbę.

– Tak? – Fosca przyjrzał się jej pytająco. – A jakąż to, Mariano?

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Czy miałby pan coś przeciwko temu, żebym porozmawiała z pańskimi studentkami? Tymi wyjątkowymi. Z Boginiami.

– Wydawało mi się, że już rozmawialiście.

– Grupowo.

– Grupowo?

– Tak. Chcę urządzić sesję grupową.

– Czy to nie one powinny się zgodzić?

– Moim zdaniem nie przystaną na to, jeśli im pan nie każe.

Fosca się uśmiechnął.

– Zatem nie prosi mnie pani o zgodę, tylko o... współpracę?

– Przypuszczam, że można to tak ująć.

Fosca przyglądał się jej z lekkim uśmiechem.

– Czy postanowiła już pani, gdzie i kiedy chciałaby tę sesję urządzić?

Mariana zastanawiała się przez moment.

– Może dzisiaj o siedemnastej? W OCR?

– Chyba się pani wydaje, że mam na nie ogromny wpływ, Mariano. Zapewniam, że tak nie jest. – Zamilkł. – Mogę zapytać, czemu ma służyć ta sesja? Co ma pani nadzieję osiągnąć?

– Na nic nie mam nadziei. Terapia nie na tym polega. Chcę zapewnić tym młodym kobietom przestrzeń, która pozwoli im przepracować potworne wydarzenia, na jakie były ostatnio narażone.

Fosca rozważał jej słowa, sącząc kawę.

– Czy zaproszenie obejmuje także mnie? Mam uczestniczyć w sesji?

– Wolałabym nie. Myślę, że pańska obecność mogłaby dziewczęta ograniczać.

– A jeżeli uzależnię od tego swoją zgodę na pomoc?

Mariana wzruszyła ramionami.

– Wówczas nie będę miała wyboru.

– W takim razie wezmę w tym udział. – Uśmiechnął się do niej.

Nie odwzajemniła uśmiechu.

– Zastanawiam się, profesorze – powiedziała, ściągając lekko brwi – co tak desperacko stara się pan ukryć.

– Niczego nie staram się ukryć. Powiedzmy, że chcę tam być, żeby chronić moje studentki.

– Chronić? Przed czym?

– Przed panią, Mariano – odparł. – Przed panią.

O siedemnastej Mariana czekała na Boginie w OCR.

Zarezerwowała pomieszczenie od siedemnastej do osiemnastej trzydzieści. OCR – Old Combination Room – był przestronnym salonem wykorzystywanym przez mieszkańców college’u jako pokój spotkań. Stały w nim duże kanapy, niskie stoliki kawowe i długi stół jadalny ciągnący się wzdłuż jednej ze ścian. Wisiały tu portrety starych mistrzów – mroczne obrazy w przygaszonych odcieniach na tle karmazynowej tapety w złote wzory. W marmurowym kominku płonął słabo ogień, a jego migotliwe światło odbijało się w złoconych meblach. Atmosfera wnętrza była spokojna i podnosiła na duchu – Mariana uznała, że świetnie pasuje do sesji.

Ustawiła w kręgu dziewięć krzeseł. Usiadła, wybrawszy takie, z którego miała widok na zegar nad kominkiem. Było kilka minut po siedemnastej. Zastanawiała się, czy dziewczyny się pojawią. Nie zdziwiłaby się, gdyby nie przyszły. Po chwili jednak drzwi się otworzyły. Do pokoju weszło pięć młodych kobiet, jedna za drugą. Sądząc po ich kamiennych twarzach, przybyły tu pod przymusem.

– Dzień dobry – przywitała je Mariana z uśmiechem. – Dziękuję, że przyszłyście. Usiądziecie?

Boginie spojrzały na ustawienie krzeseł, a potem popatrzyły po sobie. Wysoka blondynka wydawała się ich liderką. Mariana wyczuła, że pozostałe zdają się na nią. Gdy ona usiadła, reszta poszła za jej przykładem.

Zająły miejsca obok siebie, tak by puste krzesła oddzielały je od Mariany. Skierowały na nią wzrok. Ona zaś poczuła się nagle onieśmielona tym murem nieprzyjaznych młodych twarzy.

Pomyślała, że to śmieszne dać się onieśmielić grupce dwudziestolatek, nieważne jak pięknych czy inteligentnych. Poczowała się znowu jak w szkole, jak brzydkie kaczątko na skraju boiska, stojące przed gangiem popularnych uczennic. Bardzo młoda część jej osobowości się bała. Mariana zastanawiała się przez chwilę, jakie są młode pierwiastki w tych dziewczynach – czy ich pozorna pewność siebie maskowała podobne do jej poczucie niższości? Czy pod tą powłoką czuły się tak małe jak ona? Jakoś trudno było to sobie wyobrazić.

Dotychczas rozmawiała z nią tylko Serena i wydawało się, że ma problem z tym, by spojrzeć Marianie w oczy. Pewnie Morris powiedział jej o ich konfrontacji. Spuściła głowę i wpatrywała się w swoje kolana, jakby zawstydzona.

Pozostałe patrzyły na nią wzrokiem bez wyrazu. Chyba czekały, aż Mariana się odezwie. Ona jednak nic nie mówiła, siedziały więc w milczeniu.

Zerknęła na zegarek – było dziesięć po piątej. Profesor Fosca nie przyszedł, a jeśli los będzie jej sprzyjał, może postanowił w ogóle się nie pojawić.

– Sądzę, że powinniśmy zaczynać – odezwała się w końcu.

– A co z profesorem? – zapytała blondynka.

– Pewnie coś go zatrzymało. Zaczniemy bez niego. Proponuję, żebyśmy się sobie przedstawiły. Ja jestem Mariana.

Zapadła chwila ciszy. Blondynka wzruszyła ramionami.

– Carla.

Reszta poszła w jej ślady.

– Natasza.

– Diya.

– Lillian.

Serena odezwała się jako ostatnia. Zerknęła na Marianę i wzruszyła ramionami.

– Moje imię znasz.

– Tak, Sereno. Znam.

Mariana uporządkowała myśli i zwróciła się do grupy:

– Zastanawiam się, jak się czujecie, siedząc tu razem.

Skwitowały to milczeniem. Żadnej reakcji, nawet wzruszenia ramionami. Mariana czuła ich lodowatą wrogość. Kontynuowała niezrażona:

– Powiem wam, jak ja się czuję. Dziwnie. Co rusz spoglądam na puste krzesła. – Wskazała na trzy wolne miejsca w kręgu. – Myślę o ludziach, którzy powinni na nich siedzieć.

– Na przykład profesor – wtrąciła Carla.

– Nie tylko profesor. Kogo jeszcze mogłam mieć na myśli?

Carla zerknęła na krzesła i szyderczo wywróciła oczami.

– To dla nich są te krzesła? Dla Tary i Veroniki? To głupie.

– Dlaczego głupie?

– Bo przecież nie przyjdą. To oczywiste.

Mariana wzruszyła ramionami.

– To nie znaczy, że nie stanowią nadal części grupy. Często o tym rozmawiamy podczas terapii grupowej. Nawet jeśli kogoś już z nami nie ma, wciąż może się wydawać obecny. – Mówiąc to, zerknęła w stronę jednego z pustych krzeseł i zobaczyła siedzącego na nim Sebastiana, który patrzył na nią z rozbawieniem. Przepędziła go. – Zastanawiam się – kontynuowała – jak to jest należeć do takiej grupy jak ta... Co to dla was znaczy?

Żadna z dziewcząt nie odpowiedziała. Patrzyły na nią pustym wzrokiem.

– W terapii grupa często staje się jak rodzina. Wyznaczamy nawet rodzeństwo, rodziców, wujów i ciotki. Przypuszczam, że u was też było jak w rodzinie. Straciłyście dwie siostry.

Bez odpowiedzi. Ciągnęła więc ostrożnie:

– Podejrzewam, że profesor Fosca jest waszym ojcem.

Cisza.

– Jest dobrym ojcem?

Natasza westchnęła ciężko, z rozdrażnieniem.

– Co za bzdury – skwitowała z wyraźnym rosyjskim akcentem. – To jasne, co robisz.

– Czyli?

– Próbujesz nas nakłonić, żebyśmy powiedziały coś złego o profesorze. Chcesz nas przechytrzyć. Zastawić pułapkę.

– Dlaczego myślisz, że chcę zastawić na niego pułapkę?

Natasza westchnęła wzgardliwie i nie odpowiedziała.

– Posłuchaj, Mariano – odezwała się zamiast niej Carla. – Wiemy, co myślisz. Tyle że profesor nie miał nic wspólnego z zabójstwami.

– Zgadza się – przytaknęła energicznie Natasza. – Byłyśmy z nim przez cały czas. – W jej głosie zabrzmiała nagła pasja, paląca uraza.

– Jesteś bardzo zła, Nataszo – stwierdziła Mariana. – Czuję to.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– To dobrze, bo jestem zła na ciebie.

Mariana skinęła głową.

– Łatwo być złą na mnie. Nie zagrażam wam. Znacznie trudniej jest być złą na „ojca” za to, że pozwolił dwójce swoich dzieci zginąć.

– Chryste Panie, to nie jego wina, że nie żyją – wtrąciła Lillian.

– W takim razie czyja to wina? – spytała Mariana.

Lillian wzruszyła ramionami.

– Ich.

Mariana przyjrzała się jej uważnie.

– Słucham? Jak mogą być za to odpowiedzialne?

– Powinny były bardziej uważać. Tara i Veronica były głupie. Obie.

– Zgadza się – potwierdziła Diya.

Carla i Natasza potaknęły głową.

Mariana patrzyła na nie w zdumieniu. Na chwilę odjęło jej mowę. Wiedziała, że gniew jest emocją łatwiejszą od smutku, ale ona, tak wrażliwa na uczucia innych, nie wyczuwała tu choćby nuty smutku. Żadnego żalu, wyrzutów sumienia, poczucia straty. Tylko pogardę. Lekceważenie.

Dziwne. Zwykle w sytuacji ataku z zewnątrz grupa tego rodzaju zwierza szyki, jednoczy się, łączy, tymczasem Marianę zdumiewało to, że jedyną osobą w St. Christopher's College, która okazywała jakiegokolwiek rzeczywiste emocje z powodu śmierci Tary lub Veroniki, była Zoe.

Przypomniała się jej grupa Henry'ego z Londynu, bo w tej tutaj dostrzegła coś podobnego. Tam Henry rozbijał grupę od środka, atakował ją, przez co nie mogła normalnie funkcjonować. Czy tutaj było podobnie? Jeśli tak, znaczyłoby to, że grupa nie reagowała na zagrożenie z zewnątrz.

Owo zagrożenie było już obecne wewnątrz.

W tym momencie rozległo się pukanie. Drzwi się otworzyły...

W progu stał profesor Fosca. Uśmiechał się.

– Mogę dołączyć?



– Wybaczcie mi spóźnienie – powiedział. – Coś mnie zatrzymało.

Mariana lekko ściągnęła brwi.

– Niestety już zaczęliśmy.

– Mimo to chyba mogę wejść?

– To nie zależy ode mnie, tylko od grupy. – Zerknęła na zebrane. – Kto uważa, że profesor Fosca powinien do nas dołączyć?

Jeszcze zanim dokończyła pytanie, pięć rąk wystrzeliło do góry. Tylko ona nie podniosła ręki.

Fosca się uśmiechnął.

– Nie podniosłaś ręki, Mariano.

Pokręciła głową.

– Nie podniosłam. Ale zostałam przegłosowana.

Poczuła zmianę energii w chwili, kiedy Fosca dołączył do kręgu. Boginie się spięły, a on, zajmując miejsce, wymienił szybkie spojrzenie z Carlą. Przez cały czas uśmiechał się do Mariany.

– Kontynuujmy, proszę.

Mariana milczała krótką chwilę, a potem postanowiła wypróbować inne podejście. Uśmiechnęła się niewinnie.

– Uczy pan greckiej tragedii, profesorze?

– Zgadza się.

– Czy analizował pan *Ifigenię w Aulidzie*? Historię Agamemnona i Ifigenii? – Mówiąc to, przyglądała się uważnie profesorowi, ale nie zauważyła szczególnej reakcji na wzmiankę o tym dramacie.

Fosca skinął głową.

– Owszem. Jak wiesz, Eurypides jest moim ulubionym autorem.

– Zgadza się. Postać Ifigenii zawsze mnie frapowała... Zastanawiam się, co myślą pańskie studentki.

– Frapowała? Jak to?

Mariana myślała przez chwilę.

– Chyba niepokoi mnie to, że jest taka pasywna... uległa.

– Uległa?

– Nie walczy o życie. Nie została związana. Pozwala ojcu, by ją zabił.

Fosca z uśmiechem spojrział na dziewczyny.

– Mariana zrobiła ciekawą uwagę. Może ktoś chciałby odpowiedzieć...?  
Carla?

Carla wyglądała na zadowoloną z wywołania do odpowiedzi. Uśmiechnęła się do Mariany, jakby chciała udobruchać dziecko.

– Właśnie to, jak Ifigenia zginęła, jest najważniejsze.

– To znaczy?

– W ten sposób osiąga swoją tragiczną pozycję, za sprawą heroicznej śmierci. – Carla zerknęła na Foscę, by ją pochwalił.

Posłał jej słaby uśmiech.

Mariana pokręciła głową.

– Przykro mi, ale nie kupuję tego.

– Nie? – Fosca wydawał się zaintrygowany. – A dlaczego?

Mariana popatrzyła na młode kobiety w kręgu.

– Chyba najlepiej będzie odpowiedzieć na to... zapraszając Ifigenię tutaj, na sesję. Niech do nas dołączy i usiądzie na jednym z pustych krzeseł. Co wy na to?

Kilka dziewczyn wymieniło lekceważące spojrzenia.

– To głupie – stwierdziła Natasza.

– Dlaczego? Przecież była mniej więcej w waszym wieku. Możliwe, że trochę młodsza. Miała szesnaście, siedemnaście lat? Jaką dzielną, wyjątkową była osobą. Wyobraźcie sobie, co mogłaby uczynić ze swoim życiem. Gdyby przeżyła. Co mogłaby osiągnąć. Co moglibyśmy powiedzieć Ifigenii teraz, gdyby siedziała tutaj? Co byśmy jej powiedziały?

– Nic – odparła obojętnie Diya. – Co tu jest do powiedzenia?

– Nic? Nie spróbowałybyście jej ostrzec... przed psychopatycznym ojcem? Nie pomogłybyście jej ocalić?

– Ocalić? – Diya popatrzyła na nią pogardliwie. – Przed czym? Przed jej losem? Tragedia nie na tym polega.

– Poza tym to nie była wina Agamemnona – wtrąciła Carla. – To Artemis zażądała śmierci Ifigenii. Taka była wola bogów.

– A jeśli bogów nie ma? – ciągnęła Mariana. – Zostaje tylko dziewczyna i jej ojciec. Co wtedy?

Carla wzruszyła ramionami.

– Nie byłoby tragedii.

Diya przytaknęła.

– Tylko popieprzona grecka rodzinka.

Fosca przez cały czas milczał i obserwował debatę z rozbawieniem. Teraz jednak zwyciężyła u niego ciekawość.

– A co pani by jej powiedziała, Mariano? Dziewczynie, która zginęła, by ratować Grecję? Tak się składa, że była młodsza, niż pani myśli. Miała raczej czternaście albo piętnaście lat. Gdyby znalazła się tu teraz, co by jej pani powiedziała?

Mariana zadumała się na chwilę.

– Przypuszczam, że chciałabym się dowiedzieć czegoś o jej relacji z ojcem... I o tym, dlaczego czuła się zmuszona poświęcić dla niego.

– A jak pani sądzi?

Mariana wzruszyła ramionami.

– Wierzę, że dzieci zrobią wszystko, aby być kochane. Kiedy są małe, chodzi o fizyczne, a potem o psychiczne przetrwanie. Zrobią wszystko, aby się o nie troszczono. – Ściszyła głos, zwracając się nie do Foski, tylko młodych kobiet siedzących przy nim. – A niektórzy ludzie to wykorzystują.

– Co to konkretnie znaczy? – zapytał.

– To, że gdybym była jej terapeutką, postarałabym się pomóc Ifigenii dostrzec coś, co było dla niej niewidoczne.

– Czyli co? – zainteresowała się Carla.

Mariana uważnie dobierała słowa.

– Chodzi o to, że we wczesnym dzieciństwie Ifigenia błędnie odebrała wykorzystanie jako miłość. Ten błąd wpłynął na to, jak postrzegała siebie... i otaczający ją świat. Agamemnon nie był bohaterem. Był szaleńcem, psychopatą dzieciobójcą. Ifigenia nie musiała kochać ani czcić tego człowieka. Nie musiała ginąć, by go zadowolić. – Mariana patrzyła dziewczynom w oczy. Tak bardzo pragnęła do nich dotrzeć. Miała nadzieję, że to je poruszy... ale czy tak się stanie? Skąd mogła wiedzieć? Czuła na sobie spojrzenie Foski i spodziewała się, że on za chwilę jej przerwie. Dlatego powiedziała szybko: – Gdyby Ifigenia przestała się okłamywać w sprawie ojca... gdyby obudziła się dla tej potwornej druzgocącej prawdy, że to nie była miłość, że ojciec jej nie kochał, bo nie wiedział jak, w tym momencie przestałaby być bezbronną dziewczyną, która położyła głowę na pieńku. Wyrwałaby topór z rąk kata. I zostałaby boginią. – Mariana odwróciła się i popatrzyła na Foskę. Starła się wymazać gniew ze swojego głosu. Nie do końca jej się to udało. – Tak się jednak nie stało w przypadku Ifigenii, prawda? Ani Tary czy Veroniki. Nie miały szansy stać się boginiami. Nie miały szansy dorosnąć.

Kiedy tak na niego patrzyła, siedząc w kręgu naprzeciwko, ujrzała błysk gniewu w jego oczach. Podobnie jako ona Fosca go nie ujawnił.

– Rozumiem, że według pani jestem w obecnej sytuacji obsadzany w roli ojca? Agamemnona? Czy to właśnie pani sugeruje?

– Zabawne, że pan to mówi. Przed pańskim przyjściem rozmawialiśmy o pańskich zaletach jako „ojca” w tej grupie.

– Doprawdy? I do jakiego wniosku doszłyście?

– Nie osiągnęliśmy zgody. Zapytałam jednak Boginie, czy czują się mniej bezpiecznie pod pańską opieką, skoro dwie z nich nie żyją. – Gdy to mówiła, jej wzrok powędrował w stronę pustych krzeseł.

Fosca podążył za jej spojrzeniem.

– Ach, teraz rozumiem – rzekł. – Te krzesła reprezentują nieobecne uczestniczki grupy. Jest krzesło dla Tary i dla Veroniki?

– Zgadza się.

– W takim razie – odezwał się po krótkiej chwili milczenia – czy nie brakuje jeszcze jednego?

– Nie rozumiem.

– To pani nie wie?

– Czego?

– Och. Nie powiedziała pani? Bardzo interesujące. – Fosca dalej się uśmiechał. Wyglądał na rozbawionego. – Może powinna pani skierować swoją potężną analityczną lupę na siebie, Mariano? Bo jaka z pani „matka”?

– Lekarzu, lecz się sam – rzuciła Carla ze śmiechem.

Fosca zachichotał.

– Tak. Właśnie tak. – Zwrócił się do pozostałych, udając terapeutę. – Co sądzimy o tym oszustwie... jako grupa? Co to według nas znaczy?

– Cóż... – powiedziała Carla. – To wiele mówi o ich relacji.

Natasza pokiwała głową.

– O tak. Nie są tak zżyte, jak się Marianie wydaje.

– Ona jej najwyraźniej nie ufa – dodała Lillian.

– Zastanawiam się dlaczego – mruknął Fosca, wciąż z uśmiechem.

Mariana czuła, że się czerwieni i twarz pali ją ze złości na tę ich gierkę – scenka rodem ze szkolnego boiska: Fosca, jak każdy tyran, zmanipulował grupą i nastawił ją przeciwko Marianie. Robili sobie z niej żarty, wyśmiewali ją, drwili z niej. Znienawidziła ich.

– O czym wy mówicie? – zapytała.

Fosca rozejrzał się po kręgu.

– Kto będzie czynił honory? Sereno? Może ty?

Dziewczyna skinęła głową i wstała. Wyszła z kręgu i podeszła do stołu. Wzięła jedno ze stojących przy nim krzeseł, przeniosła je i wstawiła w wolną przestrzeń obok Mariany. Potem usiadła na swoim miejscu.

– Dziękuję – odezwał się Fosca. Spojrzał na Marianę. – Widzi pani, brakowało jednego krzesła. Dla ostatniej uczestniczki spotkań Bogiń.

– Czyli dla kogo? – spytała, chociaż już wiedziała, co Fosca odpowie.

A on się uśmiechnął.

– Dla pani siostrzenicy Zoe.

Po sesji Mariana wyszła chwiejnym krokiem na główny dziedziniec. Czuła się ogłuszona.

Musiała porozmawiać z Zoe – i poznać jej wersję historii. Na swój okrutny sposób grupa słusznie zauważyła, że Mariana powinna przyjrzeć się bliżej sobie i swojej siostrzenicy, jak również zrozumieć, dlaczego Zoe nie powiedziała jej, że jest jedną z Bogiń. Mariana musiała poznać powód.

Zorientowała się, że idzie w kierunku pokoju Zoe, żeby z nią porozmawiać. W chwili, gdy dotarła do przejścia prowadzącego na Eros Court, zatrzymała się.

Konieczne będzie wyczucie. Zoe była wrażliwa i bezbronna, a co więcej, z jakiejś przyczyny – Mariana nie mogła przestać myśleć o tym, że związanej z Edwardem Foscą – nie umiała się zdobyć na wyjawienie Marianie prawdy.

Fosca właśnie celowo zdradził zaufanie Zoe, żeby sprowokować Marianę. Dlatego ona nie może połknąć przynęty. Nie może wtargnąć do pokoju Zoe i oskarżyć jej o kłamstwo. Musi wspierać Zoe i dobrze się zastanowić nad dalszymi krokami. Postanowiła się z tym przespać i porozmawiać z Zoe rano, gdy się trochę uspokoi. Odwróciła się. Zatopiona w myślach zobaczyła Freda dopiero wtedy, gdy wyszedł z cienia.

Stał na ścieżce przed nią.

– Cześć, Mariano.

Wciągnęła głośno powietrze.

– Fred. Co ty tu robisz?

– Szukam cię. Chciałem sprawdzić, czy nic ci nie jest.

– W zasadzie nic.

– Obiecałaś, że się odezwiesz po powrocie z Londynu.

– Wiem. Przepraszam. Byłam... zajęta.

– Na pewno nic ci nie jest? Bo wyglądasz, jakby przydał ci się drink.

Uśmiechnęła się.

– Nie mylisz się.

Fred odwzajemnił uśmiech.

– W takim razie... co ty na to?

Mariana się zawahała. Nie była pewna.

– No cóż, ja...

– Tak się składa, że mam fantastycznego burgunda. Wyniesiony z uroczystej kolacji. Trzymałem go na specjalną okazję... Więc jak? Jest u mnie w pokoju.

„A co mi tam” – pomyślała Mariana. Skinęła głową.

– Dobra. Czemu nie.

– Serio? – Twarz Freda się rozpromieniła. – Okej, świetnie. Chodźmy.

Podał jej ramię, ale Mariana nie wzięła go pod rękę. Po prostu ruszyła, a Fred potruchtał za nią.

Pokój Freda w Trinity College był większy od pokoju Zoe, za to stały w nim nieco bardziej zniszczone meble. Mariana w pierwszej kolejności zwróciła uwagę na panujący tu porządek: żadnych rupieci, bałaganu, jeśli nie liczyć leżących wszędzie kartek – stron pokrytych odręcznym pismem i matematycznymi wzorami. Wyglądały na dzieło szaleńca – albo geniusza – połączone strzałkami i nieczytelnymi uwagami naniesionymi na marginesach.

Kilka oprawionych w ramki zdjęć było jedynymi osobistymi przedmiotami, jakie Mariana tu zauważyła. Jedna z fotografii wydawała się lekko wyblakła, jakby zrobiono ją w latach osiemdziesiątych; przedstawiała atrakcyjnych młodych ludzi, kobietę i mężczyznę, prawdopodobnie rodziców Freda, stojących przed drewnianym płotem ogradzającym łąkę. Inne zdjęcie ukazywało małego chłopca z psem, z fryzurą pod garnek i poważną miną. Mariana zerknęła na Freda. Miał taką samą minę, skupiony na zapalaniu świec. Włączył muzykę – *Wariacje Goldbergowskie* Bacha. Zebrał kartki z kanapy i ułożył je w nierówny stos na biurku.

– Przepraszam cię za ten bałagan.

– To twoja praca? – spytała, pokazując głową w stronę kartek.

– Nie. To tylko coś... co piszę. Swego rodzaju... książka, jak sądzę. – Miał kłopot z dobraniem odpowiedniego słowa. – Usiądziesz? – Wskazał kanapę.

Mariana usiadła. Poczuła pod sobą pękniętą sprężynę, więc się lekko przesunęła.

Fred wyciągnął butelkę starego burgunda. Pokazał go jej z dumą.

– Niezłe, co? Zabiliby mnie, gdybym został przyłapany, kiedy ją wynosiłem.

Sięgnął po korkociąg i zaczął się mocować z korkiem. Przez chwilę Mariana myślała, że chłopak wypuści butelkę. Udało mu się ją otworzyć z głośnym pyknięciem i nalał czerwonego wina do dwóch wyszczerbionych kieliszków pochodzących z różnych kompletów. Podał Marianie ten mniej uszkodzony.

– Dziękuję – powiedziała.

Uniósł swój.

– Zdrowie.



Mariana pociągnęła łyczek wina – było rzecz jasna wyborne. Fred najwyraźniej też tak uważał. Westchnął z zadowoleniem. Jego usta zabarwiły się na ciemno.

– Cudowne – stwierdził.

Przez moment milczeli. Mariana słuchała muzyki, zatracając się we wznoszącej się i opadającej skali Bacha, tak eleganckiej, tak matematycznej w swej konstrukcji. Prawdopodobnie dlatego te dźwięki przemawiały do ścisłego umysłu Freda.

Zerknęła na stos kartek na biurku.

– O czym jest ta... książka, którą piszesz?

– Szczerze? – Fred wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia.

Mariana się zaśmiała.

– Musisz mieć pojęcie.

– Cóż... – Fred odwrócił wzrok. – Przypuszczam, że w pewnym sensie jest... o mojej matce. – Zerknął na nią nieśmiało, jakby się bał, że Mariana mogłaby go wyśmiać.

Bynajmniej jej to nie rozbawiło. Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– O matce?

Fred przytaknął.

– Tak. Zostawiła mnie... gdy byłem chłopcem... Umarła.

– Przykro mi – powiedziała Mariana. – Moja matka też umarła.

– Tak? – Fred szeroko otworzył oczy. – Nie wiedziałem. W takim razie oboje jesteśmy sierotami.

– Ja nie byłem sierotą. Miałam ojca.

– Tak. – Fred skinął głową. – Też miałem – dodał cicho.

Sięgnął po butelkę i zaczął dolewać wina do kieliszka Mariany.

– Tyle wystarczy, dziękuję.

Zignorował ją i nappełnił kieliszek po brzegi. Nie przejęła się tym – rozluźniała się, pierwszy raz od wielu dni, i była za to wdzięczna Fredowi.

– Widzisz – odezwał się, dolewając też wina sobie. – Śmierć matki nakierowała mnie na matematykę teoretyczną i światy równoległe. Właśnie tego dotyczy moja praca.

– Chyba nie rozumiem.

– Nie mam pewności, czy sam rozumiem. Jeśli jednak istnieją inne światy, identyczne z naszymi, to znaczy, że gdzieś tam istnieje taki, w którym moja matka nie umarła. – Wzruszył ramionami. – No więc... wybrałem się na poszukiwanie jej.

W jego oczach pojawiło się smutne, nieobecne spojrzenie. Wyglądał jak zagubiony chłopiec. Mariana zrobiło się go żal.

– Znalazłeś ją? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– W pewnym sensie... Odkryłem, że czas nie istnieje tak naprawdę, więc ona nigdzie nie odeszła. Jest tutaj.

Gdy Mariana się nad tym zadumała, Fred odstawił kieliszek, zdjął okulary i odwrócił się do niej.

– Mariano, posłuchaj...

– Proszę, nie.

– Co? Nawet nie wiesz, co chcę powiedzieć.

– Zamierzasz wygłosić jakąś romantyczną deklarację, a ja nie chcę jej usłyszeć.

– Deklarację? Nie. Chcę cię o coś zapytać. Wolno mi zadawać pytania?

– To zależy.

– Kocham cię.

Mariana ściągnęła brwi.

– To nie jest pytanie.

– Wyjdiesz za mnie? To jest pytanie.

– Fred, proszę, zamilcz...

– Kocham cię, Mariano. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia, w pociągu. Chcę żyć z tobą. Chcę się o ciebie troszczyć. Chcę się tobą opiekować...

To były niewłaściwe słowa. Mariana poczuła, że rośnie jej temperatura, policzki piekły ją ze zdenerwowania.

– Nie chcę, żeby ktoś się mną opiekował! Nie wyobrażam sobie nic gorszego. Nie jestem damulką w opałach, jakąś... dziewczyną czekającą na wybawcę. Nie potrzebuję rycerza w lśniącej zbroi, chcę... chcę...

– Czego? Czego chcesz?

– Żebyś zostawił mnie w spokoju.

– Nie. – Fred pokręcił głową. – Nie wierzę w to. Pamiętasz moje przeczucie? – dodał szybko. – Pewnego dnia poproszę cię o rękę, a ty się zgodzisz.

Mariana nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Przykro mi, Fred. Nie w tym świecie.

– Wiesz, w jakimś innym już jesteśmy małżeństwem.

Zanim zdążyła zaprotestować, Fred pochylił się i przywarł ustami do jej warg; poczuła miękkość jego pocałunku, ciepło i czułość. Niepokoił ją i rozbrajał równocześnie.

Fred przerwał pocałunek tak samo nagle, jak go zaczął. Odsunął się i szukał wzrokiem jej oczu.

– Przepraszam... Nie mogłem się powstrzymać.

Pokręciła głową. Milczała. Pocałunek podziałał na nią w jakiś niewytłumaczalny sposób.

– Nie chcę cię krzywdzić, Fred.

– Nie szkodzi. Możesz mnie krzywdzić. Przecież „lepiej jest, kochając, stracić obiekt westchnień, niżli nie zaznać nigdy rozkoszy miłości”. – Zaśmiał się. Po czym spostrzegł, że Mariana posmutniała, i się zaniepokoił.

– Co? Co takiego powiedziałem?

– Nic. – Zerknęła na zegarek. – Późno się zrobiło. Powinnam iść.

Fred wyglądał na zboląłego.

– Już? Dobrze. Odprowadzę cię na dół.

– Nie musisz...

– Chcę.

Postawa Freda uległa nieznacznej zmianie; wydawał się ostrzejszy. Jakby uleciało z niego trochę ciepła. Wstał, nie patrząc na nią.

– Chodźmy – rzucił.

Fred i Mariana szli po schodach w milczeniu. Przerwali je dopiero po wyjściu na ulicę. Mariana spojrzała na Freda i powiedziała:

– To dobranoc.

Fred się nie ruszył.

– Idę na spacer.

– Teraz?

– Często spaceruję nocą. To jakiś problem?

W jego tonie pobrzmiwało rozdrażnienie, wrogość. Mariana dostrzegąca, że poczuł się odrzucony. Może niesłusznie, ale zirytowała się na niego. Jego zranione uczucia to nie jej problem. Miała poważniejsze troski.

– Okej – powiedziała. – Do widzenia.

Fred stał nieruchomo. Patrzył na nią.

– Czekał – rzekł nagle. Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął kilka złożonych razem kartek. – Miałem ci to dać później, ale weź teraz. – Podsunął jej kartki.

Nie przyjęła ich.

– Co to?

– List. Do ciebie. Wyjaśnia moje uczucia lepiej, niż zdołałbym to zrobić osobiście. Przeczytaj. Wtedy zrozumiesz.

– Nie chcę.

Próbował wepchnąć jej zwitek w dłoń.

– Mariano, weź to.

– Nie. Przestań. Nie zmusisz mnie.

– Mariano...

Odwróciła się i odeszła. Idąc ulicą, najpierw czuła gniew, potem zaskakujący smutek, a wreszcie żal. Nie dlatego, że go skrzywdziła, ale dlatego, że go odrzuciła, zamknęła drzwi dla tej innej narracji, która mogłaby zaistnieć.

Czy to możliwe? Czy Mariana mogłaby go kiedykolwiek pokochać, tego poważnego młodzieńca? Mogłaby się tulić do niego wieczorem i opowiadać mu różne historie? Nawet myśląc o tym, wiedziała, że to nierealne.

Bo jak by mogła?

Miała zbyt wiele do powiedzenia. I było to przeznaczone wyłącznie dla uszu Sebastiana.

Po powrocie do St. Christopher's College Mariana nie od razu poszła do swojego pokoju. Ruszyła przez główny dziedziniec... do budynku mieszczącego stołówkę.

Kroczyła ciemnym korytarzem, aż stanęła twarzą w twarz z obrazem.

Z portretem Tennysona.

Miała go przed oczami i myślała o nim ciągle, nie wiedząc czemu. Smutny, przystojny Tennyson.

Nie, nie smutny – to słowo nie oddawało jego nastroju. Co to było?

Wpatrywała się w tę twarz, usiłując odczytać jej wyraz. Znowu miała wrażenie, że poeta patrzy nad jej ramieniem na coś, co znajduje się tuż za nią, wpatruje się w coś... coś niewidocznego.

Tylko w co?

Nagle zrozumiała. Pojęła, na co, a raczej na kogo patrzy Tennyson.

To był Hallam.

Tennyson patrzył na Hallama stojącego tam, gdzie nie dociera światło, za całunem. Właśnie to wyrażały jego oczy – oczy człowieka, który obcował ze zmarłym.

Tennyson się zagubił... Kochał ducha. Odwrócił się do życia plecami. A Mariana?

Kiedyś sądziła, że tak.

A teraz?

Teraz – może... Nie była pewna.

Stała tak jeszcze przez chwilę, pogrążona w zadumie. Odwróciła się, by odejść, i... usłyszała kroki. Zatrzymała się. Mężczyzna w butach z twardymi podeszwami szedł niespiesznie po kamiennej posadzce mrocznym korytarzem...

Zbliżał się.

Początkowo Mariana nikogo nie widziała. Potem... gdy mężczyzna znalazł się bliżej, dostrzegła w ciemności ruch ... i błysk ostrza.

Znieruchomiała. Bała się oddychać. Starła się wypatrzeć, kto to jest. Wtedy z cienia powoli wyłonił się... Henry.

Patrzył na nią.

Miał potworne spojrzenie – nie do końca przytomne, jakby maniakalne. Stoczył jakąś bójkę i krwawił z nosa. Jego twarz i koszula były umazane

krwią. Trzymał w dłoni nóż o dwudziestocentymetrowym ostrzu.

Mariana starała się mówić spokojnie i bez strachu. Nie potrafiła jednak zapanować nad drzeniem głosu.

– Henry? Proszę, opuść nóż.

Milczał. Przyglądał się jej. Oczy miał wielkie jak reflektory i ewidentnie znajdował się pod wpływem narkotyku.

– Co tutaj robisz? – spytała.

Nie odpowiedział od razu.

– Przecież musiałem cię zobaczyć. Nie chcesz spotkać się ze mną w Londynie, to musiałem przyjechać tutaj.

– Jak mnie znalazłeś?

– Widziałem cię w telewizji. Stałaś z policjantami.

– Nie przypominam sobie tego – powiedziała ostrożnie. – Starałam się unikać obiektywu kamery.

– Myślisz, że kłamię? Że przyjechałem tu za tobą?

– Henry, czy to ty włamałeś się do mojego pokoju?

– Porzuciłaś mnie, Mariano. – Do jego tonu zakradła się histeryczna nuta. – Poświęciłaś mnie.

– Słucham? – Mariana patrzyła na niego wytrącona z równowagi. – Dlaczego... użyłeś tego słowa?

– Bo to prawda.

Uniósł nóż i postąpił krok w jej stronę. Mariana ani drgnęła.

– Odłóż nóż, Henry.

Szedł dalej.

– Ja nie mogę tak dłużej żyć. Muszę się uwolnić. Muszę się rozciąć i uwolnić.

– Henry, proszę, przestań...

Mężczyzna uniósł nóż, jakby szykował się do ataku. Mariana czuła szybkie bicie serca.

– Zabiję się, na twoich oczach – oznajmił. – A ty będziesz na to patrzyła.

– Henry...

Uniósł nóż wyżej i...

– Stój!

Henry usłyszał dobiegający zza jego pleców głos i się odwrócił. Z mroku wypadł Morris i rzucił się na niego. Rozgorzała szamotanina. Portier bez trudu obezwładnił przeciwnika i rzucił go na podłogę, jakby ten był workiem z sianem. Henry upadł bezwładnie.

– Proszę go zostawić – powiedziała Mariana. – Niech mu pan nie robi krzywdy.

Podeszła do Henry'ego, żeby pomóc mu wstać, ale on odepchnął jej rękę.

– Nienawidzę cię – rzucił jak mały chłopiec. Jego zaczerwienione oczy wypełniły się łzami. – Nienawidzę cię.

Morris wezwał policję i Henry'ego aresztowano, ale Mariana przekonała policjantów, że mężczyzna potrzebuje pomocy psychiatrycznej, więc zabrano go do szpitala, gdzie został odizolowany. Dostał leki przeciwpsychotyczne, a Mariana umówiła się na rano na rozmowę z psychiatrą.

Oczywiście obwiniła się o to, co się wydarzyło.

Henry miał rację – poświęciła go, podobnie jak pozostałych bezbronnych ludzi znajdujących się pod jej opieką. Gdyby była dostępna, kiedy Henry jej potrzebował, może by do tego nie doszło. Taka była prawda.

Teraz Mariana musiała zadbać o to, żeby to wielkie poświęcenie nie poszło na marne... i to za wszelką cenę.

Do pokoju Mariana dotarła niemal o pierwszej w nocy. Była wykończona, ale zarazem zbyt pobudzona, żeby zasnąć. Zbyt niespokojna i nakręcona.

W pokoju było zimno, więc włączyła stary elektryczny grzejnik przymocowany do ściany. Chyba nie używano go od poprzedniej zimy, bo kiedy się rozgrzewał, powietrze wypełniła ciężka woń palonego kurzu. Mariana usiadła na twardym krześle, wpatrywała się w czerwony, rozgrzany pręt świecący w ciemności, czuła jego ciepło i wsłuchiwała się w jego szum. Siedziała i rozmyślała... o Edwardzie Fosce. Był taki zadowolony z siebie, taki pewny swego. „Uważa, że ujdzie mu to na sucho – uznała. – Jest przekonany, że wygrał”.

Nie wygrał. Jeszcze nie. Mariana postanowiła go przechytrzyć. Musiała. Nie będzie spała przez całą noc, będzie się nad tym głowiła i to rozgryzie.

Trwała tak przez wiele godzin w czujnym transie – myślała i myślała, analizowała wszystko, co się wydarzyło, odkąd Zoe zadzwoniła do niej w poniedziałkowy wieczór. Przyglądała się każdemu elementowi historii, przeróżnym wątkom, oglądając je pod wieloma kątami i starając się zrozumieć. Usiłowała widzieć jasno.

To musi być oczywiste – odpowiedź musi się znajdować tuż przed jej nosem. A mimo to nie mogła jej znaleźć, jakby próbowała układać puzzle po ciemku. Fred by powiedział, że w innym świecie Mariana już to rozwikłała. W innym świecie była mądrzejsza.

Niestety nie w tym.

W końcu rozboliła ją głowa. O świcie, wyczerpana i przygnębiona, poddała się. Położyła się i natychmiast zasnęła.

Śnił jej się koszmar. Szukała w nim Sebastiana na odludziu, walcząc z wiatrem i ze śniegiem. Wreszcie go znalazła – w obskurnym barze w jakimś zapadłym alpejskim hotelu, w czasie burzy śnieżnej. Przywitała się z nim, nie posiadając się z radości, a on, ku jej przerażeniu, jej nie poznał. Powiedział, że się zmieniła, że stała się inną osobą. Mariana przysięgała raz za razem, że jest taka sama. „To ja! To ja!” – wołała, lecz kiedy próbowała go pocałować, odsunął się. Zostawił ją i wyszedł na zawieruchę. Mariana się załamała i zaniósła nieukojonym szlochem. Wtedy pojawiła się Zoe i okryła ją niebieskim kocem. Mariana powiedziała jej, jak bardzo kocha Sebastiana – bardziej niż powietrze, bardziej niż życie. Zoe



pokręciła głową i stwierdziła, że miłość tylko sprowadza smutek i że Mariana powinna się obudzić.

– Obudź się, Mariano.

– Słucham?

– Obudź się... Obudź!

Ocknęła się nagle, zlana zimnym potem i z bijącym ciężko sercem.

Ktoś łomotał do drzwi.

Mariana usiadła na łóżku. Serce jej waliło. Ktoś nieustępliwie pukał dalej.

– Chwileczkę! – zawołała. – Już idę!

Która to godzina? Ostre promienie słońca wdzierały się do pokoju wzdłuż krawędzi zasłon. Ósma? Dziewiąta?

– Kto tam?

Żadnej odpowiedzi. Uderzenia stały się głośniejsze – podobnie jak łoskot w jej głowie. Czowała pulsujący ból; widocznie wypła o wiele więcej, niż powinna.

– Okej. Chwileczkę.

Mariana zwlekła się z łóżka, zdezorientowana i półprzytomna. Doszła do drzwi, powłócząc nogami. Otworzyła.

Zobaczyła Elsie z uniesioną do pukania pięścią. Kobieta uśmiechnęła się do niej promiennie.

– Dzień dobry, kochaniutka.

Ścisnęła pod pachą szczotkę do kurzu, a w ręce trzymała wiadro ze środkami czystości. Brwi narysowała sobie wygięte pod ostrym kątem, przez co prezentowała się raczej przerażająco. Ponadto oczy błyszczały jej z ekscytacji; ten błysk wydał się Marianie złowrogi i drapieżny.

– Która to godzina?

– Tuż po jedenastej, kochaniutka. Chyba pani nie obudziłam?

Pochyliła się i spojrzała na nieposłane łóżko. Mariana poczuła od niej dym papierosowy i... czyżby także alkohol? A może czuła własny oddech?

– Kiepsko spałam – powiedziała. – Śnił mi się koszmar.

– Ojej. – Elsie zacmokała współczująco. – Nie dziwię się. Tyle się tu dzieje. Obawiam się, że mam kolejne złe wieści, kochaniutka. Uznałam, że powinna pani wiedzieć.

– Ale co? – Mariana patrzyła na nią z szeroko otwartymi oczami. Nagle obudziła się zupełnie i zaczęła się bać. – Co się stało?

– Powiem pani, jeśli da mi pani szansę. Nie zaprosi pani Elsie do środka?

Mariana cofnęła się o krok i wpuściła kobietę do pokoju. Pokojówka uśmiechnęła się do niej i odstawiła wiadro.

– Tak lepiej. Przygotuj się, kochaniutka.

– O co chodzi?

– Znaleźli koleje zwłoki.

– Co? Kiedy?

– Dzisiaj rano. Nad rzeką. Znowu dziewczyna.

Mariana potrzebowała chwili, by odzyskać głos.

– Zoe... Gdzie jest Zoe?

Elsie pokręciła głową.

– Niech się ta śliczna główka nie martwi o Zoe. Jest bezpieczna. Na ile ją znam, pewnie nadal leni się w łóżku. – Uśmiechnęła się. – Widzę, że to rodzinne.

– Chryste Panie, Elsie, kto to? Niech pani mówi!

Elsie wyszczerzyła zęby. W jej minie było coś upiornego.

– Mała Serena.

– Boże... – Oczy Mariany wypełniły się łzami. Zdławiła szloch.

Elsie zacmokała współczująco.

– Biedna mała Serena. Cóż, niezbadane są wyroki boskie... No, to będę się zbierać. Nie ma odpoczynku dla grzeszników. – Sięgnęła do wiadra i coś z niego wyjęła. Podała to Marianie. – Proszę.

Pocztówka.

Mariana rozpoznała zdjęcie – przedstawiało czarno-białą wazę ze starożytnej Grecji, z wizerunkiem Ifigenii składanej w ofierze przez Agamemnona.

Mariana odwróciła kartkę w drżącej dłoni. Po drugiej stronie, zgodnie z jej podejrzeniem, znajdował się ręcznie przepisany cytat w starożytnej grece:

τοιγάρ σέ ποτ' οὐρανίδαί  
πέμψουσιν θανάτοις: ἢ σὰν  
ἔτ' ἔτι φόνιον ὑπὸ δέραν  
ᾔψομαι αἶμα χυθὲν σιδάρῳ

Kiedy patrzyła na pocztówkę, zawładnęło nią dziwne uczucie, że wciąga ją wir, kręci się jej w głowie, zupełnie jakby patrzyła w dół z bardzo dużej wysokości i była bliska utraty równowagi i upadku... w głęboką, mroczną czeluść.

Mariana przez moment się nie ruszała. Była jak sparaliżowana, przyrośnięta do miejsca. Nawet nie zauważyła, że Elsie wyszła z pokoju.

Jak urzeczona wpatrywała się w pocztówkę w swojej dłoni, niezdolna odwrócić wzroku, jakby starogreckie litery zapłonęły w jej umyśle i wypalały piętno w jej mózgu.

Z pewnym wysiłkiem odłożyła kartkę tekstem do dołu, przerywając działanie uroku. Musiała myśleć jasno. Zdecydować, co robić.

I musiała powiedzieć policji rzecz jasna. Nawet jeśli wezmą ją za wariatkę, choć pewnie już tak o niej myślą, nie mogła dłużej zatrzymywać informacji o tych kartkach dla siebie. Poinformuje o nich inspektora.

Wsunęła pocztówkę do tylnej kieszeni spodni i wyszła z pokoju.

Ranek był pochmurny. Słońce nie przebiło się jeszcze przez chmury, a nad ziemią nadal unosiły się smugi mgły tworzące skłębiony dywan, jak dym. Poprzez tę mgłę, w drugim końcu dziedzińca, Mariana spostrzegła sylwetkę mężczyzny.

Był to Edward Fosca.

Co on tam robił? Czekał na reakcję Mariany na pocztówkę? Kręciło go jej cierpienie? Nie widziała jego twarzy, ale nie wątpiła w to, że się uśmiechał.

Mariana poczuła nagle ogromny gniew.

Rzadko traciła panowanie nad sobą – ale teraz, niewyspana, zdenerwowana, przerażona i zła... wybuchła. Nie był to przejaw brawury, lecz desperacji. Gwałtowne wyrzucenie z siebie udręki skierowane na Edwarda Foscę.

Zanim się zorientowała, co robi, pomknęła przez dziedziniec w jego stronę.

Czyżby lekko drgnął? Niewykluczone. Zaskoczyła go tą nagłą szarżą, niemniej się nie cofnęła, nawet wtedy, kiedy stanęła przed nim, z twarzą kilkanaście centymetrów od jego twarzy, z płonącymi policzkami, oczami palającymi wściekłością, dysząc ciężko.

Milczała. Wpatrywała się w niego z narastającą złością.

Uśmiechnął się do niej niepewnie.

– Dzień dobry, Mariano.

Podsunęła mu pocztówkę.

– Co to znaczy?

– Hm?

Wziął kartkę. Popatrzył na cytaty. Mruczał coś po grecku, czytając. Po ustach przemknął mu uśmiešek.

– Co to znaczy? – powtórzyła.

– To z *Elektry* Eurypidesa.

– Co tu napisano?

Fosca z uśmiechem spojrział Marianie w oczy.

– To znaczy: „Więc za to ci niebianie / śmierć ześlą, i jeszcze zobaczą, /  
jeszcze zobaczą, jak z białej szyi / tryska krew przelana żelazem”<sup>11</sup>.

Na dźwięk tych słów gniew Mariany eksplodował – pękła bańka więżąca płonąca furie i kobieta zacisnęła dłonie w pięści. Z całej siły uderzyła Fosce w twarz.

Profesor zatoczył się do tyłu.

– Jezu...

Nie zdążył jednak złapać tchu, bo Mariana uderzyła go ponownie. I jeszcze raz.

Uniósł ręce, by się osłonić – ona jednak biła dalej, okładała go pięściami i krzyczała:

– Ty draniu! Ty chory draniu!

– Mariano, przestań! Przestań...

Nie mogła przestać, nie chciała – aż wreszcie czyjeś ręce chwyciły ją od tyłu i odciągnęły.

Policjant trzymał ją mocno.

Wokół zbierał się tłumek gapiów. Julian też tam był i przyglądał się jej z niedowierzaniem.

Drugi funkcjonariusz podszedł pomóc Fosce, ale profesor odprawił go gniewnym machnięciem ręki. Krwawił z nosa – krew upstrzyła plamkami białą koszulę. Profesor wydawał się zdenerwowany i zażenowany. Mariana po raz pierwszy widziała go w sytuacji, w której nie panował nad sobą, i czerpała z tego pewną satysfakcję.

Podszedł do nich inspektor Sangha. Patrzył na Marianę zszokowany, jakby miał przed sobą obłąkaną.

– Co się tutaj dzieje, do diabła?

Krótko potem Mariana znalazła się w gabinecie dziekana, gdzie musiała wytłumaczyć swoje postępowanie. Siedziała przed biurkiem naprzeciwko inspektora Sanghi, Juliana, dziekana i... Edwarda Foski.

Trudno jej było znaleźć właściwe słowa. Im dłużej mówiła, tym większe niedowierzanie wyczuwała u słuchaczy. Gdy opowiadała tę historię na głos, uświadomiła sobie, jak nieprawdopodobnie brzmi.

Edward Fosca panował nad sobą. Przez cały czas się do niej uśmiechał, jakby opowiadała długi dowcip, a on czekał na puentę.

Mariana również się uspokoiła i dokładała starań, żeby ten spokój zachować. Mówiła tak prosto i jasno, jak tylko mogła, powstrzymując emocje. Wyjaśniła, w jaki sposób, krok po kroku, doszła do tego niesamowitego wniosku – że profesor zamordował trzy swoje studentki.

Powiedziała, że najpierw podejrzewała Boginie, grupę młodych kobiet, ulubienic profesora. Nikt nie wie, co się działo podczas ich spotkań. Jako terapeutka grupowa i kobieta Mariana nie mogła nie poczuć niepokoju. Profesor Fosca miał dziwną, charakterystyczną dla guru kontrolę nad swoimi uczennicami. Mariana doświadczyła jej osobiście – nawet jej siostrzenica nie zdradziła przed nią ani Foski, ani grupy.

– Jest to typowy przejaw niezdrowego zachowania grupowego. Chęć dopasowania się i poddania. Wyrażenie opinii sprzeciwiającej się grupie lub liderowi wywołuje ogromny lęk, o ile w ogóle da się tę opinię wyrazić. Czułam to, kiedy Zoe mówiła o profesorze. Coś mi tu nie pasowało. Czułam, że się go bała. Małe grupy tego rodzaju – tłumaczyła dalej – takie jak Boginie, są szczególnie bezbronne w obliczu nieuświadomianej manipulacji lub nadużyć. Boginie mogły nieświadomie traktować lidera jak własnego ojca we wczesnym dzieciństwie. Mogły przejawiać zależność i uległość. Jeśli jest się skrzywdzoną młodą kobietą – ciągnęła – wypierającą dzieciństwo i cierpienia, których się doznawało, dla podtrzymania tego wyparcia można dogadać się z innym zwyrodnialcem i udawać przed samą sobą, że jego zachowanie jest w pełni normalne. Bo jeżeli taka dziewczyna miałaby przejrzeć na oczy i go potępić, musiałaby potępić także innych ludzi ze swojego życia. Nie wiem, jak wyglądało wczesne dzieciństwo tych dziewcząt. Łatwo uznać, że Tara, pochodząca z dobrze sytuowanej rodziny, nie miała problemów. Uważam jednak, że

nadużywanie przez nią alkoholu i narkotyków sugeruje, że miała problemy i była bezbronna. Piękna, pokrecona Tara była jego ulubienicą.

Mówiąc to, utrzymywała z Foską kontakt wzrokowy, wiedząc, że w jej głosie narasta gniew, i usiłując nad nim zapanować. Fosca patrzył na nią chłodno, z uśmiechem na twarzy. Mówiła dalej, starając się zachować spokój:

– Zdałam sobie sprawę z tego, że patrzyłam na te zabójstwa pod złym kątem. Nie były dziełem szaleńca, psychopaty powodowanego niekontrolowaną wściekłością. Tak to miało wyglądać. Te dziewczęta zamordowano metodycznie i racjonalnie. Jedyną zaplanowaną ofiarą była Tara.

– Dlaczego tak pani myśli? – zainteresował się Edward Fosca, który odezwał się po raz pierwszy.

Mariana popatrzyła mu prosto w oczy.

– Bo była pańską kochanką. Później coś się wydarzyło. Odkryła, że sypia pan z innymi? Dlatego zagroziła, że pana wyda. I co wtedy? Straciłby pan pracę, ten elitarny akademicki świat, który pan tak uwielbia. Zniszczyłoby to pańską reputację. Nie mógł pan na to pozwolić. Zagroził pan Tarze śmiercią. I zrealizował pan groźbę. Niestety zdążyła porozmawiać z Zoe. A Zoe powiedziała o tym mnie.

Fosca przyglądał się jej. Jego ciemne oczy odbijały światło jak kawałki czarnego lodu.

– To jest pani teoria, prawda?

– Tak. – Mariana wytrzymała jego spojrzenie. – To jest moja teoria. Wraz z pozostałymi dziewczynami Veronica i Serena dawały panu alibi. Były pod pańskim urokiem w wystarczającym stopniu. Co się stało potem? Zmieniły zdanie? A może zagroziły, że to zrobią? A może wołał pan mieć pewność, że nigdy tego nie zrobią?

Nikt nie odpowiedział na to pytanie. Zapadło milczenie.

Inspektor nic nie mówił; nalał sobie herbaty. Dziekan spoglądał na Marianę zdumiony, wyraźnie nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Julian nie patrzył jej w oczy, udawał, że przegląda notatki.

Ciszę przerwał Edward Fosca. Zwrócił się do inspektora Sanghi:

– Oczywiście wszystkiemu zaprzeczam. I chętnie odpowiem na pana pytania. Ale najpierw proszę mi powiedzieć, czy potrzebuję adwokata.

Inspektor uniósł rękę.

– Moim zdaniem nie jesteśmy na tym etapie, profesorze. Proszę chwilę się wstrzymać. – Skupił wzrok na Marianie. – Czy ma pani jakieś dowody na poparcie tych oskarżeń?

Mariana skinęła głową.

– Tak. Te pocztówki.

– Ach. Sławne pocztówki. – Sangha popatrzył na leżące przed nim kartki. Podniósł je i potasował jak karty do gry. – Jeśli dobrze rozumiem – rzekł – wierzy pani, że każda z ofiar otrzymała taką pocztówkę przed śmiercią jako ostrzeżenie? Oświadczenie o zamiarze zabójstwa?

– Zgadza się.

– I teraz, skoro pani też dostała kartkę, uważa pani, że jest w niebezpieczeństwie? Dlaczego wybrał panią na ofiarę?

Mariana wzruszyła ramionami.

– Bo... jestem dla niego zagrożeniem. Za bardzo się zbliżyłam. Wniknęłam do jego umysłu. – Nie patrzyła na Foscę. Bała się, że straciłaby panowanie nad sobą.

– Wie pani, Mariano – usłyszała jego głos – każdy może przepisać cytaty greką z książki. Nie trzeba w tym celu kończyć Uniwersytetu Harvarda.

– Wiem o tym, profesorze. Ale podczas wizyty w pańskim apartamencie znalazłam taki sam cytat podkreślony w zbiorze dzieł Eurypidesa. Czy to zbieg okoliczności?

Fosca parsknął śmiechem.

– Gdybyśmy teraz poszli do mojego pokoju i sięgnęli po dowolną książkę z półki, zobaczyłaby pani, że podkreślam praktycznie wszystko. Naprawdę pani wierzy – mówił dalej, nie dając jej dojść do słowa – że gdybym zabijał te dziewczęta, słałbym im pocztówki z cytatami z tekstów, które z nimi omawiam? Naprawdę pani myśli, że byłbym aż tak głupi?

Mariana pokręciła głową.

– To nie jest głupota. Nie spodziewał się pan, że te wiadomości zostaną zrozumiane, a nawet zauważone przez policję lub kogokolwiek. Zazartował pan sobie kosztem tych dziewcząt. Właśnie to dało mi pewność. Pod względem psychologicznym pasuje to do pana.

Zanim Fosca odpowiedział, odezwał się inspektor Sangha:

– Na szczęście dla profesora Foski widziano go w college’u o godzinie, o której zamordowano Serenę. O północy.

– Kto go widział?



Inspektor chciał dolać sobie herbaty, ale zorientował się, że termos jest pusty. Ściągnął brwi.

– Morris. Portier. Spotkał profesora, gdy ten wyszedł na papierosa, i rozmawiali przez kilka minut.

– Kłamie.

– Mariano...

– Proszę posłuchać...

Zanim Sangha ją powstrzymał, Mariana opowiedziała mu o swoim podejrzeniu, że Morris szantażuje Foscę, że go śledziła i widziała go z Sereną.

Inspektor wydawał się zdumiony. Pochylił się i na nią popatrzył.

– Widziała ich pani na cmentarzu? Lepiej niech mi pani powie, co dokładnie widziała.

Opowiedziała zatem ze szczegółami. Ku swojemu przerażeniu stwierdziła, że im bardziej temat rozmowy oddalał się od Edwarda Foski, tym bardziej inspektora ekscytowało to, że Morris stawał się podejrzanym.

Julian się z nim zgodził.

– To wyjaśnia, dlaczego zabójca mógł się poruszać niepostrzeżenie. Na kogo nie zwracamy uwagi w college'u? Kogo nie dostrzegamy? Człowieka w uniformie, który ma prawo się tu znajdować. Portiera.

– Właśnie. – Inspektor się zadumał. Następnie wezwał jednego z młodszych funkcjonariuszy, by przyprowadził Morrisa na przesłuchanie.

Mariana już chciała zaprotestować, chociaż wiedziała, że nie ma to większego sensu. Wtem odezwał się do niej Julian:

– Posłuchaj, Mariano, jestem po twojej stronie, więc nie złość się na mnie za to, co powiem.

– Słucham?

– Prawdę powiedziawszy, dostrzegłem to, gdy cię zobaczyłem w Cambridge. Od razu mnie uderzyło, że wydawałaś się jakaś dziwna. Jakbyś miała lekką paranoję.

Mariana nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Co takiego?

– Wiem, że trudno coś takiego przyjąć, ale to jasne, że masz urojenia prześladowcze. Kiepsko z tobą, Mariano. Potrzebujesz pomocy. I chętnie ci pomogę... jeśli mi na to pozwolisz...

– Pierdol się, Julianie.

Inspektor rąbnął termosem w biurko.

– Dość tego!

Zapadła cisza.

– Mariano – podjął surowo inspektor Sangha. – Nadużywa pani mojej cierpliwości. Wsunęła pani całkowicie nieuzasadnione oskarżenia wobec profesora Foski, że już nie wspomnę o napaści fizycznej na niego. Profesor ma podstawy, by złożyć na panią skargę.

Próbowała mu przerwać, ale Sangha mówił dalej:

– Nie, wystarczy. Musi mnie pani teraz wysłuchać. Ma pani stąd zniknąć do jutra rana. Oddalić się od college’u i profesora Foski. A także od tego śledztwa. I ode mnie. W przeciwnym razie panią aresztuję i oskarżę o utrudnianie śledztwa. Czy to jasne? Niech pani posłucha Juliana, dobrze? I uda się do lekarza. Zgłosi po pomoc.

Mariana otworzyła usta... i zdławiła krzyk, ryk frustracji. Przełknęła gniew i siedziała w milczeniu. Nie było sensu dłużej się sprzeczać. Zwiesiła głowę, oburzona, ale pokonana.

Przegrała.

## Część piąta

Już nakręcono sprężynę. Wszystko musi się samo rozwiązać. I właśnie to jest takie wygodne w tragedii. Wystarczy drobny impuls i wszystko rusza naprzód<sup>12</sup>.

Jean Anouilh, *Antygona*

Godzinę później, aby uniknąć dziennikarzy, samochód policyjny podjechał wąską uliczką do bramy na tyłach college'u. Mariana stała wśród studentów i pracowników, którzy zebrali się, żeby patrzeć, jak Morrisa aresztowano, skuto kajdankami i prowadzono do auta. Część portierów go wygwizdała, kiedy ich mijał. Twarz Morrisa lekko poczerwieniała, ale poza tym nie zareagował. Szedł z zaciśniętymi zębami, ze wzrokiem wbitym w ziemię. W ostatniej chwili podniósł głowę. Mariana podążyła za jego spojrzeniem – w stronę okna, w którym stał Edward Fosca.

Profesor przyglądał się całemu zajściu z lekkim uśmiechem. „Śmieje się z nas” – pomyślała Mariana. A kiedy Fosca nawiązał kontakt wzrokowy z Morrisem, przez twarz młodego mężczyzny przemknął spazm wściekłości.

Potem policjant zdjął mu z głowy melonik i Morris wsiadł do samochodu. Mariana patrzyła za nim, jak odjeżdża, po czym zamknięto bramę.

Spojrzała w okno Foski.

Profesor zniknął.

– Dzięki Bogu – usłyszała słowa dziekana. – Nareszcie koniec.

Mylił się oczywiście. Do końca było jeszcze daleko.

Pogoda zmieniła się niemal natychmiast. Jakby w odpowiedzi na wydarzenia w college'u lato, które utrzymywało się tak długo, wreszcie ustąpiło. Na dziedzińcach wył lodowaty wiatr. Zaczęło padać, a z oddali niosły się pomruki burzy.

Mariana i Zoe piły drinki z Clarissą w Fellows' Parlor, salonie dla kadry akademickiej. Tego popołudnia nie było w nim nikogo oprócz nich.

W dużym mrocznym pomieszczeniu stały stare skórzane fotele i kanapy, mahoniowe biurka oraz stoły zavalone gazetami i czasopismami. Pachniało tu drewnem i dymem z kominków. Wiatr trząsał oknami, deszcz bębnił w szyby. Było na tyle zimno, że Clarissa poprosiła o rozpalenie niewielkiego ognia.

Siedziały w niskich fotelach przy kominku i popijały whiskey. Mariana kręciła szklaneczką i przyglądała się, jak bursztynowy trunek błyszczy w blasku ognia. Obecność Clarissy i Zoe podnosiła ją na duchu, otulała

ciepłym kokonem. Ta mała grupa dawała jej siłę – i odwagę. A potrzebowała teraz odwagi, jak wszyscy.

Zoe przysłała z zajęć na wydziale anglistyki. Niewykluczone, że ostatnich, jak powiedziała Clarissa, bo rozmawiano o zamknięciu college'u na czas śledztwa. Zoe zmokła na deszczu i kiedy się suszyła przy ogniu, Mariana opowiedziała im, co się stało – a także o konfrontacji z Foską. Gdy skończyła, jej siostrzenica odezwała się cicho:

– To był błąd. Taka konfrontacja... Teraz już wie, że ty wiesz.

Mariana zerknęła na Zoe.

– Czy nie twierdziłaś, że jest niewinny?

Zoe popatrzyła jej w oczy i pokręciła głową.

– Zmieniłam zdanie.

Clarissa przyjrzała się jednej, a potem drugiej.

– Obie macie pewność, że jest winny? Trudno w to uwierzyć.

– Wiem – odparła Mariana. – Ale ja w to wierzę.

– Ja też – dodała Zoe.

Clarissa nie odpowiedziała. Sięgnęła po karafkę i uzupełniła szklaneczkę. Mariana spostrzegła, że drży jej ręka.

– Co teraz robimy? – spytała Zoe. – Chyba nie zamierzasz wyjeżdżać?

– Oczywiście, że nie. – Mariana pokręciła głową. – Niech mnie aresztują, co mi tam. Nie wrócę do Londynu.

Zdumiała tym Clarissę.

– Słucham? A czemuż to?

– Nie mogę uciekać. Już nie. Uciekam od chwili śmierci Sebastiana. Muszę tu zostać i zmierzyć się z tym, cokolwiek to jest. I nie boję się. – Ostatnie zdanie zabrzmiało obco w jej ustach. Spróbowała raz jeszcze. – Nie boję się.

Clarissa cmoknęła.

– Whiskey przez ciebie przemawia.

– Możliwe. – Mariana się uśmiechnęła. – Lepsza pijacka odwaga niż żadna. Działamy dalej – zwróciła się do Zoe. – Tak zrobimy. Będziemy działały dalej i go złapiemy.

– Jak? Potrzebujemy dowodu.

– Słusznie.

Zoe się zawahała.

– A co z narzędziem zbrodni?

Coś w sposobie, w jaki to powiedziała, skłoniło Marianę, by się jej przyjrzeć.

– Masz na myśli nóż?

Zoe kiwnęła potakująco głową.

– Jeszcze go nie znaleźli, prawda? Chyba... wiem, gdzie jest.

Mariana nie spuszczała z niej wzroku.

– Skąd to wiesz?

Zoe przez chwilę unikała jej spojrzenia. Patrzyła w ogień, ukradkiem, z poczuciem winy. Tak samo jak robiła w dzieciństwie.

– Zoe?

– To długa historia, Mariano.

– To dobry moment, by ją opowiedzieć, nie sądzisz? – Ściszyła głos. – Wiesz, gdy spotkałam się z Boginiami, coś mi powiedziały, Zoe... Wyjawily mi, że należysz do ich grupy.

Jej siostrzenica szeroko otworzyła oczy.

– To nieprawda.

– Zoe, nie kłam...

– Nie kłamię! Poszłam na spotkanie tylko raz.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – naciskała Mariana.

– Nie wiem. – Zoe kręciła głową. – Bałam się. Tak się wstydziłam... Już dawno chciałam ci powiedzieć, ale... – Zamilkła.

Mariana dotknęła jej dłoni.

– Powiedz mi teraz. Powiedz nam obu.

Dolna warga Zoe lekko zadrżała. Dziewczyna zaczęła mówić, a Mariana przygotowała się na to, co usłyszy...

Już pierwsze słowa Zoe zmroziły jej krew w żyłach.

– To się chyba zaczyna od Demeter i Persefony. – Zoe zerknęła na Marianę. – Znasz je, prawda?

Mariana potrzebowała chwili, by odzyskać głos.

– Tak. Znam.

Zoe opróżniła szklaneczkę i odstawiła ją na półkę nad kominkiem. Znad paleniska unosił się lekki dym i wirował wokół niej szarawymi pasemkami.

Mariana patrzyła na siostrzenicę na tle czerwonożółtych płomieni tańczących u jej stóp i nagle poczuła się jak przy ognisku, jakby miała usłyszeć historię o duchach... I w pewnym sensie tak było.

Zoe zaczęła mówić. Na początku niepewnie, potem coraz odważniej, o tym, co profesor Fosca tak bardzo lubił – o misteriach eleuzyjskich ku czci Persefony, o rytuale, który prowadził od życia do śmierci i z powrotem. Profesor twierdził, że zna sekret, i podzielił się nim ze swoimi wyjątkowymi studentkami.

– Kazał mi przysiąc, że zachowam tajemnicę. Nie mogłam rozmawiać z nikim o tym, co się stało. Wiem, że to dziwne, ale... schlebiało mi, że uważał mnie za dość wyjątkową, a nawet bystrą. No i byłam ciekawa. I wtedy... przyszła pora na moją inicjację... Kazał mi przyjść do imitacji świątyni o północy, na ceremonię.

– Do imitacji świątyni?

– No wiesz, tej nad rzeką, niedaleko Paradise.

Mariana skinęła głową.

– Mów dalej.

– Tuż przed dwunastą Carla i Diya spotkały się ze mną przy hangarze i zabrały mnie łodzią.

– Łodzią? Dlaczego?

– To najłatwiejsza droga... Ścieżka jest zarośnięta jeżynami. – Zamilkła na chwilę. – Reszta była już na miejscu. Veronica i Serena stały przy wejściu do świątyni. Miały na twarzach maski. Odgrywały Persefonę i Demeter.

– Dobry Boże – jęknęła z niedowierzaniem Clarissa. Szybko dała Zoe znać, by dziewczyna kontynuowała.

– Lillian wprowadziła mnie do świątyni. Czekał tam na mnie profesor. Założył mi przepaskę na oczy, a potem... wypiałam *kykeon*. Podobno była to woda jęczmienna. Kłamał. Tara powiedziała mi później, że nafaszerował napój GHB. Kupował pigułki od Conrada.

Mariana czuła nieznośne napięcie. Nie chciała usłyszeć nic więcej. Wiedziała jednak, że nie ma wyboru.

– Mów dalej.

– A potem szepnął mi do ucha... że tego wieczoru umrę, a o świcie się odrodzę. Wyciągnął nóż i przytknął go do mojego gardła.

– Co takiego? – spytała Mariana.

– Nie skaleczył mnie ani nic. Powiedział, że to tylko rytualne złożenie w ofierze. Zdjął mi opaskę z oczu... Wtedy zobaczyłam, gdzie chowa nóż. Wsunął go w szczelinę między kamiennymi płytami. – Zoe na moment zamknęła oczy. – Niewiele pamiętam z tego, co się działo później. Nogi mi się zrobiły jak z galarety, jakbym się rozpuszczała... Wyszliśmy ze świątyni. Weszliśmy między drzewa... do lasu. Część dziewczyn tańczyła nago... inne pływały w rzece... nie chciałam się rozbierać... – Pokręciła głową. – Pamiętam to jak przez mgłę. Zgubiłam je. Zostałam sama, naćpana i przerażona, i... I on tam był.

– Edward Fosca?

– Tak – potwierdziła Zoe, jakby nie chciała wypowiadać jego imienia i nazwiska. – Próbowалам coś powiedzieć, ale nie mogłam. A on mnie całował... dotykał... mówił, że mnie kocha. Miał dzikie spojrzenie... Pamiętam jego oczy. Był w nich obłąd. Próbowалам uciekać... ale nie mogłam. A potem przyszła Tara. Zaczęli się całować i jakimś cudem udało mi się umknąć. Wpadłam pomiędzy drzewa i biegłam. – Zwiesiła głowę i przez jakiś czas milczała. – I biegłam... Uciekłam mu.

– Co się stało potem, Zoe? – naciskała Mariana.

– Nic. Nie rozmawiałam o tym z dziewczynami. Tylko z Tarą.

– A on?

– Zachowywał się, jakby to się nigdy nie wydarzyło. Więc próbowалам robić to samo. – Znowu wzruszyła ramionami. – Ale potem Tara przyszła do mnie tamtego wieczoru... Powiedziała, że groził jej śmiercią. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby się tak bała. Była przerażona.

– Moja droga, należało poinformować college – odezwała się cicho Clarissa. – Trzeba było komuś powiedzieć. Mogłaś przyjść z tym do mnie.

– Uwierzyłyby mi pani? To taka szalona historia... Moje słowo przeciwko jego.

Mariana potaknęła, bliska łez. Miała ochotę wyciągnąć ręce i mocno przytulić Zoe. Najpierw jednak musiała się czegoś dowiedzieć.

– Zoe, dlaczego teraz? Dlaczego mówisz nam o tym teraz?

Jej siostrzenica nie od razu odpowiedziała. Podeszła do fotela, na którym wisiała jej kurtka susząca się przy ogniu. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła



nieco zmoczoną, ochlapaną deszczem kartkę. Rzuciła ją Marianie na kolana.

– Bo też to dostałam.

Mariana patrzyła na pocztówkę na swoich kolanach.

Była to reprodukcja ponurego rokokowego obrazu przedstawiającego nagą Ifigenię leżącą na łóżku i zakradającego się od tyłu Agamemnona dzierżącego nóż. Z drugiej strony przepisano grecki tekst. Mariana nie prosiła Clarissy o tłumaczenie. Nie potrzebowała.

Musiała być silna dla Zoe. Musiała myśleć jasno i szybko. Usunęła z głosu wszelki ślad emocji.

– Kiedy to dostałaś, Zoe?

– Dzisiaj po południu. Znalazłam pod drzwiami.

– Rozumiem. – Mariana pokiwała głową. – To zmienia postać rzeczy.

– Wcale nie.

– Owszem, zmienia. Musimy cię stąd zabrać. Natychmiast. Musimy jechać do Londynu.

– Dzięki Bogu – rzuciła Clarissa.

– Nie. – Zoe pokręciła głową. Na jej twarzy malował się upór. – Nie jestem dzieckiem. Nigdzie nie pojedę. Zostaję tutaj. Sama powiedziałaś, że będziemy walczyć. Złapiemy go.

Gdy to mówiła, Mariana pomyślała, jak bezbrinnie wygląda Zoe, taka zmęczona i nieszczęśliwa. Ostatnie wydarzenia mocno na nią wpłynęły i zmieniły ją – wydawała się psychicznie i fizycznie wyczerpana. Taka krucha, a jednak zdeterminowana, by działać. „Właśnie tak wygląda odwaga – pomyślała Mariana. – To jest dzielność”.

Clarissa też to chyba wyczuła, bo odezwała się cicho:

– Zoe, drogie dziecko. Twoja odwaga zasługuje na pochwałę. Niemniej Mariana ma rację. Musimy się zgłosić na policję, powiedzieć im wszystko, co nam właśnie powiedziałaś... A potem musisz opuścić Cambridge. Obie musicie wyjechać. Dzisiaj wieczorem.

Zoe się skrzywiła i pokręciła głową.

– Nie ma sensu rozmawiać z policją. Pomyślą, że Mariana mnie do tego namówiła. To strata czasu. A nie mamy go. Potrzebujemy dowodu.

– Zoe...

– Nie, posłuchaj. – Dziewczyna zwróciła się do Mariany. – Zajrzyjmy do świątyni, tak na wszelki wypadek. Sprawdźmy to miejsce, gdzie chował nóż. A jeśli go nie znajdziemy, to... pojedziemy do Londynu, okej?

Mariana nie zdążyła odpowiedzieć, bo uprzedziła ją profesorka.

– Dobry Boże – powiedziała. – Chcecie dać się zabić?

– Nie. – Zoe zaprzeczyła ruchem głowy. – Do zabójstw zawsze dochodzi nocą, więc mamy jeszcze kilka godzin. – Wyrzała za okno i popatrzyła z nadzieją na Marianę. – I przestało padać. Przejaśnia się.

– Jeszcze nie – stwierdziła Mariana. – Ale się przejaśni. – Zamyśliła się. – Idź wziąć prysznic i zdjęć to mokre ubranie. Przyjdę do ciebie za dwadzieścia minut.

– Okej. – Zoe skinęła głową. Sprawiała wrażenie zadowolonej.

Mariana przyglądała się jej, jak zbiera swoje rzeczy.

– Zoe, proszę, bądź ostrożna.

Dziewczyna skinęła głową i wyszła. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Clarissa odwróciła się do Mariany. Była strapiona.

– Mariano, muszę zaprotestować. Nie będziecie bezpieczne, jeżeli zbliżycie się do rzeki...

Mariana pokręciła głową.

– Nie zamierzam pozwolić Zoe zbliżyć się do rzeki. Nakłonię ją, żeby spakowała kilka rzeczy, i natychmiast wyjedziemy. Do Londynu, jak mówiłaś.

– Dzięki Bogu. – Clarissie ulżyło. – To słuszna decyzja.

– Ale posłuchaj uważnie. Jeśli coś mi się stanie, masz iść na policję, dobrze? Musisz im powiedzieć o tym wszystkim, co usłyszałyśmy od Zoe. Rozumiesz?

Clarissa przytaknęła. Wyglądała na głęboko nieszczęśliwą.

– Wolalabym, żebyście od razu poszły na policję.

– Zoe ma rację. To bez sensu. Inspektor Sangha nawet mnie nie wysłucha. Ciebie natomiast tak.

Clarissa milczała. Westchnęła i zapatrzyła się w ogień.

– Zadzwoń do ciebie z Londynu – obiecała Mariana.

Nie doczekała się odpowiedzi. Clarissa jakby w ogóle jej nie słyszała. Mariana poczuła rozczarowanie. Spodziewała się czegoś więcej. Oczekiwała, że Clarissa będzie jej opoką, tymczasem to wszystko najwyraźniej ją przerosło. Jakby się nagle postarzała – wydawała się przykurczona, mała i krucha. Do Mariany dotarło, że nie będzie z niej pożytku. Jakiegokolwiek okropności czekały ją i Zoe, będą musiały zmierzyć się z nimi same.

Na pożegnanie Mariana delikatnie pocałowała profesorkę w policzek.  
I zostawiła ją przy kominku.

W drodze do pokoju Zoe Mariana rozważała kwestie praktyczne. Spakują się szybko, a następnie, tak, żeby nikt ich nie widział, wymkną się z college'u tylną bramą. Pojadą taksówką na stację kolejową i złapią pociąg do Londynu. A potem – serce jej rosnęło na tę myśl – znajdą się w domu, bezpieczne i zdrowe w jej żółtym domku.

Szła po schodach do pokoju Zoe. Pokój okazał się pusty. Pewnie Zoe brała jeszcze prysznic na dole.

Zadzwoił telefon Mariany. Fred. Zawahała się, ale odebrała.

– Halo?

– Mariano, to ja – powiedział z niepokojem. – Muszę z tobą porozmawiać. To ważne.

– To nie jest dobry moment. Wydaje mi się, że wczoraj wszystko sobie powiedzieliśmy.

– Nie chodzi o wczorajszego wieczór. Posłuchaj mnie uważnie. Naprawdę nie żartuję. Miałem jasnowidzenie... dotyczące ciebie.

– Fred, nie mam czasu...

– Wiem, że w to nie wierzysz, ale to prawda. Jesteś w poważnym niebezpieczeństwie. Teraz. Gdziekolwiek się znajdujesz, wynoś się stamtąd. Wyjdź. Uciekaj...

Mariana się rozłączyła. Była sfrustrowana i bardzo zła. Miała dość zmartwień. Nie potrzebowała tych nonsensów Freda. Już się bała, a teraz poczuła się jeszcze gorzej.

Co zatrzymywało Zoe?

Czekając na nią, Mariana niespokojnie chodziła po pokoju. Wodziła wzrokiem po różnych rzeczach należących do siostrzenicy. Patrzyła na oprawione w srebrną ramkę zdjęcie dziecka – fotografię przedstawiającą Zoe jako druhnę na ślubie Mariany, na rozmaite talizmany i bibeloty, kamienie i kryształy z zagranicznych wakacji, na inne pamiątki z dzieciństwa, z którymi Zoe podróżowała, takie jak stara wytarta zebra balansująca na poduszce.

Marianę niebywale wzruszyła ta zbieranina drobiazgów. Przypomniała się jej Zoe jako małe dziecko, gdy klęczała przy łóżku z dłońmi złożonymi do modlitwy. „Boże, błogosław Marianie, Sebastianowi, dziadkowi, zebrze...” i tak dalej. Wymieniała ludzi, których imion nawet nie znała, na

przykład nieszczęśliwą kobietę z autobusu albo przeziębionego pana z księgarni. Mariana z czułością przyglądała się temu dziecięcemu rytuałowi, chociaż nawet przez chwilę nie wierzyła w sens tego, co Zoe robi. Nie wierzyła w Boga, do którego można tak łatwo dotrzeć, w Boga, którego bezlitosne serce uległoby wpływowi modlitwy dziewczynki.

A teraz nieoczekiwanie poczuła, jak uginają się pod nią kolana – zupełnie jakby wskutek pchnięcia niewidzialnej siły. Padła na podłogę, złożyła dłonie do modlitwy i spuściła głowę. Nie modliła się jednak do Boga, Jezusa czy nawet Sebastiana. Modliła się do kilku brudnych, zniszczonych przez erozję kamiennych kolumn na wzgórzu widocznych na tle jasnego nieba, na którym nie było ani jednego ptaka.

Modliła się do bogini.

– Wybacz mi – szeptała. – Cokolwiek zrobiłam, w jakikolwiek sposób cię obraziłam. Zabrałaś mi Sebastiana. To wystarczy. Błagam cię, nie zabieraj Zoe. Proszę, nie zawiodę cię. Nie...

Zamilkła, zawstydzona, zażenowana swoimi słowami. Czuła, że zwariowała, i to poważnie – była jak dziecko, które się targuje z wszechświatem. A mimo to na jakimś bardzo głębokim poziomie uświadamiała sobie, że dotarła wreszcie do chwili, do której to wszystko prowadziło: do bardzo spóźnionej, ale nieuchronnej konfrontacji – rozrachunku z boginią.

Powoli dźwignęła się z klęczek.

Zebra spadła z poduszki na łóżko, a potem na podłogę. Mariana podniosła przytulankę i posadziła ją z powrotem na poduszce. Zauważyła, że szew na brzuchu zebry się nadpruł. Z wypełnienia coś wystawało.

Mariana się zawahała – a potem, nie do końca świadomie, wyciągnęła to coś. Była to kartka, wielokrotnie składana i rozkładana, ukryta w ciele szmacianej zabawki.

Mariana patrzyła na tę kartkę. Czuła się nielojalna, ale też kusiło ją, by się dowiedzieć, co to jest. Musiała się dowiedzieć. Ostrożnie rozwinęła zwitek – okazało się, że było to kilka stron z notatnika. Wyglądały jak napisany na maszynie list.

Mariana usiadła na łóżku.

I zaczęła czytać.

I wreszcie, pewnego dnia, matka odeszła.

Nie pamiętam dokładnie tego momentu ani pożegnania, chociaż na pewno się odbyło. Nie pamiętam również, żeby ojciec przy tym był – musiała uciec, kiedy pracował w polu.

Nigdy po mnie nie przysłała. I już nigdy jej nie widziałem.

W wieczór jej ucieczki poszedłem do swojego pokoju i usiadłem przy biurku – przez wiele godzin pisałem w dzienniku. Skończywszy, nie przeczytałem tego, co napisałem.

Potem porzuciłem pisanie dziennika. Umieściłem go w pudełku razem z innymi rzeczami, o których chciałem zapomnieć, i schowałem.

Dzisiaj wyjąłem go po raz pierwszy i przeczytałem – wszystko.

No, prawie wszystko...

Bo widzisz, brakuje w nim dwóch stron.

Zostały wyrwane.

Zniszczone, bo były niebezpieczne. Dlaczego? Ponieważ opowiadały inną historię.

Domyślam się, że tak jest okej. Każda historia może zostać poddana lekkiej rewizji. Szkoda, że nie mogę poddać rewizji kolejnych kilku lat na farmie – poddać ich rewizji albo zapomnieć.

Ból, strach, upokorzenie – z każdym dniem umacniała się moja determinacja, by uciec. „Pewnego dnia ucieknę. Będę wolny. Będę bezpieczny. Będę szczęśliwy. Będę kochany”. Powtarzałem to sobie raz po raz, pod kołdrą, w nocy. Te słowa stały się moją mantrą w chwilach tarapatów. A nawet więcej – stały się moim powołaniem.

Zaprowadziły mnie do Ciebie.

Nigdy nie sądziłem, że jestem zdolny... do miłości. Znałem tylko nienawiść. Tak bardzo się boję, że pewnego dnia znienawidzę i Ciebie. Lecz zanim Cię skrzywdzę, skieruję nóż przeciwko sobie i wbiję go głęboko w swoje serce.

Kocham Cię, Zoe.

Dlatego to piszę.

Chcę, abyś ujrzała mnie takim, jakim jestem. A potem? Wybaczysz mi, prawda? Wycalujesz wszystkie moje rany i w ten sposób je ulecysz. Jesteś mi pisana, wiesz to, prawda? Może na razie w to nie wierzysz. Ja zorientowałem się od razu. Miałem przeczucie - wiedziałem w chwili, gdy Cię ujrzałem.

Na początku byłaś taka nieśmiała. Musiałem wydobywać z Ciebie Twoją miłość. Jestem jednak cierpliwy.

Będziemy kiedyś razem, obiecuję, pewnego dnia, gdy mój plan zostanie zrealizowany. Mój genialny, piękny pomysł.

Ostrzegam Cię jednak, że wiąże się z krwią - i poświęceniem.

Wyjaśnię wszystko, gdy będziemy sami. Do tego czasu trwaj w wierze.

Na zawsze Twój,

X



Mariana opuściła list na kolana.

Gapiała się na niego.

Trudno jej było myśleć, miała kłopoty z oddychaniem, jakby brakowało jej powietrza, jakby ktoś uderzał ją raz po raz w splot słoneczny. Nie rozumiała tego, co przeczytała. Co oznaczał ten potworny dokument?

To nie miało sensu. Nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę – nie uwierzy w to. To nie mogło znaczyć tego, co się jej wydawało. Niemożliwe. Mimo to wniosek sam się nasuwał, bez względu na to, jak był nieakceptowalny, nonsensowny czy przerażający.

Autorem listu – tego piekielnego listu miłosnego – był Edward Fosca, a napisał go do Zoe.

Mariana pokręciła głową. Nie! Nie Zoe, nie jej Zoe. Nie wierzyła w to – nie wierzyła, że Zoe mogłaby się zaangażować w uczucie do tego monstrum...

Wtem przypomniał się jej dziwny wyraz twarzy siostrzenicy, kiedy patrzyła na Foscę na dziedzińcu. Mariana odebrała go jako strach, ale jeśli to było coś bardziej skomplikowanego?

A jeśli Mariana od samego początku patrzyła na wszystko pod złym kątem, z niewłaściwej perspektywy? A jeśli...

Kroki na schodach... Ktoś szedł na górę.

Mariana zamarła. Nie wiedziała, co robić, a przecież musi coś powiedzieć, działać. Nie teraz, nie w takim stanie. Najpierw potrzebuje zebrać myśli.

Chwyciła list i wepchnęła go do kieszeni w chwili, gdy Zoe stanęła w drzwiach.

– Przepraszam, Mariano. Spieszyłam się, jak mogłam.

Zoe uśmiechała się do niej, wchodząc do pokoju. Policzki miała zaróżowione, włosy mokre. Owinęła się szlafrokiem i trzymała w rękach ręczniki.

– Tylko się ubiorę. Daj mi sekundkę.

Mariana milczała. Zoe wciągała na siebie ubranie, a przelotny widok jej nagości – młodej, gładkiej skóry – przypomniał Marianie o pięknej dziewczynce, którą kochała, tym ślicznym niewinnym dziecku. Gdzie ono się podziało? Co się z nim stało?

Do oczu Mariany napłynęły łzy, lecz bynajmniej nie sentymentalne; to były łzy cierpienia, bólu, jakby ktoś ją spoliczkował. Odwróciła się, żeby Zoe ich nie dostrzegła, i pośpiesznie je otarła.

– Jestem gotowa – powiedziała dziewczyna. – Idziemy?

– Idziemy? – Mariana popatrzyła na nią bez wyrazu. – Dokąd?

– Do świątyni rzecz jasna. Poszukać noża.

– Słucham? Och...

Zoe spojrzała na nią zaskoczona.

– Dobrze się czujesz?

Mariana powoli przytaknęła. Wszelkie nadzieje na ucieczkę, myśli o tym, że wyjedzie z Zoe do Londynu, ulotniły się jej z głowy. Nie miała dokąd iść, dokąd uciekać. Już nie.

– Okej.

I jak lunatyczka poszła za Zoe po schodach i przez dziedziniec.

Przestało padać, niebo było ołowiane, nad ich głowami kłębiły się ciężkie grafitowe chmury gonione przez wiatr. Zoe zerknęła na Marianę.

– Powinnyśmy popłynąć tam rzeką. To najprostsza droga.

Mariana nie odpowiedziała, tylko skinęła głową.

– Mogę obsłużyć łódź – zaproponowała jej siostrzenica. – Nie jestem w tym tak dobra jak Sebastian, ale nieźle mi idzie.

Mariana znów potaknęła i podążyły nad rzekę.

Przed hangarem siedem przycumowanych łodzi z piskiem ocierało się o siebie. Zoe wzięła żerdź opartą o ścianę hangaru. Poczekała, aż Mariana wsiądzie do płaskodenki, po czym odpięła ciężki łańcuch.

Mariana usiadła na niskiej drewnianej ławce. Zmoczył ją deszcz, ona jednak tego nie zauważyła.

– To nie potrwa długo – zapewniła ją Zoe, kiedy odepchnęła łódź od brzegu. Uniosła żerdź, zanurzyła w wodzie i rozpoczęła się ich podróż.

Nie były same. Mariana wiedziała to od samego początku. Czuła, że ktoś je śledzi. Zwalczyła pokusę obejrzenia się przez ramię. Lecz kiedy wreszcie odwróciła głowę, tak jak oczekiwała, dostrzegła sylwetkę mężczyzny znikającą w oddali za drzewem. Uznała jednak, że coś sobie wyobraziła, ponieważ nie zobaczyła tego, kogo się spodziewała. To nie był Edward Fosca.

To był Fred.

Zgodnie z przewidywaniem Zoe przemieszczały się szybko. Niebawem zostawiły college za sobą i płynęły wśród otwartych pól – otaczał je naturalny krajobraz niezmienny od stuleci.

Na pastwiskach kilka czarnych krów przeżuwało trawę. Pachniało tu wilgocią, próchniejącą dębiną, błotem. Mariana wyczuwała również smuzkę dymu z ogniska, stęchłą woń palących się mokrych liści.

Nad rzeką unosiła się cienka warstwa mgiełki, która wirowała wokół pchającej łódź Zoe. Dziewczyna wyglądała pięknie z włosami powiewającymi na wietrze i z nieobecny spojrzeniem. Kojarzyła się z Panią z Shalott podczas ostatniej feralnej podróży po rzece.

Mariana usiłowała myśleć, ale miała z tym problemy. Wiedziała, że z każdym stłumionym uderzeniem żerdzi o dno, z każdym nagłym skokiem łodzi po powierzchni wody czas ucieka. Niebawem znajdą się w świątyni.

I co wtedy?

Czuła, jak pali ją list w kieszeni. Wiedziała, że musi go zrozumieć.

Na pewno się myliła. Nie mogło być inaczej.

– Jesteś bardzo milcząca – odezwała się Zoe. – Co ci chodzi po głowie?

Mariana podniosła wzrok. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– Nic.

– Niedługo będziemy na miejscu. – Zoe wskazała w stronę zakrętu rzeki.

Mariana się odwróciła i spojrzała.

– Och...

Ze zdumieniem spostrzegła na wodzie łabędzia. Bez wysiłku płynął ku niej, a jego brudne białe pióra subtelnie falowały na wietrze. Zbliżywszy się do łodzi, ptak odwrócił głowę na długiej szyi i popatrzył wprost na nią swoimi czarnymi oczami.

Po plecach Mariany przebiegł dreszcz. Odwróciła wzrok.

Kiedy znowu zerknęła w kierunku ptaka, już go nie było.

– Jesteśmy na miejscu – poinformowała ją Zoe. – Spójrz.

Mariana zobaczyła świątynię na brzegu rzeki. Nie była to duża konstrukcja – cztery kamienne kolumny podpierały dach. Oryginalna biel ucierpiała podczas dwóch stuleci bezlitosnych deszczów i wiatrów, pokryła się złotem i zielenią rdzy i glonów.

Świątynia stała w dość przerażającym otoczeniu – samotna na skraju wody, w sąsiedztwie lasu i mokradeł. Zoe i Mariana przepłynęły obok niej, mijając dzikie kosańce rosnące w wodzie i pnące cierniste róże zarastające ścieżkę.

Zoe doprowadziła łódź do brzegu. Wparła żerdź głęboko w muliste dno, by ją zacumować. Wyskoczyła i podała rękę Marianie, ale ta nie skorzystała z pomocy. Nie była w stanie dotknąć siostrzenicy.

– Na pewno nic ci nie jest? – zapytała Zoe. – Jesteś jakaś dziwna.

Mariana nie odpowiedziała. Wysiadła z łodzi na trawiasty brzeg i poszła za Zoe do świątyni.

Zatrzymała się przed budowlą i przyjrzała się jej.

Nad wejściem znajdował się herb wyrzeźbiony w kamieniu – przedstawiał łabędzia w czasie burzy. Mariana zamarła na ten widok. Przez chwilę wpatrywała się w płaskorzeźbę. Potem jednak ruszyła dalej.

Wkroczyła za Zoe do środka.

W kamiennej ścianie znajdowały się dwa okna z widokiem na rzekę oraz kamienne siedzisko pod nimi. Zoe wskazała za okno, na zielony las nieopodal.

– Ciało Tary znaleziono tam, za drzewami, nad bagnem. Pokażę ci. A tutaj schował nóż. Tu... – Przyklękła i zajrzała pod ławę, po czym wsunęła rękę między dwie kamienne płyty. – Aha. – Uśmiechnęła się.

Ścisnęła w dłoni nóż o ostrzu długości około dwudziestu centymetrów. Pokrywały go plamy czerwonej rdzy – lub zaschniętej krwi.

Mariana przyglądała się, jak Zoe trzyma rękojeść. Jakby z wprawą. Dziewczyna się podniosła i skierowała nóż w stronę Mariany. Wycelowała ostrze dokładnie w nią. Patrzyła na Marianę, nie mrugając, a jej błękitne oczy emanowały mrokiem.

– Chodź – powiedziała. – Przespacerujemy się.

– Co?

– Tędy... Między drzewami. Chodźmy.

– Zaczekaj. Stój. – Mariana pokręciła głową. – To nie ty.

– Słucham?

– To nie ty, Zoe. To on.

– O czym ty mówisz?

– Posłuchaj. Ja wiem. Znalazłam list.

– Jaki list?

W odpowiedzi Mariana wyciągnęła z kieszeni kartki. Rozwinęła je i pokazała Zoe.

– Ten.

Dziewczyna przez chwilę milczała. Patrzyła na Marianę. Bez jakiegokolwiek emocjonalnej reakcji. Beznamiętnie.

– Przeczytałaś go?

– Nie szukałam go celowo. Znalazłam przypadkiem...

– Przeczytałaś?

Mariana kiwnęła głową i szepnęła:

– Tak.

W oczach Zoe błysnęła furia.

– Nie miałaś prawa!

– Zoe. Nie rozumiem. To... to nie znaczy... to nie może znaczyć...

– Czego? Czego to nie może znaczyć?

Mariana z trudem szukała słów.

– Że miałaś coś wspólnego z tymi zabójstwami... Że ty i on... jesteście jakoś związani...

– Kochał mnie. Kochaliśmy się...

– Nie, Zoe. To jest ważne. Mówię to, bo cię kocham. Jesteś ofiarą. Bez względu na to, co możesz myśleć, to nie była miłość...

Zoe próbowała jej przerwać, ale Mariana jej nie pozwoliła. Mówiła dalej:

– Wiem, że nie chcesz tego słyszeć. Wiem, że dostrzegasz w tym głęboki romantyzm, ale cokolwiek on ci dał, to nie była miłość. Edward Fosca nie jest zdolny do miłości. Jest za mocno skrzywdzony, zbyt niebezpieczny...

– Edward Fosca? – Zoe patrzyła na nią zdumiona. – Myślisz, że to Edward Fosca napisał ten list? I dlatego go ukryłam, schowałam w swoim pokoju? – Pogardliwie pokręciła głową. – To nie on to napisał.

– A więc kto?

Słońce nagle schowało się za chmurę, a czas spowolnił. Mariana usłyszała pierwsze krople deszczu uderzające o kamienny parapet świątyni i pisk sowy gdzieś w oddali. I w tej ponadczasowej przestrzeni niespodziewanie coś sobie uświadomiła: domyślała się, co Zoe powie. Być może na jakimś poziomie zawsze to wiedziała.

Wtem słońce wyjrzało zza chmury, a czas nadgonił opóźnienie gwałtownym skokiem.

– Kto napisał ten list, Zoe? – powtórzyła Mariana.

Siostrzenica patrzyła na nią oczami pełnymi łez.

– Sebastian oczywiście – odparła szeptem.

## Część szósta

Słyszałam nieraz, że zbytek boleści  
Łagodzi duszę i hart jej odbiera;  
Myśl więc o zemście, a skończ próżne żale<sup>13</sup>.

William Shakespeare, *Henryk VI*

Patrzyły na siebie w milczeniu.

Padło. Mariana słyszała deszcz uderzający o błoto i czuła jego zapach. Widziała krople rozbijające odbicia drżących drzew w rzece. Wreszcie przerwała milczenie.

– Kłamiesz – powiedziała.

– Nie. – Zoe pokręciła głową. – Nie kłamię. To Sebastian napisał ten list. Napisał go dla mnie.

– To nieprawda. On... – Mariana nie potrafiła znaleźć słów. – Sebastian... tego nie napisał.

– Ależ oczywiście, że napisał. Obudź się. Jesteś taka ślepa, Mariano.

Mariana zerknęła na list trzymany w dłoni. Patrzyła na niego bezradnie.

– Ty... i Sebastian... – Nie mogła dokończyć zdania. Spojrzała na Zoe z rozpaczą, w nadziei, że ta okaże jej litość.

Zoe jednak litowała się tylko nad sobą. Jej oczy lśniły, wypełnione po brzegi łzami.

– Kochałam go, Mariano. Kochałam go...

– Nie. Nie...

– Tak. Kocham Sebastiana, odkąd pamiętam. Kochałam go, będąc małą dziewczynką. A on kochał mnie.

– Zoe, przestań. Proszę...

– Musisz się z tym zmierzyć. Otwórz oczy. Byliśmy kochankami. Od czasu naszej wyprawy do Grecji. Na moje piętnaste urodziny, pamiętasz? Poleciliśmy do Aten. Sebastian zabrał mnie do gaju oliwnego przy domu i tam się ze mną kochał. Na ziemi.

– Nie. – Mariana miała ochotę wybuchnąć śmiechem, tyle że to było zbyt chore, żeby się z tego śmiać. Zbyt straszne. – Kłamiesz...

– Nie, to ty kłamiesz. Okłamujesz siebie, dlatego jesteś taka popieprzona. Bo w głębi serca znasz prawdę. To wszystko był fałsz. Sebastian nigdy cię nie kochał. Kochał mnie. Zawsze. Poślubił cię, żeby być blisko mnie... No i dla pieniędzy oczywiście... Przecież to wiesz, prawda?

Mariana pokręciła głową.

– Nie... nie będę tego słuchać.

Odwróciła się i wyszła ze świątyni. Szła przed siebie.

Potem zaczęła biec.



– Mariano! – zawołała za nią Zoe. – Dokąd biegniesz? Nie możesz uciekać. Już nie.

Mariana ją zignorowała i biegła dalej. Zoe ruszyła za nią.

Ciemne chmury pędziły nad nimi i nagle rozdarła je ogromna błyskawica. Niebo zrobiło się niemal zielone. I wtedy lunęło. Ulewny deszcz biczował ziemię i burzył powierzchnię rzeki. Mariana wbiegła do lasu. Pośród drzew było ciemno i ponuro. Mokra, lepka ziemia cuchnęła wilgocią. Misterne pajęczyny oplatały zachodzące na siebie gałęzie; zmumifikowane muchy i inne owady wisiały na jedwabnych niciach nad głową Mariany.

Zoe podążała za nią i drwiła z niej. Jej głos odbijał się echem między drzewami.

– Któregoś dnia dziadek nas przyłapał w gaju oliwnym. Zagroził, że ci powie, więc Sebastian musiał go zabić. Udusił go swoimi wielkimi dłońmi. Dziadek zostawił ci te wszystkie pieniądze... Tyle pieniędzy. Sebastian był oszołomiony. Musiał je zdobyć. Pragnął ich dla mnie, dla siebie, dla nas. No ale ty stałaś nam na drodze...

Gałęzie obląpiały Marianę, która przedzierała się przez nie, szarpały i drapały jej dłonie i ramiona. Słyszała, że Zoe się do niej zbliża, łamie gałęzie niczym mściwa Furia. I przez cały czas mówi.

– Sebastian wiedział, że jeśli cokolwiek ci się stanie, będzie pierwszym podejrzanym. „Trzeba odwrócić uwagę – powiedział. – Jak w magicznej sztuczce”. Pamiętasz sztuczki, które robił, kiedy byłem dzieckiem? „Musimy sprawić, żeby wszyscy patrzyli w złym kierunku, szukali w złym miejscu”. Opowiedziałam mu o profesorze Fosce i Boginiach. I wtedy wpadł na ten pomysł. Rozkwitał w jego umyśle jak piękny kwiat. On miał taki poetycki sposób mówienia, pamiętasz? Opracował każdy szczegół. Plan był piękny. Perfekcyjny. Ale potem... zabrałaś go i już nigdy nie wrócił. Sebastian nie chciał jechać na Naksos. Zmusiłaś go do tego. To twoja wina, że nie żyje.

– Nie – szepnęła Mariana. – To nie fair.

– Owszem – syknęła Zoe. – Zabiłaś go. I mnie również.

Drzewa przed nimi nagle się przerzedziły i kobiety znalazły się na polanie. Rozciągało się przed nimi bagno. Była to wielka połać kryształowo

czystej zielonej wody, zarośnięta wodorostami i jeżynami. Leżało w niej zwalone drzewo, pęknięte i powoli próchniejące, pokryte żółto-zielonym mchem i otoczone muchomorami. Czuć było również dziwną woń rozkładu, jakby coś gniło. To zapach stojącej wody?

A może... śmierci?

Zoe wpatrywała się w Marianę, dysząc ciężko i ściskając nóż. Oczy miała zaczerwienione i pełne łez.

– Gdy zginął, czułam się tak, jakby ktoś mnie dźgnął nożem w brzuch. Nie wiedziałam, co począć ze swoim gniewem, bólem... I nagle pewnego dnia zrozumiałam, zobaczyłam. Musiałam zrealizować plan Sebastiana zgodnie z jego zamierzeniem, dla niego. To ostatnia rzecz, jaką mogłam dla niego zrobić. Aby oddać cześć jego pamięci. I zemścić się.

Mariana patrzyła na nią z niedowierzaniem. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Coś ty zrobiła, Zoe? – zdołała wyszeptać.

– To nie ja, tylko on. To Sebastian... Ja tylko realizowałam jego polecenia. To było dzieło miłości. Przepisałam wybrane przez niego cytaty, podrzuciłam pocztówki, tak jak mówił, podkreśliłam cytaty w książkach Foski. W czasie konsultacji, pod pozorem wyjścia do toalety, włożyłam kilka włosów Tary do jego garderoby i pochłapałam ubrania jej krwią. Policja jeszcze tego nie znalazła. Ale wkrótce znajdzie.

– Edward Fosca jest niewinny? Wrobiłaś go?

– Nie. – Zoe pokręciła głową. – To ty go wrobiłaś, Mariano. Sebastian powiedział, że wystarczy, byś myślała, że się boję Foski. To ty zrobiłaś resztę. Najzabawniejsze w całym tym przedsięwzięciu było obserwowanie, jak się bawiłaś w detektywa. – Uśmiechnęła się. – Nie jesteś detektywem. Jesteś... ofiarą.

Mariana wpatrywała się w oczy Zoe i wszystkie elementy układanki wreszcie się połączyły – oto patrzyła na przerażającą prawdę, której nie chciała dostrzec. Dla takiej chwili jest w greckiej tragedii specjalne określenie: *anagnorisis* – nagłe rozpoznanie. Jest to moment, w którym bohater w końcu dostrzega prawdę i rozumie swój los, a przecież ona przez cały czas tam była, miał ją przed oczami.

– Zabiłaś je... te dziewczyny... Jak mogłaś?

– One były nieważne, Mariano. Miały tylko odwrócić uwagę. Służyły za zasłonę dymną. Tak powiedział Sebastian. – Wzruszyła ramionami. –

Miałam problem... z Tarą. Ale Sebastian twierdził, że to jest poświęcenie, które muszę ponieść. I miał rację. W pewnym sensie mi ulżyło.

– Ulżyło ci?

– Wreszcie ujrzałam siebie wyraźnie. Teraz wiem, kim jestem. Jestem jak Klitajmestra, wiesz? Albo Medea. Właśnie kimś takim jestem.

– Nie. Mylisz się. – Mariana się odwróciła. Nie mogła na nią patrzeć. Po policzkach płynęły jej łzy. – Nie jesteś boginią, Zoe. Jesteś potworem.

– Skoro tak – usłyszała głos Zoe – to Sebastian mnie nim uczynił. I ty.

W tym momencie Mariana poczuła uderzenie w plecy.

Zoe przewróciła ją na ziemię i rzuciła się na nią. Mariana się szamotała, ale dziewczyna napierała na nią całym ciężarem ciała i wgniatała ją w błoto. Mariana dotykała twarzą zimnej, mokrej ziemi.

– Jutro, kiedy znajdą twoje zwłoki – szeptała jej do ucha Zoe – powiem inspektorowi, że usiłowałam cię powstrzymać, błagałam, żebyś nie szła do świątyni sama, ale się uparłaś. Clarissa opowie im historię o Fosce, przeszukają jego mieszkanie i znajdą podrzucone przeze mnie dowody... – Zoe zsunęła się z Mariany i przewróciła ją na plecy. Wisiała nad nią z uniesionym nożem. Jej oczy wyglądały dziko, koszmarnie. – Zostaniesz zapamiętana jako kolejna ofiara Edwarda Foski. Ofiara numer cztery. Nikt nigdy nie domyśli się prawdy... że to my cię zabiliśmy, Sebastian i ja.

Uniosła nóż wyżej... już miała zaatakować...

Wtem Mariana poczuła nagły przypływ sił. Wyciągnęła się i chwyciła dłoń Zoe. Szamotały się przez chwilę, Mariana szarpała ręką Zoe tak mocno, że dziewczyna straciła kontrolę nad nożem... Wypadł jej z ręki i przeciął powietrze, by zniknąć w trawie z tępym łupnięciem.

Zoe zerwała się z okrzykiem i pobiegła go szukać.

Mariana się podniosła i zauważyła, że ktoś wyłania się zza drzew.

Fred.

Biegł w ich stronę zaniepokojony. Nie widział Zoe kłęczącej w trawie. Mariana próbowała go ostrzec.

– Fred, stój! Stój!

Chłopak się nie zatrzymał i szybko do niej dotarł.

– Nic ci nie jest? Śledziłem cię... martwiłem się i...

Mariana zobaczyła nad jego barkiem, że Zoe wstaje z nożem w dłoni.

– Fred! – krzyknęła.

Za późno. Zoe wbiła nóż głęboko w plecy Freda. Ten otworzył szeroko oczy i patrzył na Marianę zszokowany.

Upadł na ziemię i znieruchomiał. Pod jego ciałem rozlewała się kałuża krwi. Zoe wyciągnęła nóż i szturchnęła nim Freda, żeby sprawdzić, czy żyje. Miała chyba wątpliwości.

Mariana bez zastanowienia zacisnęła dłoń na zimnym kamieniu zatopionym w błocie. Wyciągnęła go. Podeszła chwiejnie do Zoe pochylonej nad ciałem chłopaka. W chwili, gdy dziewczyna zamierzała wbić nóż w jego klatkę piersiową, Mariana uderzyła ją kamieniem w głowę. Uderzenie odrzuciło Zoe na bok; a kiedy upadła, osunęła się w błoto, twarzą do dołu... na nóż.

Przez moment leżała bez ruchu i Mariana pomyślała, że dziewczyna nie żyje.

Wtedy jednak, z niemal zwierzęcym rykiem, Zoe przewróciła się na plecy. Leżała tak, ranne stworzenie z szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Dostrzegła nóż wystający jej z piersi...

Zaczęła krzyczeć.

I krzyczała bez przerwy, histerycznie, z bólu, strachu i trwogi – jak przerażone dziecko.

Mariana zaś, po raz pierwszy w życiu, nie podeszła do niej, by jej pomóc. Zamiast tego wyciągnęła telefon. Zadzwoiła na policję.

Przez cały ten czas Zoe krzyczała i krzyczała – aż wreszcie jej krzyk zlał się z dźwiękiem zbliżającej się syreny.

Zoe zabrano karetką w towarzystwie dwóch uzbrojonych policjantów.

Ta eskorta nie była konieczna, bowiem dziewczyna cofnęła się do fazy dziecka – stała się przestraszona, bezbronną dziewczynką. Oskarżono ją o próbę zabójstwa i wkrótce miano jej postawić kolejne zarzuty. Oskarżenie o próbę zabójstwa wynikało z tego, że Fred przeżył atak, jednak jego stan był krytyczny. Zawieziono go do szpitala drugą karetką.

Mariana była w szoku. Siedziała na ławce nad rzeką. Ścisnęła w dłoni kubek z mocną słodką herbatą, którą inspektor Sangha nalał dla niej ze swojego termosu – żeby doszła do siebie, ale też żeby był to znak, jak gałązka oliwna.

Przestało padać. Niebo pojaśniało, z chmur zostało tylko kilka szarych pasemek widocznych w gasnącym świetle słońca, które kryło się już za drzewami i malowało na niebie smugi różu i złota.

Mariana przysunęła ciepły kubek do ust i sączyła herbatę. Jakaś policjantka usiłowała ją pocieszyć i objęła ją ramieniem, ale Mariana nawet tego nie zauważyła. Kolana otulono jej kocem. Też sobie tego nie uświadamiała. Z kompletną pustką w głowie błędziła wzrokiem po rzece. W pewnej chwili zobaczyła łabędzia. Pędził nad wodą z coraz większą prędkością, a potem rozłożył skrzydła i wzbił się do lotu. Poleciał ku niebu, a ona patrzyła za nim.

Podszedł do niej inspektor Sangha. Usiadł na ławce.

– Na pewno się pani ucieszy na wieść o tym, że Foscę zwolniono. Okazało się, że sypiał z nimi wszystkimi. Morris przyznał się do szantażowania go, więc miała pani rację. Przy odrobinie szczęścia obydwu spotka sprawiedliwość. – Patrząc na Marianę, zorientował się, że kobieta nie przyswaja jego słów. Skinieniem głowy wskazał na herbatę. – Jak się pani czuje? – zapytał łagodnie. – Trochę lepiej?

Mariana zerknęła na niego. Pokręciła głową. Nie czuła się lepiej; jeśli się jakoś czuła, to tylko gorzej...

A jednak coś się zmieniło. Co takiego?

Zrobiła się czujna... – może lepszym słowem byłoby „przebudzona”. Wszystko wydawało się wyraźniejsze, jakby mgła się podniosła; kolory stały się ostrzejsze, podobnie jak krawędzie przedmiotów. Świat nie był już stłumiony, szary i odległy, jak gdyby znajdował się za zasłoną.

Tętnił życiem, pełen energii, koloru, mokry od jesiennego deszczu;  
wibrował wiecznym szumem niekończącego się cyklu narodzin i śmierci.

## Epilog

Mariana jeszcze długo pozostawała w szoku.

Po powrocie do domu sypiała na kanapie na dole. Już nigdy nie będzie mogła spać w łóżku, które dzieliła z nim – z tym mężczyzną. Nie wiedziała, kim był. Uznała go za obcego, oszusta, z którym przeżyła tyle lat, aktora, który sypiał z nią i knuł, jak ją zabić.

Kim był ten symulant? Co kryło się za jego piękną maską? Czy wszystko było tylko grą? Wszystko?

Teraz, gdy przedstawienie dobiegło końca, Mariana musiała zanalizować swoją w nim rolę. A to nie było łatwe.

Gdy zamykała oczy i próbowała przywołać w pamięci jego twarz, miała problem z przypomnieniem sobie jej rysów. Rozmazywały się, jak wspomnienie snu – ona zaś widziała twarz ojca, jego oczy zamiast oczu Sebastiana; jakby obaj byli jedną osobą.

Co Ruth mówiła o ojcu? Że odgrywa centralną rolę w jej historii? Wtedy Mariana tego nie rozumiała. Teraz być może zaczynała to pojmować.

Nie poszła do Ruth. Jeszcze nie. Nie była gotowa płakać, mówić ani czuć. Wszystko było nadal zbyt żywe.

Nie wróciła również do prowadzenia grup terapeutycznych. Jak mogłaby jeszcze kiedykolwiek pomóc drugiemu człowiekowi, udzielić mu jakiegokolwiek rady?

Zagubiła się.

Co do Zoe... Cóż, dziewczyna nigdy nie doszła do siebie po tamtym napadzie histerycznego krzyku. Przeżyła uraz fizyczny, który doprowadził do poważnego załamania psychicznego. Po aresztowaniu Zoe podjęła kilka prób samobójczych, a potem doszło u niej do epizodu psychotycznego. W rezultacie uznano, że nie może stanąć przed sądem. Skierowano ją na oddział psychiatryczny o wzmocnionym rygorze, The Grove, w północnym Londynie – ten sam, który Mariana zasugerowała Theo, kiedy wspomniał o zamiarze zmiany pracy.

Okazało się, że Theo poszedł za jej radą. Pracował w The Grove, a Zoe była jego pacjentką. Próbował kilkakrotnie skontaktować się z Marianą w jej imieniu, ona jednak nie chciała z nim rozmawiać i nie oddzwaniała.

Wiedziała, czego chciał Theo. Zależało mu, żeby Mariana porozmawiała z Zoe. Nie miała mu tego za złe. Na jego miejscu zrobiłaby to samo.

Wszelka forma pozytywnej komunikacji między nią a siostrzenicą odegrałaby kluczową rolę w terapii Zoe. Jednak na myśl o tym, że miałyby z nią porozmawiać, Mariane robiło się niedobrze. Po prostu nie była w stanie tego strawić.

I nie chodziło o przebaczenie. Mariana nie mogła ot tak postanowić, że przebaczy Zoe. Ruth zawsze powtarzała, że przebaczenia nie można wymusić – doświadcza się go spontanicznie, ono jest aktem łaski, który się wydarza tylko wtedy, kiedy dana osoba jest na to gotowa.

Mariana nie była. I nie miała pewności, czy kiedykolwiek będzie.

Czuła taki wielki gniew, krzywdę. Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć lub zrobić, gdyby zobaczyła Zoe; na pewno nie odpowiadałaby za swoje czyny. Lepiej trzymać się z boku i zostawić Zoe jej losowi.

Mariana kilkakrotnie odwiedziła Freda w szpitalu. Czuła się do tego zobowiązana i była mu wdzięczna. Przecież uratował jej życie, czego ona nigdy mu nie zapomni. Na początku był słaby, nie mógł mówić – ale uśmiechał się przez cały czas, który Mariana z nim spędzała. Siedzieli razem w przyjaznym milczeniu. Mariana myślała, jakie to dziwne, że czuje się w towarzystwie tego mężczyzny taka odprężona i swobodna, choć ledwie go zna. Było jeszcze za wcześnie, by stwierdzić, czy cokolwiek może się między nimi wydarzyć. Niemniej nie odrzucała tej możliwości tak kategorycznie.

Ostatnio jej stosunek do wszystkiego poważnie się zmienił. Zupełnie jakby to, co wiedziała, w co wierzyła, czemu ufała, rozpadło się, zostawiając po sobie puste miejsce. Egzystowała w tym stanie pustki, który trwał tygodniami, potem miesiącami...

Aż pewnego dnia dostała list od Theo.

Theo po raz kolejny prosił Marianę, żeby przemyślała swoją odmowę i odwiedziła Zoe. Pisał o niej z wielką wnikliwością i empatią, a potem skierował uwagę na Marianę.

*Nie mogę się wyzbyć przekonania, że skorzystałabyś na tym w równym stopniu co ona i że mogłabyś zamknąć pewien rozdział. Wiem, że to nie będzie miłe, ale według mnie może pomóc. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, przez co przeszłaś. Zoe zaczęła się trochę bardziej otwierać i bardzo mnie niepokoi sekretny świat, który dzieliła z Twoim zmarłym*



*mężem. Słyszę od niej naprawdę przerażające rzeczy. I muszę Ci powiedzieć, Mariano, że moim zdaniem masz ogromne szczęście, że żyjesz.*

Theo zakończył słowami:

*Wiem, że nie jest to łatwe, ale proszę Cię tylko, abys przemyślała fakt, że i ona jest pod pewnym względem ofiarą.*

To sformułowanie bardzo rozzłościło Marianę. Podarła list i wyrzuciła go do śmietnika.

Tego wieczoru jednak, kiedy leżała w łóżku i zamknęła oczy, ujrzała czyjąś twarz. Nie Sebastiana ani ojca, tylko twarz dziewczynki.

Małej przerażonej sześciolatki.

Zoe.

Co się z nią stało? Co zrobiono temu dziecku? Co musiała znosić – tuż pod nosem Mariany – będąc w cieniu, za kulisami?

Mariana ją zawiodła. Nie obroniła jej – nawet nie dostrzegła takiej konieczności – i ponosi za to odpowiedzialność. Jak mogła być tak ślepa? Musiała się tego dowiedzieć. Musiała zrozumieć. Skonfrontować. Zmierzyć się z tym. W przeciwnym razie oszaleje.

To z tego powodu w śnieżny lutowy poranek Mariana wybrała się do północnego Londynu, do szpitala Edgware na oddział The Grove. Theo czekał na nią w recepcji. Przywitał ją serdecznie.

– Nie sądziłem, że cię tutaj zobaczę – powiedział. – Zabawne, jak się toczą koleje losu.

– No właśnie.

Theo przeprowadził ją przez bramkę, a potem będące w opłakanym stanie korytarze. Ostrzegł Marianę, że Zoe mocno się zmieniła od ich ostatniego spotkania.

– Bardzo z nią kiepsko, Mariano. Dostrzeżesz w niej zmiany. Powinnaś się przygotować.

– Rozumiem.

– Cieszę się, że przyszłaś. To jej naprawdę pomoże. Często o tobie mówi. I prosi o spotkanie z tobą.

Mariana nie odpowiedziała. Theo zerknął na nią spod oka.

– Posłuchaj, wiem, że to nie może być łatwe – rzekł. – Nie spodziewam się, że będziesz ją darzyła łagodnymi uczuciami.

„Bo nie darzę” – pomyślała Mariana.

Theo jakby czytał w jej myślach.

– Rozumiem. Wiem, że próbowała zrobić ci krzywdę.

– Usiłowała mnie zabić, Theo.

– To chyba nie jest takie proste, Mariano. – Zawahał się. – To on usiłował cię zabić. Ona działała tylko w jego zastępstwie. Była jego marionetką. W pełni ją kontrolował. Ale zawładnął tylko częścią niej. W drugiej części umysłu ona nadal cię kocha... i potrzebuje.

Mariana odczuwała coraz silniejszy niepokój. Popełniła błąd, przychodząc tutaj. Nie była gotowa na spotkanie z Zoe, na to, jak się wskutek tego poczuje i co może powiedzieć lub zrobić.

Koło swojego gabinetu Theo skinął głową w stronę drzwi przy końcu korytarza.

– Zoe jest w pokoju rekreacyjnym. Nie socjalizuje się z resztą, ale umieszczamy ją z nimi w czasie wolnym. – Spojrzał na zegarek i ściągnął brwi. – Bardzo cię przepraszam, ale... czy zgodzisz się poczekać kilka minut? W gabinecie czeka na mnie inna pacjentka, z którą muszę się spotkać. Potem będę mógł facylitować twoje spotkanie z Zoe. – Zanim Mariana zdążyła zareagować, Theo wskazał jej długą drewnianą ławkę przy drzwiach do gabinetu. – Usiądziesz?

Mariana kiwnęła potakująco głową.

– Dzięki.

Theo otworzył drzwi. Mariana ujrzała piękną rudowłosą kobietę, która siedziała w pomieszczeniu i czekając na terapeutę, patrzyła przez okratowane okno na szare niebo. Pacjentka się odwróciła i zerknęła nieufnie na Theo, który wszedł do gabinetu i zamknął drzwi.

Mariana rzuciła okiem na ławkę. Nie usiadła jednak. Poszła dalej. Zmierzała do drzwi przy końcu korytarza.

Zatrzymała się przed nimi. Z wahaniem.

Wyciągnęła rękę i nacisnęła kłamkę...

Weszła do sali.

## Podziękowania

Większą część tej książki napisałem już podczas pandemii COVID-19. Cieszyłem się ogromnie, że miałem się na czym skupić w trakcie długich miesięcy, które spędzałem w Londynie w zamknięciu. I że mogłem uciekać ze swojego mieszkania do świata w mojej głowie, po części realnego, po części zmyślnego, oraz oddawać się nostalgii i próbować odwiedzać swoją młodość i miejsce, które kocham.

Była to też nostalgia za pewnym rodzajem powieści, książkami, które urzekały mnie, gdy byłem nastolatkiem: powieściami detektywistycznymi, kryminałami. Zaczę więc swoje podziękowania od wyrażenia wdzięczności klasycznym autorkom gatunku, wyłącznie kobietom, które przez lata dostarczały mi inspiracji i rozrywki. Ta powieść to czuły hołd dla nich: Agathy Christie, Dorothy L. Sayers, Ngaio Marsh, Margaret Millar, Margery Allingham, Josephine Tey, P.D. James i Ruth Rendell.

Nie jest tajemnicą, że pisanie drugiej powieści piekielnie się różni od debiutu. *Pacjentkę* pisałem w stanie całkowitej izolacji, nie myśląc o publiczności i nie mając nic do stracenia. Tamta powieść zmieniła moje życie i rozwinęła je gwałtownie. W przypadku *Bogin* zaś czułem ogromną presję. Tym razem jednak nie byłem sam – towarzyszyła mi cała społeczność niebywale utalentowanych i bystrych ludzi, którzy służyli mi wsparciem i radą. Powinienem dziękować tak wielu – mam nadzieję, że nikogo nie pominę.

Muszę zacząć od podziękowania mojemu agentowi i drogiemu przyjacielowi, Samowi Copelandowi, za to, że był mi opoką oraz źródłem mądrości, humoru i życzliwości. Jestem też wdzięczny genialnemu i oddanemu zespołowi z Rogers, Coleridge & White, a tworzyli go: Peter Straus, Stephen Edwards, Tristan Kendrick, Sam Coates, Katharina Volckmer i Honor Spreckley, żeby wymienić tylko kilka osób.

Pod względem twórczym praca nad wydaniem tej książki była najprzyjemniejszym przeżyciem zawodowym, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Wiele się nauczyłem. Serdecznie dziękuję fantastycznemu wydawcy w Stanach Zjednoczonych, Ryanowi Doherty'emu z Celadonu, oraz równie utalentowanym Emadowi Akhtarowi i Katie Espiner z Orionu w Londynie. Praca z wami była frajdą i dziękuję wam za wspianą pomoc. Mam nadzieję, że będzie nam dane zawsze współpracować.

Halowi Jensenowi dziękuję za niesamowicie szczegółowe i pomocne uwagi, a także przyjaźń i znoszenie mojej obsesji związanej z tą cholerną książką. Nediemu Antoniadesowi dziękuję za wsparcie i wielokrotne podnoszenie mnie na duchu; bardzo na tobie polegam i jestem ci naprawdę wdzięczny. Ivanowi Fernandezowi Soto dziękuję za świętą Łucję i inne pomysły oraz za to, że pozwalał, bym od trzech lat raczył go tymi szalonymi zwrotami akcji. Wielkie dzięki dla Umy Thurman za świetne uwagi i sugestie oraz domowej roboty posiłki w Nowym Jorku. Będę ci wiecznie wdzięczny. Diane Medak, dziękuję za twoją przyjaźń, wsparcie i zgodę na to, żebym siedział u ciebie całe wieki. Już nie mogę się doczekać powrotu.

Dziękuję profesorowi Adrianowi Poole'owi, mojemu najlepszemu nauczycielowi, za przydatne komentarze i pomoc w kwestiach dotyczących starożytnej Grecji, no i za obudzenie we mnie miłości do tragedii. Dziękuję też Trinity College w Cambridge za tak ciepłe przyjęcie po latach i dostarczenie mi inspiracji przy St. Christopher's College.

Dziękuję wszystkim wspaniałym przyjaciółom z Celadonu – nie wyobrażam sobie życia bez was. Jemie Raab i Deb Futter – jestem wam dozgonnie wdzięczny za wszelką pomoc. Rachel Chou i Christine Mykityshyn – jesteście genialne, a moja poprzednia książka zawdzięcza wam dużą część sukcesu. Dziękuję. Cecily van Buren-Freedman – twoje komentarze naprawdę ulepszyły tę książkę i jestem ci bardzo wdzięczny. Inne osoby z Celadonu, którym dziękuję, to: Anne Twomey, Jennifer Jackson, Jaime Noven, Anna Belle Hindenlang, Clay Smith, Randi Kramer, Heather Orlando-Jerabek, Rebecca Ritchey i Lauren Dooley. Dziękuję Willowi Staehle'emu za fantastyczną okładkę i Jeremy'emu Pinkowi za zrobienie wszystkiego w tak rekordowym czasie. Podziękowania także dla zespołu marketingowego Macmillan – jesteście najlepsi!

Chciałbym podziękować Davidowi Shelleyowi z Orion and Hachette za wsparcie. Dodawałeś mi zachęty i otuchy. Na podziękowania zasługują również: Sarah Benton, Maura Wilding, Lynsey Sutherland, Jen Wilson, Esther Waters, Victoria Laws – dziękuję wam za fantastyczną pracę! Dziękuję także Emmie Mitchell z FMCM za reklamę.

Specjalne podziękowania kieruję do Marii Fasce z Madrytu za wnikliwe i przydatne uwagi oraz zachętę.

Dziękuję Christine Michaelides za pomoc przy opisach. Nie wykorzystałem w książce dziewięćdziesięciu procent z nich, ale wiele się

dowiedziałem! Dziękuję Emily Holt za pomocne uwagi i wielkie wsparcie. Dziękuję Vicky Holt i mojemu ojcu, George'owi Michaelidesowi, za wasze wsparcie.

Wielkie podziękowania należą się Katie Haines. Praca z tobą to prawdziwa uczta. Już się nie mogę doczekać, kiedy znowu będziemy mogli wybrać się do teatru.

Dziękuję Tiffany Gassouk za tak serdeczne przyjęcie w Paryżu, kiedy tam pisałem, i za cudowne wsparcie. Dziękuję też Tony'emu Parsonsowi za słowa zachęty i wsparcie. Jestem ci naprawdę wdzięczny. Dziękuję Anicie Baumann, Emily Koch i Hannah Beckerman za słowa zachęty i pomocne rady. Katie Marsh, miłej przyjaciółce, dziękuję za nieustającą zachętę. National Portrait Gallery dziękuję za pokazanie mi portretu młodego Tennysona. A Kam Sandze za nazwisko. I wreszcie dziękuję nie mniej ważnemu Davidowi Fraserowi.

- 
- <sup>1</sup> Wszystkie fragmenty poezji (z wyjątkiem wiersza *Mariana*) Alfreda Tennysona w przekładzie Anny Bańkowskiej.
- <sup>2</sup> Clive Staples Lewis, *Smutek*, przeł. Jadwiga Olędzka, Kraków 2009, s. 27.
- <sup>3</sup> „Gniew Achilla, bogini, głoś obfity w szkody” – Homer, *Iliada*, przeł. Franciszek Ksawery Dmochowski, Wrocław 1999, s. 5.
- <sup>4</sup> Konstandinos Kawafis, *Wiersze zebrane*, przeł. Zygmunt Kubiak, Warszawa 1981, s. 92.
- <sup>5</sup> Arystoteles, *Etyka wielka; Poetyka*, przeł. Henryk Podbielski, Warszawa 2010, ks. XIII.
- <sup>6</sup> John Webster, *Księżna d’Amalfi*, w: *Biała diabolicą; Księżna d’Amalfi*, przeł. Jerzy Strzelecki, Wrocław 1968, s. 360.
- <sup>7</sup> Eurypides, *Ifigenja w Aulidzie*, przeł. Jan Kasprowicz, Kraków 1931, s. 92.
- <sup>8</sup> Alfred Tennyson, *Mariana*, w: *Poezje wybrane*, przeł. Zygmunt Kubiak, Warszawa 1970, s. 19.
- <sup>9</sup> Alice Miller, *Zniewolone dzieciństwo: ukryte źródła tyranii*, przeł. Barbara Przybyłowska, Poznań 1999, s. 92.
- <sup>10</sup> John Milton, *Milona Ray odzyskany, księgi cztery z angielskiego przekładania Jacka Przybylskiego*, przeł. Jacek Przybylski, Kraków 1792, s. 79.
- <sup>11</sup> Eurypides, *Elektra*, przeł. Jerzy Łanowski, Wrocław 1969, s. 33.
- <sup>12</sup> Jean Anouilh, *Antygona*, przeł. Monika Zabrocka, Warszawa 2021, s. 137.
- <sup>13</sup> William Shakespeare, *Henryk VI*, w: *Dzieła dramatyczne*, t. IV: *Kroniki*, przeł. Leon Urlich, Warszawa 1958, s. 197–198.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk

Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik

Fragmenty poezji (z wyjątkiem wiersza *Mariana*) Alfreda Tennysona w przekładzie Anny  
Bańkowskiej

Redakcja: Maria Wirchanowska

Korekta: Krystian Gaik, Anna Sidorek, Magdalena Matuszewska

Projekt okładki: Joanna Strękowska

Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Deborah Pendell/Arcangel Images, © Jamen  
Percy/Shutterstock

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel. (22) 828 98 08

faks (22) 395 75 78

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-9225-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**